

EVE
SILVER

GRA: TOM II

MAGISK



Eve Silver

GRA

TOM II. NACISK

Przekład
Marzenna Reyher



Tytuł oryginału: *The Game vol. 2 Push*

Copyright © 2014 by Eve Silver

Copyright for the Polish edition © by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Marzenna Reyher, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Spis treści

Dedykacja

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Przypisy

Dla Reny, Kristiana, Olivii, Jordi, Ali, Osmana, Lamii, Josha i Rebekki

Rozdział pierwszy

Miki!

Jakiś chłopak wymówił moje imię.

Déjà vu. Tak jakby.

– Miki – mówi Luka Vujic. – Wszystko w porządku?

Nie ta gadka, nie ten ton. Nie ten chłopak.

Kilka tygodni temu inny chłopak wypowiadał moje imię, jego głos rozlegał się w mojej głowie, gdzie nikt inny go nie słyszał.

To był początek i koniec. Koniec tego, co znane i bliskie. Początek nowej rzeczywistości, gdzie przeskakuję z życia zwykłej, starej Miki Jones do odmiennego świata, w którym walczę z Drau – pięknymi, przerażającymi pozaziemskimi drapieżnikami, zdecydowanymi zawładnąć Ziemią.

Nie rozumiem tego. Nie wiem, jak to działa. Wiem tylko, że w jednej chwili próbowałam ocalić młodszą siostrę Janice Harper przed uderzeniem pędzącej ciężarówki, a w następnej leżałam połamana i zakrwawiona na drodze. Umierająca. Martwa. Obudziłam się na trawniku zwanym poczekalnią, żywa, uzdrowiona, bez żadnych obrażeń, leżąc na plecach i wpatrując się w przystojną twarz i staromodne, lustrzane pilotki, a obie te rzeczy należały do Jacksona Tate'a.

Wszystko, co się wydarzyło, ma związek z jego osobą. To on wymawiał moje imię w mojej głowie tamtego dnia na boisku. To on kuczał przy mnie, kiedy przybyłam do poczekalni.

Wyprowadził mnie w pole, zdradził, przehandlował swoją wolność za moją, podając mnie Komitetowi na talerzu, abym zastąpiła go w tej grze.

Gra. Boże, nienawidzę tego słowa. Niemal słyszę głos Jacksona przekonujący, że to nie jest gra. Miał rację. I to jeszcze jak.

To jest życie i śmierć, groza i strach, a wciągnięcie mnie do niej było jego jedyną szansą na wydostanie się.

Być może powinnam go za to znienawidzić.

Wtedy przypominam sobie, jak mnie chronił i ocalił więcej razy, niż mogę zliczyć. Pomógł mi odnaleźć moje – głęboko ukryte – najmocniejsze strony. Droczył się ze mną, rzucał mi wyzwania, wierzył we mnie.

Wspiął się przez okno do mojej sypialni, rozśmieszał mnie, sprawiał, że się uśmiechałam.

Pocałował mnie.

Powiedział, że mnie kocha...

Czuję, że moje serce właśnie rozbija olbrzymia pięść.

...a potem...

Chcę krzyczeć z bólu.

...umarł...

W gardle mam taką gulę, że z trudem oddycham.
...dla mnie. Zamiast mnie.

Powinien poczekać jedynie trzydzieści sekund, odkąd przyjął cios zadany przez Drau. Wyssać ze mnie tylko tyle energii, żeby wytrzymać te głupie trzydzieści sekund. Ale tego nie zrobił. Zastanawiam się, czy wybrał to rozwiązanie, bo inne – być może – oznaczałoby moją śmierć.

Czy mam być za to wdzięczna? Czy mam mu wybaczyć, że odszedł?

Pół na pół. Niełatwo wybaczam.

Rozglądam się wokół, próbując na czymś się skupić – na czymkolwiek – co pomoże mi się pozbierać. Łupkowe płytki, żółte ściany, zapach sera i tłuszczu, kobieta za ladą, mężczyzna smażyący placki na zapleczu. Pizzeria nie zmieniła się od chwili, gdy zostałam wyciągnięta. To się zdarzyło wiele dni temu. Sekundy temu. Czas inaczej biegnie w dwóch wyraźnie odmiennych wersjach mojego obecnego życia.

– Miki – mówi tym razem ponaglająco Luka.

Stoi ze trzy metry ode mnie koło pustego stolika, przy którym siedzieliśmy wszyscy razem... przedtem. Przed walką, terrorem, śmiercią tylu ludzi.

Kiwam głową na znak, że go słyszę, jego spięte ramiona nieznacznie się rozluźniają.

Znam Lukę od dzieciństwa. Przyjaźniliśmy się do czwartej klasy, kiedy to zmarła jego mama. Byłam bezmyślną dziewięciolatką, która nie rozumiała pojęcia straty i żalu. Pozwoliłam, aby nasza przyjaźń się rozwiła. W drugiej klasie szkoły średniej wyjechał do Seattle. Straciliśmy kontakt. Teraz wrócił, ale tak naprawdę odnaleźliśmy się w grze. Oboje zostaliśmy zwerbowani. Nie mam pojęcia, jak Luka radzi sobie z tym szaleństwem przez cały ostatni rok. Pomiędzy przesunięciami czasu i alternatywnymi rzeczywistościami, obcymi i ofiarami śmiertelnymi już po kilku tygodniach ledwo się trzymam.

– Bum i wróciliśmy – mówi.

Jego oczy, ciemne jak noc, patrzą na mnie. Te trzy małe słówka przekonują mnie, że muszę się pozbierać, zanim coś wygadam. Istnieją zasady, według których nie wolno nam rozmawiać o obcych, bitwach i wynikach w rzeczywistym życiu. Złamanie tych zasad może prowadzić do śmierci.

Zaciskam zęby tak mocno, że aż – przysięgam – ścieram warstwę szkliwa. Ponownie kiwam głową na znak, że zrozumiałam.

Luka przeczesuje palcami swoje ciemne włosy. Rękawy ma podwinięte, przyglądam się jego przedramieniu. Nie ma ran, nie ma krwi. Ostatnio widziałam go w opuszczonym budynku w Detroit po heroicznej walce, którą stoczył z Drau. Miał krew na twarzy, rękach i ramionach. Koszulę podartą, jedno oko spuchnięte i purpurowe. Zadrapania i rozcięcia znaczyły jego skórę w co najmniej kilkunastu różnych miejscach.

Teraz nic mu nie dolega. Nie ma ran ani siniaków.

Opuszczam rękę na biodro, poniekąd spodziewając się, że znajdę tam lepką, ciepłą krew i poszarpane krawędzie kości. Wyczuwam wyłącznie gładki denim, miękki od wielokrotnego prania.

Oczywiście. Nie przynosimy z powrotem naszych ran. Tylko nasz żal.

– Cześć – mówi moja najlepsza przyjaciółka Carla, jednocześnie ściskając mnie za ramię.

Odwracam się ku niej z lekkim szarpnięciem. Aż do tej chwili nie pamiętałam, że tam była, tuż koło mnie. Ona w ogóle nie odczuła upływu czasu. Dla niej upłynęły jedynie sekundy, odkąd odskoczyłam od stolika i rzuciłam się do drzwi. Ja w tym czasie przeżyłam dni pełne bitew i przelewania krwi.

Gdy zostałam wyciągnięta po raz pierwszy, dziewczyna z mojej drużyny – Richelle Kirkman – powiedziała, że godziny, które spędzamy w grze, odkładają się i otrzymamy je z powrotem. I tak jest. Restartujemy nasze przypauzowane życia dokładnie co do sekundy i odzyskujemy stracone godziny.

Pod warunkiem, że przeżyjemy.

Richelle była silna, najlepszy gracz w naszym zespole. Zawsze jej się udawało. Ale nie ostatnim razem. Pod koniec misji Richelle leżała szara i spokojna na zimnej posadzce w magazynie w Vegas, jej bransoletka zdrowia była cała czerwona.

Tak czerwona jak Jacksona. Nadal nie mogę o tym myśleć.

– Nic mi nie jest – mamroczę do Carli.

Kłamstwo, w które musi uwierzyć. Nie odważę się teraz spanikować. Nie wiem, kto obserwuje, słucha. Osądza.

Jedna brew wznosi się łukiem w sposób charakterystyczny tylko dla Carli, różowe pasemko w jej włosach koloru Ekstra Jasny Blond numer 11 opada na policzek. Zrobiła to pasemko kilka dni temu, lecz już blaknie. Nic takiego. Carla prawdopodobnie przefarbuje je na purpurowo lub niebiesko, zanim upłynie ten tydzień.

– Dobrze się czujesz? Naprawdę? – pyta z miną szulera.

To pozory. Martwi się i nie mogę znieść myśli, że to z mojego powodu. Ostatnio jest na mnie zła, nasza przyjaźń to kolejna ofiara gry i tajemnic, których muszę dochować, ale w tej chwili ma na twarzy wypisaną troskę.

Carla jest mi tak bliska. Taka ważna. Nie jest częścią gry. Nie chcę, aby się nią stała, musiałaby walczyć i zginąć. Mam ochotę objąć Carlę i zdusić w uścisku, ale taki gest tylko by spotęgował jej obawy.

– Nic mi nie jest – powtarzam, próbując zmusić mózg do szybszych obrotów.

Misje wymagają określonej koncentracji. Rzeczywistość wymaga innej. To jest moje prawdziwe życie, w którym biegam pięć dni w tygodniu o wschodzie

słońca, dokładnie odkurzam dywan, prasuję pościel i ścieram blaty kuchenne nawet wtedy, gdy nie są brudne.

Robię to dlatego, że mogę. To mój wybór. Mój. Nikogo innego.

– Chcesz wyjść na zewnątrz? Złapać trochę świeżego powietrza? – pyta Carla.

Przez ramię spogląda na Lukę: albo szuka jego aprobaty, albo upewnia się, że ją usłyszał.

– Sądzisz, że świeże powietrze pomoże? – pyta Carłę, lecz patrzy na mnie, jego dłonie są zaciśnięte w pięści, mięśnie ramion naprężone. – Wszystko z tobą w porządku, Miki. Wszystko.

Podbródkiem wskazuje stolik obok. Leżą na nim pizza i cztery nieużywane talerze, breloczek do kluczy, kilka banknotów. Luka pewnie rzucił je na pokrycie rachunku za posiłek, którego żadne z nas nie zje.

W sumie nic ważnego, dlatego więc sugeruje, abym tam spojrzała?

Luka zabiera klucze ze stołu i rusza w naszą stronę. Nie spuszcza ze mnie wzroku, intensywnie skupiony opuszcza brwi, jakby próbował połączyć nasze myśli. Niestety teraz piłka jest po mojej stronie, to ja muszę nawiązać z nim kontakt.

– Halo, tu Ziemia do Miki! – Carla strzela palcami koło mojej twarzy.

Dolatuje mnie zapach papierosów, przypomnienie zwiększającego się między nami dystansu. Wie o moich przeżyciach i mimo to pali. Wielu ludzi z rakiem płuc nie pali, ale moja mama paliła. Paczkę dziennie. A teraz nie żyje.

Tak jak Gram i Sofu¹, i Richelle. I Jackson.

Wszyscy odchodzą.

Przełykam ślinę, lecz gula w gardle zostaje na swoim miejscu.

– Miki. – Carla mocniej zaciska rękę na moim ramieniu, podczas gdy Luka przesuwa się z drugiej strony. – Oddychaj. Po prostu oddychaj. Wiesz, co robić. Robiłaś to milion razy.

Owszem, w ciągu tych dwóch lat od śmierci mamy przeszłam tysiące ataków paniki. Znam symptomy i wielu z nich doświadczam właśnie w tej chwili: uczucia, że spadnie na mnie miecz zagłady, chęci ucieczki, wyjścia, biegania. Drżenia. Wstrząsów. Imadła zaciskającego się na piersi.

To znani i bliscy wrogowie i dlatego dostrzegam też subtelne różnice. To nie jest zwykły atak lękowy. Ma dodatkowe wyjątkowe warstwy: walkę o przejęcie kontroli, utrzymanie w równowadze gry o życie, zamknięcie drzwi przed stukającą w nie udręką, która usilnie próbuje przez nie przejść.

Jackson. Nadal nie mogę spokojnie o nim myśleć.

– Wyjście na zewnątrz to dobry pomysł – mówię.

Carla obejmuje ramieniem moją talię, a ja uwieszam się na niej, pragnąc wszystko z siebie wyrzucić. Poczekalnię. Bitwy. Obcych. Punkty.

Jej źrenice są powiększone, wielkie i ciemne, obwiedzione jedynie cienkim orzechowo-zielonym szlaczkiem. Z mojej winy. Wystraszyłam ją. Wystraszyłam samą siebie.

Mam wrażenie, że przepuszczono mnie przez rębak do drewna i najmniejszy powiew rozrzuci po podłodze moje krwawe szczątki. Na krawędzi umysłu usadowiło się odrętwienie, które spowijało każdy moment mojego życia, kiedy umarła mama. Teraz skrada się ponownie jak chmara robaków przyciągana rozkładającym się ciałem. Część mnie chce pozwolić mu na to, powiedzieć: „Tak. Witaj. Owiń mój świat mgłą. Odbierz mi czucie. Spraw, że niczego nie poczuje, zupełnie niczego”.

Ale już nie chcę być tamtą dziewczyną. Ciężko pracowałam na normalność. „Nigdy nie byłeś całkiem normalna”. Słyszę jego głos w mojej głowie, ale to tylko wspomnienie.

Jackson odszedł. Na zawsze.

Myślałam, że mogę go ocalić tak, jak on ocalił mnie.

Zawiodłam.

Nie mogę znieść tej myśli. Nie chcę znowu przywdziewać żałoby, po prostu nie chcę, nie teraz. Ani w najbliższej przyszłości.

Facet na zapleczu fałszywie podśpiewuje, smażąc placki. Kobieta za ladą zaciska pięści na biodrach. Wyraz jej twarzy mówi sam za siebie. Chce, abyśmy wyszli, najlepiej... już teraz. Dzięki za pani troskę, proszę pani.

Kilka kroków, które dzielą mnie od drzwi, rozciąga się w przepaść. Nie jestem pewna, czy nie ugną się pode mną nogi, zanim dojdę do chodnika.

Carla przesuwą rękę z mojej talii na ramiona. Jakby się bała, że się rozlece. Nie rozpadnę się. Odmawiam. Nie pozwolę, aby mnie to złamało.

– Miki, wszystko w porządku – akcentuje ostatnie słowo Luka, jakby chciał mi coś w ten sposób przekazać.

Widzę, jak breloczek do kluczy wiruje i wiruje, kręci się wokół jego palca wskazującego.

– Oddychaj powoli. Znasz ten sposób – mówi Carla, przesuwając nas obie o kilka kroków bliżej drzwi wyjściowych.

Moje myśli są serią cyklonów siejących zniszczenie, gdziekolwiek uderzą, potem przemieszczają się dalej i kręcą poza kontrolą.

Kącikiem oczu widzę, że klucze znowu wirują. Skórzany breloczek kieruje się w moją stronę i odczytuję na okrągłym medalionie umieszczonym na środku słowo: JEEP.

Nagle wszystko zamiera. Mgła opada. Widzę jasność.

Te klucze w rękach Luki nie należą do niego, należą do Jacksona. Pamiętam, gdy rzucił je na stół, kiedy zasiadaliśmy przy nim.

Mój wzrok mknie ku stołowi. Cztery talerze. Cztery.

Przystaję sparaliżowana mimo mniej niż delikatnych ponagleń Carli.

– Znajdź Jacksona – rozkazuje Carla Luce. – Gdzie on się podział? Musimy wyjść. Teraz, już.

Iść. Musimy iść. Musimy...

– Czekaj!

Wyrywam się z objęć Carli i patrzę na nią zdumiona. Właśnie wymówiła jego imię. Jackson. Pamięta go. Pamięta, że był z nami w pizzerii. Moje serce zacina się, a potem bije w zdwojonym tempie. Nie ma go tutaj teraz, ale... nie zginął.

Gdyby zginął, Carla nie mogłaby go pamiętać. Takie są zasady gry. Całe życie od chwili wyciągnięcia zostaje wymazane, jakbyśmy nigdy nie istnieli.

Kiedy Richelle umarła w magazynie pełnym Drau, w Vegas, każdy, kto spotkał ją w prawdziwym życiu, zapomniał o niej od momentu, gdy po raz pierwszy została wyciągnięta, aż do chwili, gdy jej kom przybrał czerwony kolor. Zgodnie z jej tablicą pamiątkową zmarła na siedem miesięcy przed tym, jak się poznaliśmy.

Ci, którzy pamiętają ten okres, są graczami – ja, Luka, Tyrone, Jackson. Z jakiegoś powodu zachowaliśmy pamięć o niej.

Kiedy mój kom stanie się w pełni czerwony, powrócę do chwili, gdy leżałam na drodze, a moja krew rozmazywała się na zderzaku ciężarówki i zbierała się przede mną, ciepła i lepka. Powrócę do chwili, gdy serce uderza wolniej i wolniej, aż całkiem przestaje bić. To właśnie będzie ten moment, kiedy przestanę istnieć w realu. Moi przyjaciele, rodzina zapomną o wszystkim, co ze mną związane, w sekundę po tym wydarzeniu. Tak jakbym w ogóle nie żyła w tych dniach, tygodniach, miesiącach pomiędzy. Nawet nie pozostaną o mnie wspomnienia z tego okresu. Po prostu... nicość.

Życie Jacksona wyciekło wiele lat temu, kiedy zginął w wypadku samochodowym ze swoją siostrą za kierownicą. W tym ułamku sekundy w przeszłości przestał istnieć w naszej rzeczywistości.

To oznacza, że Carla nigdy by go nie spotkała. Nie mógłby być tu teraz z nami na pizzy. Podczas gdy Luka i ja pamiętamy go z gry, Carla nawet nie znałaby jego imienia. A przecież je zna. Więcej, uważa, że on gdzieś tu jest, wcale nie odszedł.

Kiełkuje we mnie maleńkie, przerażające nasionko nadziei. Ściskam ramię Carli.

– Czy... – Mój głos jest chrapliwy, więc przełykam ślinę i próbuję jeszcze raz. – Czy widziałaś, dokąd poszedł Jackson?...

– Czy prosiłabym Lukę, żeby go odnalazł, gdybym wiedziała? – Potrząsa głową i przewraca oczami. – Jakby rozplynał się w powietrzu. Sprawdź w toalecie – rozkazuje Luce.

Moje spojrzenie pędzi do niego. Uśmiecha się nieznacznie, podnosi kluczyki i pobrząkuje nimi. To właśnie chciał mi przekazać.

Jackson żyje.

Łzy wypalają mi oczy, grożą szlochem. Nie płakałam, gdy uważałam, że nie żyje, ale teraz, kiedy zakładam, że jednak tak, jestem gotowa zanieść się wielkim płaczem. Przygryzam na tyle mocno wnętrze policzka, żeby zapobiec całkowitemu załamaniu.

Jackson żyje.

Co zupełnie nie ma sensu, bo jego kom był czerwony. Umarł.

Muszę go odnaleźć.

– Musimy go odnaleźć – mówi Luka.

– Dlatego właśnie powiedziałam, abyś sprawdził toaletę – rzuca Carla.

Luka nie mówił do niej. Jego „Musimy go odnaleźć” oznacza, że muszę zostać z nim sama, abyśmy mogli ułożyć plan.

– Luka! Idź sprawdzić. – Carla jest zirytowana. – Zrobiłabym to, ale jak widzisz – macha palcem w kierunku swojego rozporoka – brakuje mi tu sprzętu...

– Nie ma go – stwierdza Luka i ze wzruszeniem ramion poddaje się i odchodzi, aby wykonać polecenie Carli.

Oboje wiemy, że Jacksona nie ma w pokoju dla małych chłopców.

Jest... gdzieś indziej.

Rozdział drugi

Luka otwiera drzwi jeepa.

– Miki, usiądź obok kierowcy. – To głos wspaniałomyślnej Carli. – Ostatnia rzecz, której teraz potrzebujemy, to kolejny atak paniki...

– Rządzisz się, co? – mamrocze, ponieważ ona tego oczekuje.

To prawda, jest władcza i nieprzewidywalna, kłótniwa, bezczelna, a czasami nawet jędzowata. Jednak jest także moją przyjaciółką, gdy jej najbardziej potrzebuję, nie chowa urazy i zawsze mogę się wesprzeć na jej ramieniu.

Uśmiecha się do mnie i mam ochotę ją uściskać – za to, że dla mnie męczy się na tylnym siedzeniu, że daje mi poczucie bezpieczeństwa i jest tutaj, w realu. Za to, że jest tym, kim jest, przyjaciółką, na którą zawsze mogę liczyć.

Tak też czynię. Obejmuję ramionami jej barki i przywieram policzkiem do jej włosów. Zatacza kółka na moich plecach.

– Wiem – szepcze.

Ale nie wie. Nie może wiedzieć.

– Dziękuję – odszeptuję. – Za to, że zawsze przy mnie jesteś.

– Wzajemnie. – Przytula mnie mocno. – Najlepsze przyjaciółki, nie? Pamiętasz, gdy przekłułam język? Siedziałaś wtedy koło mnie i trzymałaś mnie za rękę.

– I prawie wymiotowałam.

– Tym bardziej doceniam twoją obecność, wykazałaś się wielką odwagą. – Całuje mnie w policzek i cofa się o krok.

– Ejże, właśnie chciałem się załapać na grupowy uścisk. – Luka porusza brwiami w górę i w dół.

– Kto nie pracuje, ten nie je – mówi Carla, wspinając się na tylne siedzenie.

– Więc... gdzie waszym zdaniem podział się Jackson?

Luka zerka na mnie szybko.

– Hmm, Jackson wyszedł tylnymi drzwiami. Do zaułka.

– Takie wyjaśnienie to nie wyjaśnienie. Wiesz o tym, nie? – Carla przesuwa siedzenie do przodu i wychyla się, aby na niego spojrzeć. – Z kim się tam spotyka?

Luka wzrusza ramionami.

– Luka? – naciska, podczas gdy przesuвам siedzenie do tyłu i wdrapuję się do samochodu.

On nadal nie odpowiada, zamyka moje drzwi i okrąża maskę, podążając do drzwi kierowcy. Wyglądam przez okno, próbuję wymyślić coś przekonującego. Niezrażona atmosferą ciężką od wykrętów – a raczej nią zachęcona – Carla wraca do tematu, gdy tylko Luka odpala silnik.

– Udało mu się zniknąć bez śladu w zaledwie kilka sekund po tym, jak poszłam za Miki? To dziwne.

Nie ma pojęcia jak bardzo.

– Czy ktoś mi to wyjaśni?

Odpina pas i pochyla się do przodu. Luka napotyka jej wzrok we wstecznym lusterku.

– Zapnij pas – mówi.

Carla opada do tyłu i słyszę trzask.

– Z kim spotkał się w zaułku, Luka? Ze swoim dilerem?

Szczypię się w nos opuszkami kciuka i palca wskazującego. Wspaniale. Gdy tylko wysadzimy Carlę, ona wyśle esemesy do Dee i Kelley, i Sary na temat swoich podejrzeń. Poprosi, aby dochowały tajemnicy. Ale one przekażą to kolejnym dwóm przyjaciółom, którzy przekażą kolejnym dwóm. Carla nie będzie celowo rozprzestrzeniać tych wieści, plotki i tak się rozejdą.

– Luka, poważnie... w co wmieszał się Jackson?

– W nic – odpowiada Luka, a ja w tym samym czasie wtrącam:

– Czy królowa mieszania się w szalone afery naprawdę zadaje takie pytanie?

Sięgam ręką do tyłu i łapię ją za kolano, dając do zrozumienia, że żartuję. Strzepuje moją rękę.

– Czy on ma kłopoty? Czy powinniśmy coś zrobić? – Chwilę milczy, po czym pyta: – Czy on handluje? Może odbiera towar w zaułku? Nie znamy go zbyt dobrze...

– Znam go bardzo dobrze – wcina się Luka.

Nigdy nie słyszałam, aby mówił takim tonem. Jest w nim groźba, ostrzeżenie i nieustępliwość.

– Okej. Niech będzie. Uważam tylko, że to dziwne.

Coś w głosie Carli sprawia, że się odwracam. Patrzy na Lukę zwięzonymi, nieco drapieźnymi oczami. Zaraz zauważa, że jej się przyglądam, i spojrzenie staje się obojętne.

Opuszkami dotykam skroni. Muszę odzyskać kontrolę. Potrzebuję jakiegoś planu. Obecnie to najważniejsza rzecz. Odnaleźć Jacksona. Otrzymać odpowiedzi. Dowiedzieć się, co oznacza jego nieobecność w wielkim planie gry. Dowiedzieć się, dlaczego wszystko przyspiesza, dlaczego w Detroit było tylu Drau.

– Hej, dobrze się czujesz? – Carla kładzie rękę na moim barku. Gdy kiwam głową, że tak, mówi: – Masz rację, Luka. Przepraszam. Znasz Jacksona lepiej niż ja. Jeżeli twierdzisz, że nie handluje prochami, to wierzę ci na słowo. Przykro mi. Naprawdę. – Carla ponownie wchodzi w rolę rozjemcy.

– *No hay problema.* – Szczerzy do niej zęby we wstecznym lusterku, a ona odwzajemnia się tym samym. Potem Luka wyjaśnia: – Jackson zabrał się z kilkoma chłopakami, z którymi robi projekt grupowy. Na ulicy nie było miejsca do parkowania, więc podjechali od tyłu. Poprosił mnie, aby odstawić do domu jego samochód, ponieważ oni go później podrzucają.

Nawet ja prawie mu uwierzyłam. Nie zdawałam sobie sprawy, że Luka potrafi improwizować z zimną krwią. Zawsze myślałam, że natura harcerzyka czuwa nad jego uczciwością.

– Cóż – naburmusza się Carla. – Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś?

– Przecież właśnie powiedziałem.

Jedziemy tak od kilku minut, muzyka cicho gra, gdy Carla klepie Lukę po ramieniu.

– Co to jest?

– Ta muzyka? Dubstep.

– Słyszałam już kiedyś dubstep – Carla kiwa głową – ale ten jest mroczniejszy, trochę eksperymentalny.

– Te nagrania są stare – mówi Luka. – Chyba z lat dziewięćdziesiątych? To Jackson mnie nimi zainteresował.

– Podobają mi się. – Teraz z kolei mnie klepie po ramieniu. – Wyglądasz lepiej. Wróciły ci kolory.

– Czuję się lepiej.

Zdecydowanie lepiej, ponieważ Jackson żyje. Co prawda nie wrócił z misji, ale gdzieś jest i żyje. Pytanie: gdzie?

Przypomniałam sobie jaskinię, łóżka szpitalne, klony ułożone jak sztuki mięsa na wystawie u rzeźnika. Wzdycham, gdy moja mała euforyczna bańka nadziei pęka: a jeżeli Drau go dorwali? Jeżeli wykorzystają go jako pierwotnego dawcę i stworzą armię klonów z jego DNA? Przypominam sobie dziewczynę w chłodni z usuniętym mózgiem, kadłub jej ciała podtrzymywany przy życiu przez maszyny.

Zaciskam palce, wbijam je w uda. Luka rzuca mi ostre spojrzenie. Odwracam twarz w stronę bocznej szyby, nie chcę, aby dostrzegli powrót ataku paniki.

Jackson nie umrze w ten sposób. Odnajdę go. Sprowadzę go z powrotem. Utraciłam tyłu ludzi, na których mi zależało. Nie stracę również Jacksona.

Tym razem wpłynę na to, jak się sprawy potoczą. A zakończenie tej historii nie wstrząśnie mną. Nie pozwolę na to.

Kilka minut później Luka podjeżdża pod dom Carli. Wsiadam, przesuwam siedzenie do przodu i przytrzymuję je, gdy ona wyplątuje się z tyłu. Obserwuje moją twarz przez kilka sekund.

– Przyjdiesz na tę kolację w piątek wieczorem? – pyta, nawet nie próbując zataić prośby pobrzmiewającej w głosie.

Jej mama wymyśliła sobie, że w każdy piątek wieczorem cała rodzina zbiera się przy kolacji. Nie przeszkadza jej, że w domu są kumple albo że dzieci później wychodzą. Natomiast nie wyobraża sobie, aby ktoś opuścił to wydarzenie.

Przyjście na kolację do rodziny Carli byłoby wielkim krokiem w kierunku

zmniejszenia dystansu, który od paru tygodni rośnie między nami, szczeliny, która staje się przepaścią. Nie chciałabym jej rozczarować, lecz każda mijająca minuta może zwiększać ryzyko utraty życia przez Jacksona. Moim priorytetem w tej chwili jest narada z Luką i uknuć jakiegoś planu, a Carla właśnie wręczyła mi na tacy doskonałą okazję.

– Dzisiaj to chyba nie najlepszy pomysł – mówię. – Nie czuję się na siłach, aby przebywać w tłumie.

Prawda. Może ją olewam, ale przynajmniej nie kłamię. Ignoruję wrażenie, że ją zawodzę.

Carla wykrzywia usta, lecz się nie spiera. Wydaje się rozczarowana, ale nie wściekła. Moje wyjaśnienia są przekonujące. W czasie pełnoobjawowych ataków paniki nie lubię towarzystwa. Pragnę jedynie swojej sypialni i muzyki.

Teraz zerka na Lukę i odnoszę szalone wrażenie, że zaprosi go na tę kolację. Z jej rodzicami. I z braćmi. To chyba żarty? Chłopak, który nie jest jej krewnym, na rodzinnej kolacji? Przeżują go, a potem wyplują. Zgaduję, że doszła do tego samego wniosku, ponieważ zaproszenie nie zostało wystosowane.

– Jesteś pewna, Miki? Wiem, że mama bardzo by chciała cię zobaczyć.

Już dalej w błaganiach się nie posunie. Prawie się poddaję. Ale myślę o Jacksonie uwięzionym w grze.

– Przepraszam. Zadzwoń do mnie później, zgoda? Może wpadniesz?

– Dobra.

Lekko się rozpogadza, po czym obejmuje mnie szybko jednym ramieniem. W tym momencie dostrzegam wbity między siedzenia swój plecak. Zamieram.

Plecak Jacksona. W bagażniku. Jest punkt zaczepienia, tak kiełkuje plan.

Gdy Carla zmierza w kierunku drzwi frontowych swojego domu, oczekuję, że Luka coś powie. On jednak milczy, więc pytam:

– Wiesz, gdzie on jest?

– Nie.

Spogląda na mnie, po czym znowu patrzy na drogę, knykcie ma zbielałe od zaciskania rąk na kierownicy. Rozczarowanie i troska osadzają się ciężko w mojej klatce piersiowej, jak nieprzeżuty kawałek zimnej, tłustej pizzy.

– On żyje, Miki. Tyle wiem.

– Żyje, ale jak długo? Podejrzewam, że go pojмали. Że wykorzystają do zrobienia armii powłok. Tak jak tę dziewczynę w chłodni. Tę, którą on... – przerywam, a potem zmuszam się do powiedzenia – ...zabił.

– Wyeliminował – szepcze Luka, następnie mówi głośniej: – Nie. – Gwałtownie kręci głową. – Nie, nie sądzę. Nie sądzę, że go mają. Nie muszą utrzymywać go przy życiu, aby tworzyć powłoki. Potrzebują jedynie jego ciała podłączonego do maszyn. Gdyby go złapali... – przerywa, przełyka ślinę – ...już by nie żył.

– Masz rację. – Desperacko pragnę, aby miał rację. – Carla pamięta go, więc nadal żyje... gdziekolwiek teraz jest.

– Właśnie. Więc jakie są szanse, że Drau go pojмали? Niewielkie lub żadne, nie?

Kiwam głową. Ciężar miazdzący mi klatkę piersiową lekko odpuścił, ale boję się tej nadziei, boję się krachu, który nastąpi, gdy okaże się, że się myliliśmy.

Luka trąca moje przedramię, a potem ponownie przenosi rękę na kierownicę.

– Niewiele mamy poza nadzieją.

Wyglądam przez okno, myśląc nad tym, co powiedział, i zastanawiając się, czy to prawda. Gdy tylko tracimy z oczu dom Carli, zdeterminowana, aby pójść śladem tego jednego jedyne tropu, który mamy, rzucam:

– Zjedź na pobocze.

– Co robisz?

Luka podąża za mną, gdy wysiadam i zmierzam do bagażnika. Wyciągam plecak Jacksona i zaczynam przeszukiwać kieszenie.

– Szukam wskazówek.

Luka wzdycha. Nic nie mówi. Nie musi.

– Wiem, że szansa na to, aby coś znaleźć, jest niewielka, ale muszę spróbować – mówię, wyciągając pustą butelkę po wodzie i dziesięciodolarowy banknot. Wkładam je z powrotem i zaglądam do kolejnej kieszeni.

– Niczego tam nie znajdziesz, Miki. Nie możemy niczego ze sobą zabierać, gdy się materializujemy.

– Masz lepszy pomysł?

Zerkam na niego. Jego usta zaciskają się w wąską kreskę. Potrząsa głową i mruczy:

– Znokautować siebie.

Wyciągam po jednej szkolne książki Jacksona, przedmuchiuję strony na wszelki wypadek, gdyby coś między nimi ukrył, następnie układam wszystkie w schludny stosik.

– Może być tu coś, co pozwoli nam go odnaleźć – mówię.

Luka milczy. Podejrzewam, że wymyśla kolejne kontrargumenty. Ale on przysuwa się bliżej, podnosi książkę z wierzchu stosu i powtórnie sprawdza, czy nic się w niej nie zawieruszyło. Zabieram się do przedniej, mniejszej kieszeni i znajduję tam miękkie wydanie *Krwi elfów* Andrzeja Sapkowskiego. Mój egzemplarz. Ten, który mu pożyczyłam.

To ostatnia rzecz w plecaku.

– Nic tu nie ma. – Zaczynam pakować wszystko na powrót, gdy Luka sięga nade mną i stuka palcem w książkę leżącą na wierzchu stosu. – Co?

Przypatruje się książce, jego oczy są rozkojarzone.

– Luka? – naciskam. – Dlaczego tak cię zaintrygował podręcznik do prawa

Jacksona?

– Nie, to tylko... – Potrząsa głową. – Przysięgam, że myślałem o czymś, ale mi uleciało. – Macha ręką. – Bum.

– Nie koncentruj się na tym. – Wpycham resztę książek do plecaka, po czym wciskam go głęboko do bagażnika, życząc sobie, abym jednocześnie mogła wsadzić tam rozczarowanie. – Pomyśl o innych rzeczach, to do ciebie wróci.

– Pewnie.

– Miałeś rację. – Przyznaję, gdy uruchomił jeepa. – To była strata czasu.

– Co teraz? – pyta ponuro Luka.

Dobre pytanie. Takie, na które nie znamy odpowiedzi. Ale musimy ją znaleźć. Życie Jacksona może od tego zależeć.

– Przedyskutujemy to – mówię. – Zrobimy listę wszystkiego, o czym wiemy, każdej możliwości. Poszukamy wzoru lub czegoś, co nie mieści się w tym wzorze.

– To będzie krótka lista.

– To będzie pusta lista, jeśli przynajmniej nie spróbujemy. A więc co wiemy?

– Że nie zmaterializował się z nami.

– Że żyje. – Czuję potrzebę głośnego potwierdzenia, że to fakt.

Luka rzuca mi spojrzenie z ukosa.

– Jeśli zrozumiemy, dlaczego z nami nie wrócił, to może wykombinujemy, gdzie jest.

– On z nami nie był. Był w innej drużynie.

– I jeżeli jego drużyna ciągle walczy...

– ...to nadal tam jest.

Pozwalam sobie na jedną tysięczną sekundę nadziei, zanim Luka przecząco potrząsa głową.

– Nasz zespół nie odrodziłby się, gdyby misja nie została zakończona. – Co oznacza, że Jackson wróciłby z nami po zakończeniu misji, nawet jeżeli był w innej drużynie. – A jeśli wyciągnęli go do innej misji?

– Przed powrotem? – Luka marszczy brwi. – Nigdy nie słyszałem, aby kogoś wyciągali bezpośrednio z jednej misji do kolejnej.

– Co nie znaczy, że to niemożliwe. – Luka otwiera usta, aby odpowiedzieć, ale zaprzeczam sama sobie. – Owszem, znaczy. Zawsze odradzamy się w tej sekundzie, w której ją kończymy.

– A świat kręci się od tej właśnie sekundy – dopełnia Luka. – To znaczy, że Jackson wróciłby do miejsca, z którego wyszedł, do pizzerii, zanim wyciągnięto by go ponownie.

– Czyli nadal niczego nie wiemy.

Zapadam się w swoje siedzenie pokonana.

Rozdział trzeci

A niech to – mruczy Luka, gdy wjeżdżamy na podjazd. – Zamierzałem zostawić kluczyki w skrzynce pocztowej.

Już za późno. Z garażu wychodzi kobieta. Jest wysoka i szczupła, miodowobrazowe włosy luźno opadają jej na ramiona. Przystaje, przesłania oczy dłonią, następnie idzie w naszym kierunku.

– Mama Jacksona?

Luka kiwa głową i mówi:

– Musimy znaleźć jakieś wytłumaczenie jego nieobecności, natychmiast.

– Zgaduję więc, że nie zapytamy jej, czy wie, gdzie jest jej syn.

Luka prychnął.

– Tak jakby twój tata wiedział, gdzie jesteś, gdy wypełniasz misję?

– Czas się wtedy zatrzymuje, nie? Wątpię, aby ojciec w ogóle wiedział, że mnie nie ma.

– Tak samo jest w przypadku mamy Jacksona. Pytanie jej to strata czasu.

– W tej chwili jestem dziewczyną, która nawet brzytwy się chwytła.

– Wiem. – Potrząsa głową. – Ale tutaj nie ma żadnej brzytwy do chwycenia.

A pytanie jej o cokolwiek byłoby niezgodne z zasadami.

Zasadami, według których nie rozmawiamy o grze poza grą. Głupie zasady bez sensu. Zasady, które złamaliśmy wszyscy, ale tylko między sobą, nigdy z osobą z zewnątrz. Odchylam głowę, zamykam oczy.

– Zdajesz sobie sprawę, że jeśli chodzi o tropy, to mamy wielkie neonowe zero – oświadczam. – To niezbyt obiecujący początek akcji ratunkowej.

– Obiecującej? Czy możesz to przeliterować?

Spoglądam na niego i uderzam w ramię w równie mało przekonującej próbie poprawienia nastroju co jego przed chwilą. Luka otwiera drzwi po swojej stronie i wysiada.

– Dzień dobry, pani Tate.

– Witaj, Luka.

Wysiadam i ociągając się przy drzwiach pasażera, niepewna, czy powinnam się przywitać, czy wtopić w tło. Mama Jacksona podchodzi do mnie. Jest na tyle blisko, że widzę jej oczy – nie są jak u Jacksona szare przypominające Drau, lecz oszałamiająco ciemnozielone. Widziałam ten kolor w moim koszmarze – koszmarze Jacksona, którym podzielił się ze mną telepatycznie – o jego siostrze i ich wypadku samochodowym, za sprawą którego został wyciągnięty ze świata do gry.

Na jej twarzy widzę odrobinę znużenia, gdy spogląda na jeepa, potem na Lukę. Zdaję sobie sprawę, że już pogrzebała jedno dziecko, a teraz my jesteśmy tutaj, na jej podjeździe, z samochodem jej syna, ale bez niego. Tata zawsze

powtarza, gdy mówimy o Sofu, że to lepiej, że zmarł przed mamą, bo rodzice nie powinni grzebać swoich dzieci.

Przyglądam się swoim stopom. Mama Jacksona nie pochowa kolejnego dziecka. On wróci. Znajdę sposób na to, aby go sprowadzić.

– Jackson poprosił mnie, żebym przyprowadził jego samochód – mówi Luka.
– Spotyka się z jakimiś chłopakami.

Ona przez chwilę milczy.

– Czy piją? – pyta mama Jacksona.

Nieźle, Luka. Próbujesz nas wybronić, ale w rezultacie pograżasz się jeszcze bardziej.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Mają inny samochód, nie chciał zostawiać swojego na ulicy.

– A ty z nimi nie poszedłeś?

Słyszę w jej głosie również niezadane pytania: „Czy Luka odjechał, bo Jackson zadaje się ze złymi ludźmi? Czy robi rzeczy, których robić nie powinien?”. Domyślam się, że każdego rodzica od czasu do czasu nachodzą takie myśli, nawet jeśli ogólnie ufają swoim dzieciom.

– Wszystko w porządku, pani Tate. Chodzi o projekt grupowy. Nie jestem w ich klasie.

Trzyma się tej samej bajki, którą już zaserwował Carli. Zachmurzenie znika z jej oblicza. Pani Tate przygląda się najpierw jednemu z nas, potem drugiemu, ewidentnie oczekując, że zostanę przedstawiona. Zaskakuje mnie, gdy z uśmiechem zwraca się do mnie:

– Miki – mówi, tak jakby mnie znała. – Ty jesteś mistrzynią kendo.

Otwieram buzię. I na powrót zamykam. Jackson opowiadał o mnie. Swojej mamie.

Nie wiem, jak powinnam to odebrać, lecz nie zaprzeczam, że czuję leciutki powiew ciepła, które rozmraża krawędzie lodu płynącego w moich żyłach, odkąd zdałam sobie sprawę, że Jackson nie wrócił.

– Hm, tak. Kiedyś nią byłam. Ale już nie jestem. Chodzi mi o to, że już nie startuję w zawodach. Nadal jednak ćwiczę w piwnicy.

Dobra, czy mogłabym być jeszcze bardziej zdenerwowana, spotykając mamę Jacksona? A właściwie dlaczego jestem taka nerwowa?

Luka obok mnie przenosi ciężar ciała z prawej nogi na lewą, a potem znowu z lewej na prawą. Cisza rozciąga się. Pani Tate przechyla głowę, jakby próbowała coś przemyśleć.

– Powinniśmy, hm, już iść – mówi Luka.

Zmierzając w kierunku drzwi, odwrócona do nas plecami pani Tate macha na pożegnanie ręką, a my wyciągamy nasze plecaki z jeepa.

– Czy nie powinniśmy oddać ich jego mamie? – Ruchem podbródka

wskazuję na kluczyki do samochodu, które trzyma Luka.

Spogląda na te klucze, jakby miały kły.

– Co za gówno.

Oczekuję, że pobiegnie do drzwi i wręczy je. Zamiast tego rzuca je w moją stronę.

– Nie sądzę, abym był w stanie wymyślić kolejne kłamstwo i nie wygadać się przy okazji.

Zostawiam plecak na podjeździe i podbiegam do drzwi w chwili, gdy mama Jacksona zamierza je zamknąć.

– Pani Tate! – wołam.

Zatrzymuje się i patrzy w moją stronę, zostawia drzwi szeroko otwarte. Słyszę, jak gdzieś w domu dzwoni telefon.

– Kluczyki Jacksona. – Podnoszę je do góry.

Wysuwa palec wskazujący, co w języku uniwersalnym oznacza: poczekaj, i pokazuje, abym weszła do środka, a sama spieszy korytarzem, aby odebrać telefon. Nie za bardzo wiedząc, co powinnam zrobić, wzruszam ramionami w kierunku Luki i wchodzę do środka. Po krótkim zastanowieniu zostawiam otwarte drzwi.

Słyszę głos pani Tate, lecz tylko jakieś pomruki bez słów. Rozważam, czy dlatego odebrała telefon w takim pośpiechu, gdyż ma nadzieję, że dzwoni jej syn. Tak zrobiłaby moja mama – pobiegłaby do telefonu, licząc, że to właśnie ja dzwonię.

Wiem, że to nie Jackson. A moja mama już nigdy nie pobiegnie, aby odebrać ode mnie telefon.

Zaciekawiona, z westchnieniem robię kilka kroków do wnętrza domu Jacksona. Z zewnątrz widać, że ma kilkadziesiąt lat, w środku przeszedł renowację. Domyślałam się, że wyburzono jedną lub dwie ściany, aby stworzyć otwartą przestrzeń, która od frontu stanowi salon, a dalej, na tyłach przechodzi w jadalnię. Śień wyłożono łupkowymi kafelkami. Korytarz i pokoje, które udaje mi się dostrzec, mają podłogi drewniane. Ściany pomalowano na kolor cappuccino.

Niepostrzeżenie przesuwam się o jeden krok, mój wzrok zatrzymuje się na klatce schodowej. Ciekawe, czy uszłoby mi na sucho, gdybym pobiegła na górę, odnalazła pokój Jacksona i przeszukała go. Wy tłumaczyłabym, że pożyczyłam mu notatki szkolne. Lub podręcznik. A może egzemplarz *Bleach*. Lub...

Dobra. Nie uszłoby mi to płazem. Już na podjeździe odniosłam wrażenie, że pani Tate o coś nas podejrzewa albo co najmniej jest czujna.

Cofam się o krok w kierunku drzwi i staję obok wąskiej, prostokątnej konsolki zastawionej licznymi fotografiami w ramach z patynowanego niklu. Podchodzę bliżej, zastanawiając się, czy powinnam po prostu zostawić tu klucze i wyjść.

Nie mogę oprzeć się tym fotografiom.

Pochyłam się, przyglądam każdej z osobna. Mała dziewczynka z jeszcze mniejszym chłopczykiem trzymają się za ręce, uśmiechają szeroko, niesamowicie słodcy. Ta sama dziewczynka z chłopcem kilka lat później, fala wlewa się na biały piasek, obmywa im stopy, w ich rękach jaskrawe wiaderka. Czterooosobowa rodzina: mama, tata, starsza siostra, młodszy brat na tle Wielkiego Kanionu. Domyślałam się, że oto widzę dwunastoletniego Jacksona. Wtedy po raz pierwszy wyciągnięto go do gry.

Nie mogę temu zaradzić i przesuwam delikatnie opuszką palca po jego postaci, następnie przechodzę do kolejnego zdjęcia. Na nim dziewczyna, czternasto- lub piętnastoletnia, siedzi w kajaku, śmieje się do obiektywu, słońce odbija się w wodzie wokół niej. Jej włosy są jasnobrązowe ze złotymi pasemkami od słońca, związane z tyłu w koński ogon, jej oczy ukryte za okularami przeciwsłonecznymi.

Ostatnie zdjęcie przedstawia zbliżenie twarzy tej samej dziewczyny – twarzy, którą rozpoznaję. Widziałam ją wcześniej, oczy zamknięte, skóra blada. Z powrotem jestem w jaskini, gdzie tuziny klonów o takiej samej twarzy leżą bez życia na kolejnych rzędach szpitalnych łóżek. Proszę, niech to samo nie spotka Jacksona. Proszę. Obejmuję się ramionami, czując nagły chłód.

– Zrobiliśmy je na krótko przed jej... – mówi łagodnie mama Jacksona stojąca tuż za mną. Prawie wyskakuję przez dach. – Och, przepraszam, nie zamierzałam cię wystraszyć.

– Nie, to ja... przepraszam.

Wyciągam klucze i kładę je na jej dłoni. Nie mogę się powstrzymać od ponownego rzucenia okiem na to zdjęcie.

– Lizzie – mówi. – Moja córka.

Kiwam głową. Niemal wymyka mi się słowo „przepraszam”. Wiem jednak, co sama odczuwam, gdy ludzie je powtarzają. Dlaczego przepraszają? Przecież to nie ich wina.

– Czas nie leczy wszystkich ran – mówię. – To kłamstwo, które ludzie powtarzają, abyśmy lepiej się poczuli. Aby oni sami lepiej się poczuli.

Po wymówieniu ostatniej sylaby chcę ją zatrzymać i cofnąć. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Na twarzy pani Tate pojawia się dziwna kombinacja smutku i zaskoczenia.

– Nie – przeciąga to słowo – czas nie leczy wszystkich ran. Ale je przytępia. Pamięć mniej boli. Dobre wspomnienia stają się wyraźniejsze, jaśniejsze. Złe zostają zepchnięte do miejsca, z którego już nie mogą nas tak ranić. Zobaczysz.

Dotyka mojego ramienia z sympatią. Otwieram usta tylko po to, aby się przekonać, że nie wiem, co powiedzieć. To Jackson musiał jej opowiedzieć o mojej mamie. Ojcu nie wspomniałam nawet, że Jackson istnieje, nie mówiąc już

o ujawnianiu jakichkolwiek intymnych szczegółów z jego życia.

– Idź już. – To odprawa, ale nie niegrzeczna. Pani Tate uśmiecha się do mnie. – Luka czeka.

Zamiast bezmyślnie się cofnąć, robię krok do przodu w jej kierunku i obejmuję ją. Naprawdę ją obejmuję. A ona odwzajemnia ten uścisk. Po sekundzie opuszczam głowę, cofam się i biorę nogi za pas.

Luka dźwiga na jednym ramieniu swój plecak, na drugim mój. Nie mówię ani słowa. Po prostu maszeruję, a on za mną.

– Kiedy byłeś w środku, coś przemyślałem – odzywa się, gdy minęliśmy dwie przecznice. – Chodzi o tę rzecz, której nie mogłem sobie wcześniej przypomnieć. – Przechesuje palcami swoje włosy. – Tyrone opowiedział mi o facecie z drużyny, który nie wrócił.

– Nie ma nic dziwnego w tym, że ktoś nie wraca, szczególnie w naszym świecie.

Luka zwleka przez chwilę, a potem dodaje:

– Tak, ale on później wrócił.

– Co? – Zatrzymuję się.

– Tyrone powiedział, że tamten złamał jakąś zasadę, wytoczono mu proces czy coś w tym rodzaju, ale w końcu odesłano go z powrotem.

Złamał zasadę i sędzono go – to dlatego podręcznik do prawa Jacksona wywołał wspomnienia.

– Sądził go Komitet?

– Komitet – powtarza jak echo. – To dziwne, że o tym wspominasz. Więc... za każdym razem, gdy Jackson napomykał coś złośliwie o Komitecie, to nie był wyłącznie dupkiem.

– To wszystko wyjaśnia.

– A zatem Komitet naprawdę istnieje...

– Przez duże K.

– I już spotkałaś jego członków?

Potakuję.

– A ty nie?

Potrząsa głową. Przenikliwy śmiech jakiegoś dziecka przerywa ciszę. Wargi Luki zwięzają się, rozgląda się wokół i mówi:

– Chodźmy.

Teraz ja się rozglądam. Na ulicy są inni ludzie. Jakies dzieciaki grają w baseball. Inne, mniejsze, jeżdżą w tę i z powrotem rowerami po chodniku, podczas gdy dwie mamy stoją na murawie, rozmawiają i obserwują. Luka nie chce, aby nas podsłuchano. Nie dziwię się.

– Czy ten chłopak – mówię, gdy już jesteśmy poza zasięgiem czyjegokolwiek słuchu – jest tym, którego... Chodzi mi o to, czy to ja go

zastąpiłam?

– Nie.

– Czy kiedyś go spotkałeś?

– Istniał przede mną.

Co oznacza, że albo zginął, albo został przeniesiony do innej drużyny. Lub skasował swoje tysiąc punktów i odszedł.

– Kto wytoczył mu proces? Co jeszcze powiedział Tyrone?

– Nie wiem. W ogóle mało wiem.

– Chyba nie możesz być już mniej pomocny?

Luka wzrusza ramionami. Przez kilka minut idziemy w ciszy, w tym czasie rozważam w myślach różne scenariusze.

– Czyli uważasz, że Jackson złamał jedną z niezliczonych głupich zasad i teraz musi za to zapłacić? I że odbędzie się coś w rodzaju procesu sądowego?

– To się chyba trzyma kupy?

Zgadza się.

– Ale którą zasadę?...

Luka ponownie wzrusza ramionami.

– Czekaj... – Zatrzymuję się gwałtownie, troska oplata mnie jak rozwijająca się kobra. – Jeśli Komitet osądzi Jacksona i uzna go za winnego, to przecież nie będą go mogli trzymać w nieskończoność w więzieniu w jakiejś alternatywnej przestrzeni. Rodzice zauważą, że zginął. Wpadną w popłoch, będą go szukać. Wezwą gliny. Nasi nauczyciele, przyjaciele, oni wszyscy zauważą, że go nie ma. Nie sądzę, aby Komitetowi zależało na ściągnięciu na siebie tego rodzaju uwagi.

Luka gestem ręki ucina rozmowę.

– Będzie kolejnym numerem statystycznym. Kolejnym dzieciakiem, który uciekł. – Potrząsa głową. – Ale do tego nie dojdzie. Jeżeli uznają go za winnego i zdecydują, aby go nie odsyłać, to postarają się o to, aby wszyscy o nim zapomnieli.

Wymażą z pamięci wszystko od chwili, gdy został zwerbowany do gry. Tak jak wszyscy zapomnieli o Richelle, bo umarła.

Jestem przerażona. Ale mniej niż na myśl o tym, że to Drau go pojмали. Potem to przerażenie rośnie.

– Czy uważasz, że oni go zabiją? – pytam.

Wiem, że Komitet jest do tego zdolny. W końcu wciągają do walki z obcymi dziećmi. Tłumaczą to tym, że dorosły mózg ma w pełni ukształtowane połączenia nerwowe, co oznacza, że dorosłych trudniej wyciągnąć i włączyć do gry. Rozwijający się mózg nastolatka przystosowuje się do tych zmian znacznie lepiej. Niby ma to sens. Co nie zmienia faktu, że Komitet jest bezwzględny. Każda decyzja, którą podejmuje, jest podyktowana pragnieniem pokonania Drau.

– Jeżeli uznają, że zasada, którą złamał, jest warta jego życia, to tak, zabiją

go – oświadcza Luka.

Wyobrażam sobie, jak Jackson leży zimny i nieżywy, jego złocista skóra jest szara, a drobne mięśnie, które sprawiają, że ma tak wyraziste oblicze, są obwisłe. Martwy. Ludzie bardzo zmieniają wygląd, gdy ta iskra, która daje im energię, gaśnie. Już nie są tymi samymi osobami, stają się jedynie zużytym opakowaniem.

Potykam się o krawędź nierównej płyty brukowej i chwytam Lukę za ramię.
– Musimy go odnaleźć. Musimy.

Brakuje mi słów. Odchylam głowę do tyłu i patrzę w niebo, walczę ze łzami, czuję bezradność, bezsilność i gniew.

– Tak. – W głosie Luki słyszę załamanie. Brzmi on tak, jak ja się czuję. – Tylko jak, do licha, mamy to zrobić?

Mierzymy się wzrokiem.

– Muszę się spotkać z Komitetem – mówię.

Luka rusza dalej. Idzie, staje, idzie, staje. Mam wrażenie, że znajdujemy się na zepsutym taśmociągu – metafora, która z dużym podobieństwem odzwierciedla moje obecne życie.

– Jak się z nimi skontaktować? – pyta.

– Sądzę, że sama mam większą szansę niż z tobą. Nie wiem, jak do nich dotrzeć. Nie mam bladego pojęcia. Muszę... – Wypuszczam gwałtownie powietrze. – Coś wykombinuję. Muszę zwyczajnie pokombinować.

Luka się nie odzywa. Wreszcie przełamuję ciszę:

– Jakies pomysły? Żadnych pytań?

– Nie – na pierwsze pytanie. Jeżeli chodzi o drugie: czy byłoby bezpieczne, gdybym cię pytał? Czy to bezpieczne, abyś odpowiadała? Czy masz pozwolenie, aby mi o nich opowiadać? Jackson nigdy tego nie robił.

W jego głosie nie wyczuwam goryczy, jedynie ciekawość i cień troski. To przypomnienie o zasadzie stożkowej strefy milczenia. Żadnych rozmów o grze i Drau w realu. Pamiętam, z jaką powagą Luka powiedział mi o tym po raz pierwszy.

Zdaje się, że teraz łamiemy wszystkie zasady po kolei.

– Nie wiem. Może to lepiej, że o nic nie pytasz. Nie chcę złamać żadnych zasad. – Luka może nie czuje goryczy, ale ja tak.

Zasady i zasady, i zasady. Te, o których kiedyś opowiedział mi Jackson. Te, które zasugerował. Te, które zupełnie nie mają sensu, bo utrzymują nas w niewiedzy, podczas gdy oświecenie nas lepiej służyłoby wypełnianiu misji niż utrzymywanie nas w ciemności.

– O złamaniu której z zasad opowiadał ci Tyrone? Co złego zrobił, że wytoczono mu proces?

– Tyrone mi nie powiedział. – Luka wzrusza ramionami. – Chyba nie wie.

Przez kilka minut o tym dumam, analizuję wszystkie zasady, które osobiście

złamałam, te, które o ile mi wiadomo, złamali inni w grze i poza nią.

– Ty i Tyrone próbowaliście przemycić różne rzeczy, aby udowodnić, że gra toczy się naprawdę, nie? I nic się wam nie stało. Ty i Jackson rozmawialiście ze mną o różnych sprawach poza grą, wyjaśnialiście niektóre rzeczy, odpowiadaliście na moje pytania. Łamanie zasad bez konsekwencji.

– No dobra. Rozumiem. Do czego zmierzasz?

Do czego zmierzam?

– Ty i ja rozmawiamy teraz o tym wszystkim i nikt nas nie aresztował czy coś takiego. A gdy byłam sama z Jacksonem w jaskiniach, powiedział mi mnóstwo rzeczy o grze i Komitecie, a także o – ściszam głos – Drau. Więc jeśli ma kłopoty z powodu złamanej zasady, to ona musi być bardzo ważna. Ważniejsza niż te, o których wspomnieliśmy.

– Jackson mówił ci o różnych sprawach?

Czy jest zły? Zraniony? Z jego obojętnego tonu nic nie wynika.

– Opowiedział mi o... nich. O ich planecie. O naszych przodkach. Ale to nie z tego powodu zaginął, a przynajmniej tak sędzę, ponieważ powiedział o tym wszystkim przed moim pierwszym spotkaniem z Komitetem. – Ponadto oni sami byli jeszcze bardziej otwarci, gdy zadawałam im pytania. Jeśli złamał tę zasadę, to dlaczego już wtedy go nie ukarali?

– A więc chodzi o coś, co wydarzyło się niedawno – mówi Luka. – O coś, co miało miejsce w tym budynku w Detroit.

Detroit. Jackson nawet nie powinien tam być. Już wtedy przehandlował mnie za swoją wolność i miał wypaść z gry.

Ale nie wypadł. Był tam.

Przyjął na siebie cios Drau przeznaczony dla mnie.

Teraz zniknął i muszę go znaleźć, zanim będzie za późno.

Rozdział czwarty

Na rogu ulicy Luka podaje mi plecak.

– Mój dom jest tam. – Jakbym nie wiedziała. – Czy nie obawiasz się zostać sama?

Zazwyczaj po takim pytaniu zjeżyłabym się, ale sposób, w jaki Luka je zadał, zrozumienie w jego oczach, fakt, że wiem, że jest tak samo przestraszony jak ja, sprawiają, iż przyjmuję jego troskę z gracją. Stukam ramieniem w jego ramię i mówię:

– Mój tata wkrótce będzie w domu. A co z tobą?

– Nie będę sam. Moja siostra z gromadą przyjaciółek zaplanowała dzisiaj wieczór piękności, będą malować paznokcie i włosy. – Trudno nie zauważyć jego urażonego tonu.

– Nie mów, że będziesz ich opiekunem.

– Chyba żartujesz. – W jego szeroko otwartych oczach widać strach i niedowierzenie. – Dziesięć dwunastolatek pod moją opieką? Nie ma szans.

– Byłam niańką, zanim skończyłam dwanaście lat. Czy one rzeczywiście potrzebują nadzoru?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo zawibrował jego telefon. Wyciąga go z kieszeni i słucha, jego twarz pozostaje bez wyrazu.

– Jasne – mówi. – W porządku. – Zanim kończy rozmowę, zerka na mnie. – Mój tata. Muszę lecieć.

Kiwam głową. Nie pytam dlaczego. To nie ma znaczenia. Jesteśmy nastolatkami. Nie zawsze mamy coś do powiedzenia w sprawie tego, co robimy lub dokąd idziemy. Rodzice mają oczekiwania, stawiają wymagania. Tak już jest. W tym przypadku jego tata pewnie żąda, aby zajął się dziewczynkami. Uznaję, że chyba nie jestem dobrą przyjaciółką, bo w duchu złośliwie się uśmiecham i zdecydowanie nie mam zamiaru zaoferować pomocy.

Gdy mijam róg swojej ulicy, podmuch wiatru porywa z ziemi papierowy kubeczek i turla go wzdłuż drogi, aż znika za garażem Sarkarsów. Na ogół w Rochester we wrześniu temperatury powietrza podnoszą się wysoko i szybko opadają – możesz chodzić do szkoły w samej koszulce z początkiem miesiąca, a pod koniec musisz zakładać ciepłą kurtkę. Może niezupełnie tak. Ale za bardzo nie przesadzam.

Na ramionach czuję gęsią skórę, przyspieszam kroku. Zimno wydaje się tym bardziej dotkliwie, że jestem wyczerpana, tak jakbym w ciągu dnia przeżyła cały rok.

Myślę jedynie o tym, jak trzymam w objęciach Jacksona, gdy on umiera od ciosu Drau.

Zaciskam szczękę. Umierał, ale nie był martwy. Żyje i mam zamiar go

odnaleźć.

Pomimo tego postanowienia opuszczam ramiona – nie dlatego, że zostałam pokonana, lecz z powodu całkowitej utraty energii. Z Detroit wróciłam w pełni zdrowa... przynajmniej fizycznie. Zmęczenie, które odczuwam, tkwi w moich kościach, moim sercu, mojej duszy. Nigdy nie byłam fanką napojów energetyzujących, ale po raz pierwszy naprawdę rozumiem, na czym polega ich urok. W tej chwili mam ochotę albo wypić ich pięć, albo wczłgać się do łóżka i spać przez miesiąc.

Niestety nie mogę. Muszę wymyślić plan, znaleźć sposób na dotarcie do Jacksona. W czasie mojej pierwszej misji, tej w Vegas, powiedział, że będzie się mną opiekował i ma nadzieję, że przy tym nie zginie. Pamiętam, co mu na to odpowiedziałam: „Osiem lat kendo. Nie pozwolę, aby cię zabili”.

Mówiłam poważnie, wtedy i teraz. Zamierzam go odnaleźć i sprowadzić do domu. Muszę tylko wykombinować, jak stanąć przed Komitetem i wybronić Jacksona. Wiem, że gdy Jackson był w realu, kontaktował się z nimi. Musi być więc sposób, aby i mnie się udało.

Odchylam głowę do tyłu i szepczę:

– Wnioskuje o audiencję, panowie. Proszę. – Przelykam ślinę. – Proszę.

Następnie wspinam się po schodach ganku i wyciągam klucze z torebki... i wyciągam... i wyciągam...

Moje ruchy są zbyt powolne, jakbym wyciągała klucz z syropu. Zmysły eksplodują – dźwięki są zbyt głośne, kolory zbyt jaskrawe. Plecak na ramieniu waży tyle co dziesięcotonowy gład. Zimne powietrze szczypie skórę i wnika głęboko. Nadmiar doznań.

Zostaję wyciągnięta. Rośnie uczucie paniki. Znowu? Tak szybko? Nie mogę. Nie mam w sobie tyle siły, aby znowu walczyć. Jeszcze nie teraz.

Dociera do mnie, że istnieje również inna możliwość, i miejsce paniki zajmuje niecierpliwe wyczekiwanie. Komitet. Musieli mnie usłyszeć. Pewnie spodobało im się to „proszę”.

Coś odbija się od górnej części mojej stopy, ostry ból, który szybko przechodzi w odrętwienie. Spoglądam w dół i widzę, że to breloczek do kluczy. Plecak wyslizguje się z bezwładnych rąk i łąduje koło nogi z głuchym odgłosem.

Świat przechyla się i wykrzywia, drzwi frontowe powoli opadają na jedną stronę. Lub ja opadam.

Czuję zawroty głowy i osuwam się na kolana, ramiona mam rozpostarte, dłonie płasko rozciągnięte na ziemi, aby przyblokować upadek. Jednak nie padam na drewnianą podłogę ganku. Uderzam w trawę, miękką i wysoką. Spoglądam w górę, wiedząc, co zobaczę – szeroką trawiastą polankę otoczoną drzewami.

Jestem w poczekalni.

– Nie! – krzyczę.

Nie chcę tu być. Powinnam stanąć przed Komitetem, zdobyć informacje, które pomogą mi odnaleźć Jacksona. Zamiast tego zostałam wyciągnięta do walki z Drau. Kolejna misja.

A gdzie odpoczynek i regeneracja?

Wściekłość jak toksyczne odpady osadza się w duszy.

Gra dała mi jedno, pozwoliła opaść niemej, szarej mgłę, która spowijała moje emocje, odkąd umarła mama. Złość i ból zawsze przenikały przez tę szarość, lecz teraz mają tak jasne i ostre kolory, że ze zdumieniem wzdycham. Uważaj, czego sobie życzysz.

Głowa opada do przodu pomiędzy rozciągnięte ramiona, walczę z nagłą potrzebą wyciągnięcia się i powiedzenia: „Wystarczy”. Czarny pasek wokół nadgarstka przyciąga moją uwagę. Mój kom. Pojawia się zawsze wtedy, gdy zostaję wyciągnięta. Kom mierzy poziom zdrowia w grze – przenośny pasek życia. Teraz wyświetla kolor ciemnozielony, poprzetykany spiralami niebieskiego, turkusowego i jasnozielonego, podobny do opalu, który ojciec Kelly przywiózł jej z Australii, gdzie wysłała go firma na miesiąc.

Im więcej ran odniosę w grze, tym więcej pojawi się w zieleni koloru żółtego, potem pomarańczowego, wreszcie czerwonego.

Cała czerwona bransoletka – i nie żyję.

Zmiotam tę myśl na dno ciemnej studni, w której odkładają się wszystkie strachy i potwory, gotowe wypełzać i tuczyć się moim zdrowiem psychicznym.

Steruj koszmarami. Tak radził Jackson. Kontroluj, co możesz zrobić, i odpuść to, czego nie możesz.

Pozwolić im odejść to najtrudniejsze zadanie.

Z drugiej strony może nie powinnam brać sobie do serca porad Jacksona? Wiadomo, gdzie wylądował.

Śmieję się, wydaję mroczny, obrzydliwy odgłos. Czuję się dzika i poza kontrolą. Nienawidzę każdej sekundy sytuacji, w której się znalazłam. Nie chcę być tą dziewczyną.

Sięgam do worka ze sztuczkami doktora Andrews, terapeuty od smutku, który uczył mnie: „Oddychaj. Wyobrażaj sobie. Skoncentruj się”.

Sięgając w głąb, sonduję zanikające źródło mojej determinacji. Co mnie specjalnie nie cieszy.

Przybywają.

Ten dźwięk przenika mózg, mięśnie, kości, wibruje w każdym nerwie ciała. Smakuję go, czuję go. Sposób, w jaki Komitet nawiązuje kontakt, jest megadziwny. Nie każdy uczestnik gry może ich usłyszeć, tylko dowódcy zespołów. Ja to mam szczęście.

Pierwsza pojawia się Kendra. Jej oczy są szeroko rozwarte, blond loki sterczą pod dziwnym kątem, ramiona złożyła na piersiach, jakby próbowała

utrzymać się w jednym kawałku. Rozpoznaję tę pozę, sama często ją przybieram. Ale nigdy mi to nie pomaga. Zastanawiam się, jaki ona ma z tego pożytek.

– Nie. – Dziko potrząsa głową, gdy tylko mnie dostrzeża. – Nie mogę. Nie mogę. Jeszcze nie. – Z pośpiechu jej słowa zbijają się w bełkot. – Dlaczego tak szybko znowu nas wyciągnięto? Nie chcę tego robić. Nie sądzę, abym mogła... Miki – Przerywa i po prostu potrząsa głową.

„Dlaczego uważasz, że masz wybór?” – to klasyczny jacksonizm. Tę myśl zachowuję dla siebie. Uchodzi mu na sucho trzymanie się wizerunku dupka. Z perspektywy czasu sądzę, że w jakiś sposób ta jego cecha pomogła nam przetrwać. Wątpię, abym bez niego nawet w połowie tak dobrze sobie radziła.

Kendra rozgląda się.

– A gdzie reszta? – Jej głos jest o ton wyższy, słowa płyną lekko i szybko. – Dlaczego jesteśmy same? Nie mów, że im się nie udało. – Podbiega do mnie i chwyta mnie za ramię. – Lien – szepcze.

Przykrywam jej rękę swoją.

– Jest okej. Z Lien wszystko dobrze. Przeżyła. Wszyscy przeżyli.

Cóż, nie wszyscy. Każdy z naszej pięcioosobowej drużyny, owszem. To dar nie do odrzucenia, ale słodko-gorzki. Po zakończeniu ostatniej misji zostawiliśmy za sobą zbyt wiele rozszarpanych ciał. Nie mieliśmy wyboru. Co nie znaczy, że to w porządku i że łatwo z tym żyć.

Jednym z ludzi, którzy tam zostali, był Jackson. O, to było zdecydowanie nie w porządku.

Przełykam ślinę i odwracam wzrok, gdy Kendra chowa twarz w dłoniach.

Kątem oka wychwytyuję jakieś ruchy, inne drużyny zbierają się na innych polankach – zwierciadlane odbicia tej, którą mogę widzieć, pod warunkiem że robię to dyskretnie. Gdybym odwróciła głowę i przyglądała im się bezpośrednio, zniknęłyby i widziałabym jedynie drzewa i trawę.

Chociaż są w innym miejscu lub wymiarze, czy cokolwiek to jest, świadomość ich obecności podnosi mnie na duchu. Moja drużyna nie tkwi w tym samotnie.

Fakt, że mogłam ich widzieć już od momentu, gdy mnie wyciągnięto, był pierwszą wskazówką, że jestem inna niż większość graczy. Nie tylko dlatego jestem specjalnym przypadkiem, ponieważ słyszę głosy w głowie w odróżnieniu od pozostałych członków mojej drużyny, widzę także inne poczekalnie i inne drużyny.

Kendra pociąga nosem i wyciera oczy wierzchem dłoni. Jedyne pocieszenie, które mogę zaoferować, to położyć rękę na jej ramieniu. Nie mam nawet chusteczek.

– Okej – szepcze. – Poradzę sobie. To nastąpiło po prostu zbyt szybko. Myślałam, że będziemy mieć przerwę.

– Ja też.

Prędko się jednak uczę, że jeśli chodzi o grę, to nie można niczego oczekiwać i najlepiej zbyt dużo nie myśleć na ten temat. Sztuka polega na tym, aby grać na przeżycie.

Zmierzam w kierunku gładów na skraju polany, gdzie na ziemi jedna przy drugiej leży pięć uprzęży. Obok znajduje się czarne pudło z pięcioma sztukami broni złożonymi w piance, a dalej płasko miecz w pochwie.

Chwytam jedną uprzęż i rzucam do Kendry. Łapie ją, piers jej faluje przy każdym płytkim, chrapliwym oddechu. Skupiam się na dopasowaniu własnej uprzęży, uznając, że potrzebuje minutki, aby ochłonać. Lepiej niech się pospieszy. Być może ma nie więcej niż minutę.

Krzyżuję paski tak, jak nauczył mnie Jackson, jeden przechodzi przez pierś, drugi opada nisko na biodrach. Trzymając rękę nad pudełkiem, unoszę ją nad każdym z walców po kolei, dopóki jeden z nich nie wylatuje i nie ląduje w mojej dłoni. Wsuwam go do kabury po prawej stronie.

„Broń trzeba nosić po dominującej stronie. Nie możesz sobie pozwolić na sięganie po nią po stronie przeciwnej. To by cię spowolniło” – przypominam sobie mądre rady Jacksona. Tak jakby mnie pilnował, choć go tu nie ma. Zamykam oczy, przywołuję jego twarz, zbyt krótki błysk jego ironicznego półuśmiechu. Pamiętam sposób, w jaki mnie trzymał w jaskiniach, i prosił, abym odpoczęła, składając głowę na jego ramieniu jak na poduszce.

Otwieram oczy i zmuszam się do koncentracji na tu i teraz zamiast na chwilach z przeszłości, które chciałabym ponownie odwiedzić. Nie powinnam o tym myśleć. Nie teraz.

Wystarczył rzut oka na Kendrę i wiem, że przynajmniej udało jej się założyć uprzęż, choć nie odebrała jeszcze swojej broni. Jej dolna warga drży. Jeśli zacznę ją uspokajać, to polepszę czy pogorszę jej nastrój?

Pochylam się i chwytam miecz, który leży na ziemi obok pudełka z bronią. Jak każdy inny uczestnik, mam uzbrojony walec, ale dostaję też ostrze. Przywilej wodza. Plus musi zrównoważyć minus.

Miękka jedwabna owijka i ciężar rękojeści znajomo spoczywa w ręce dzięki latom ćwiczeń kendo, ale samo ostrze jest zupełnie inne niż te, do których przywykłam lub widziałam w przeszłości. Nie jest to drewniany *bokken* czy bambusowy *shinai*, których używałam w czasie treningów i na zawodach. To prawdziwy miecz, *shinken katana*. Choć widziałam już kilka wspaniałych egzemplarzy, żaden nie może się z nim równać. Ostrze jest czarne, gładkie jak szkło. Nie zgina się i nie łamie, lecz – jak miałam okazję przekonać się w Detroit – wchodzi w Drau jak w masło.

Na myśl o tym ciągle przewraca mi się żołądek, choć przecież sprawa jest prosta – oni albo ja.

W zeszłym roku recenzowałam książkę *Amerykański snajper*. Napisał ją

członek ugrupowania SEAL Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych na temat swoich misji – dziewięciu, o ile dobrze pamiętam. Czytałam z nim wywiad, w którym powiedział, że nie postrzega swoich celów jak ludzi. Zabijał, ale nie traktował ich osobiście, nie mógł sobie pozwolić na spekulacje, czy mają żony, dzieci lub rodziców. Jego zadaniem było utrzymanie swoich żołnierzy przy życiu. Zabicie kolejnego wroga oznaczało, że ten nie miał szansy zabić kogoś z drużyny.

Wtedy to do mnie nie dotarło. Myślę, że teraz rozumiem. Albo oni, albo ja.

A paskudna ironia w tej opowieści? Po tym wszystkim, co przeżył, niebezpieczeństwach, z którymi musiał się zmierzyć, zginął zastrzelony na strzelnicy gdzieś w Teksasie.

Oddycham nierówno. Po tym wszystkim, co wycierpiałam, jeśli zginę w grze, rąbnie mnie i zabije pędząca, zardzewiała ciężarówka.

Tkwi w tym jakieś głębokie, filozoficzne przesłanie.

Nie mam szansy, aby je odczytać. Komitet wciska mi do głowy wiedzę, dźwięk i teksturę, które istnieją jedynie w neuronach eksplodujących w moim mózgu – przybywają.

Rozdział piąty

Tyrone pojawia się z zaciśniętą szczęką i dłońmi zwiniętymi w pięści. Jest wysoki i przystojny, ma gładką brązową skórę, pełne usta, jego ciemne, mocno skręcone włosy są obcięte krótko przy skórze. Oczy – jak oczy nas wszystkich – są niebieskie, lecz tylko moje pozostają takie po grze, choć o jeden odcień indygo ciemniejsze. Gdy nie gramy, oczy Luki są brązowe. Myślę, że Tyrone’a i Lien również. Nie jestem pewna, jaki kolor mają oczy Kendry. Z taką jasną skórą i włosami pewnie ma niebieskie lub szare.

Zjawia się Luka. Wygląda na oszołomionego, później na wściekłego, a jego ciało napina się, gdy zdaje sobie sprawę, że naprawdę znowu tu jesteśmy.

– To jakiś nonsens – burczy.

– Dobrze powiedziane – wtóruje mu Tyrone i spogląda na mnie. – A Jackson? – pyta z wyrazem twarzy nie do odczytania.

On i Jackson przez ostatnie dwa lata czuwali nad sobą nawzajem, ich związek jest skomplikowany – po części intensywnie się nie cierpią, po części szanują, lecz również darzą się uczuciem specyficznym tylko dla facetów. Tyrone nadal oplakuje śmierć Richelle. Utratę Jacksona...

Nie chcę o tym myśleć.

– Wierzę, że on żyje – mówię.

– Wierzysz – powtarza Tyrone, po czym zwraca się do Luki: – Ty też w to wierzysz?

– Tak.

– W takim razie ja też będę w to wierzył. – Tyrone podchodzi i przypatruje mi się, jego pełne usta są zaciśnięte w wąską kreskę. – A z tobą okej?

Kiwam głową, ale przez tę kulę w gardle nie mogę wydobyć z siebie żadnego słowa. Zerkam na Kendrę. Stoi z boku, ramiona ściśle obejmują brzuch, barki ma przygarbione. W każdym razie czuję się lepiej niż ona.

Gdy pojawia się Lien, Kendra podbiega do niej z krzykiem. Splatają swoje palce, Lien pochyla głowę i szepcze coś do Kendry. Przypomina mi to chwilę, gdy widziałam je razem po raz pierwszy, stały blisko siebie, dotykając się ramionami, strzegły się przed światem, formując dwuosobową ścianę. Każdy z ich pierwszej drużyny zginął. Tylko one przetrwały. Teraz są w mojej drużynie i zamierzam zrobić wszystko, aby były bezpieczne.

Czuję dreszcze. Jak to się stało, że jestem odpowiedzialna za cztery inne życia?

Słyszę urywki ich rozmowy prowadzonej głośnym szeptem.

– ...nie mogę tego zrobić...

– ...potem wskakujesz i bierzesz... będzie dobrze...

– ...a jeśli nas złapią?...

Lien widzi, że się im przyglądam, i przybiera obojętny wyraz twarzy. Przeczesuje ręką lśniące czarne włosy, po czym strząsa krople wody, które zawisły na jej palcach.

– Właśnie brałam prysznic. – Wskazuje na spodnie do jogi i klapki. – Chyba mam szczęście, że w ogóle zdążyłam coś na siebie założyć. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdybym została wyciągnięta pięć minut wcześniej?

Luka obrzuca ją spojrzeniem z góry na dół i rusza brwiami.

– Chciałbym to zobaczyć.

Kendra mierzy go wzrokiem, z którego nic nie mogę wyczytać, natomiast spojrzenie Lien jest bardzo wymowne. Reszta z nas się śmieje, choć nie było to wcale takie zabawne. Kojący humor.

Niemniej pytanie Lien nadal chodzi mi po głowie. Mnie wyciągnięto pięć minut wcześniej. Więc dlaczego nie Lien? Ponieważ liderzy wyciągani są jako pierwsi? Może Komitet dokładnie wiedział, co robiła w tym czasie – co każde z nas robiło – sekunda po sekundzie? Czy obserwują nas także wtedy, gdy śpimy? Gdy jesteśmy w łazience? Możliwość, że rzeczywiście tak jest, wywołuje dreszcze kroczące jak stonoga wzdłuż kręgosłupa.

– Mam złe przeczucia – mówi Tyrone, krzyżując ręce na piersiach, i jednocześnie ugina kolano, gdy jego stopa znajduje oparcie na głazie. – Ostatnia misja była beznadziejna.

– Tak było – zgadza się Luka.

Kendra kiwa głową, a Lien odpowiada krótkim naburmuszonym śmiechem. Jednomyślna zgoda. O ile pamiętam, po raz pierwszy.

Ostatnia misja była pionierska pod wieloma względami: pierwszy raz każdy z nas współpracował z inną drużyną, pierwszy raz spotkaliśmy aż tylu Drau i wreszcie ta bitwa była autentyczną bitwą, a nie utarczką.

Pierwszy raz byłam przywódcą.

Pierwszy raz nie udało się Jacksonowi.

Dopiero po sekundzie zdaję sobie sprawę, że pięści zaciskam tak mocno, aż wbijam paznokcie w dłonie.

– Wróciliśmy uleczeni z ran na ciele, lecz nie na duchu. Potrzebujemy przestoju, bo inaczej będziemy popełniać błędy. Śmiertelne w skutkach. To nastąpiło zbyt szybko – oświadcza Tyrone.

Otrząsam się z uczucia *déjà vu*. Tyrone powiedział to samo, gdy zostaliśmy wyciągnięci pierwszy raz po śmierci Richelle. Stał koło jednego z głazów, jego głos ochryplł od płaczu, a Jackson mówił nam wtedy, że mamy do wykonania robotę i wykonamy ją. Nie musiał dodawać: „Albo pożegnamy się z życiem”.

– Nie ma znaczenia, że tak szybko – włącza się Luka. – Jak widać, nie dbają o to.

W jego głosie słychać gniew i strach, nie mam wątpliwości, że odzwierciedla

emocje całej drużyny. Nie mogę mu pozwolić, aby pogрузzył się jeszcze bardziej. Jego życie – życie nas wszystkich – zależy od koncentracji i poświęcenia. Nie możemy poddać się rozpacz. Luka musi zaangażować się w grę. Wszyscy musimy. Gniew na Komitet nie doprowadzi do niczego dobrego.

– Może nie mogą pozwolić sobie na luksus troszczenia się o nas? – mówię. – Czy sądzicie, że mogą wybierać, kiedy nastąpi atak Drau? Uważacie, że decydują o ramach czasowych tej wojny? Wątpię, że dowództwo Drau przedkłada im tygodniowy harmonogram.

Lien prycha. Wszyscy słuchają mnie z uwagą, więc prę naprzód, improwizuję i nie mam bladego pojęcia, na czym skończę.

– Mają misję, którą należy zakończyć, więc wyciągają drużynę, która ma tego dokonać. My jesteśmy tą drużyną. Lecz nie jesteśmy sami. – Spoglądam na każdego z nich po kolei. – Ilu innych było w Detroit? Straciłam rachubę, w istocie ta liczba nie ma znaczenia. To, co ma znaczenie, to fakt, że inni właśnie się zbroją, aby wyruszyć. Będą walczyć. Jak my. Żeby świat przetrwał. – Milknę. – Wiem, że to, co mówię, brzmi jak szaleństwo. Kilka grup nastolatków broni rodzaju ludzkiego przed anihilacją. Szaleństwo czy nie, tak właśnie jest.

– Nie takie znowu szaleństwo – mówi łagodnie Kendra. – Mój pradziadek miał osiemnaście lat, gdy pojechał za ocean walczyć z Hitlerem. Był artylerzystą w czasie drugiej wojny światowej. Opowiadał nam historię o tych, których nazywał chłopakami... o swoim plutonie czy czymś takim. Wszyscy byli młodzi. Jak my.

– Mój pradziadek był zbyt młody, aby walczyć.

Celowo nie wspominam, że część wojny spędził w obozie przesiedleńczym. Lojalność jego i jego rodziców stanęła pod znakiem zapytania ze względu na japońskich przodków. Wojna ma to do siebie, że potęguje paranoję, nienawiść i uprzedzenia.

– Miki, skąd wiesz, że są inne drużyny? – pyta Luka.

– Ty też o tym wiesz. Widziałeś je w Detroit.

– On chyba pyta, skąd wiesz, że inne zespoły teraz też się szykują – wyjaśnia Tyrone.

– Widzę je. Widzę poczekalnie, które są odzwierciedleniem naszej, i drużyny, które poruszają się w nich.

– Poważnie? – pyta zdziwiony Luka.

Wzruszam ramionami.

– Wallhack – wtrąca Tyrone. Unoszę brwi, więc wyjaśnia: – W grze „Counter-Strike” wallhack to rodzaj oszustwa, polegający na tym, że gracz może widzieć rzeczy za ścianą, które na ogół są niewidoczne, ściana staje się jakby przezroczysta.

– Więc to ma nazwę? – pytam. – Pojęcie z gry? Dziwne.

Tym razem to Tyrone wzrusza ramionami. Luka przechyliła głowę na bok.

– Czekaj, pamiętam... pierwszy raz, gdy zostałam wyciągnięta, nie? Ciągłe pytałaś, kim oni są, a ja sądziłam, że chodzi ci o Tyrone'a i Richelle. Ale ty pytałaś o inne drużyny.

Potakuję głową.

– Dlaczego właśnie ty? – pyta Tyrone, odpycha się od głazu i podchodzi bliżej, jednocześnie mierząc mnie wzrokiem.

– Genetyka. – Proste i zarazem złożone. Jackson wyjaśnił to tej nocy, gdy wspiał się przez okno do mojej sypialni. – Każdy z nas w jakimś stopniu posiada DNA obcych. Ja mam podwójną dawkę ze względu na specyficzny zestaw alleli.

Tyrone i Lien kiwają głowami ze zrozumieniem, ale inni wyglądają na zdezorientowanych.

– Allele to różne warianty tego samego genu – wyjaśniam. – Więc wszyscy mamy geny istot pozaziemskich, ale moje są jakby napompowane sterydami.

– Dlaczego? – pyta Tyrone.

– Los na loterii? – Rozpościeram ręce w geście „nie mam pojęcia”.

– Opowieści mojego pradziadka dotyczyły głównie chłopaków, którzy zginęli – mówi Kendra, jakbyśmy nie zostawili już tego tematu za sobą.

Jej głos brzmi dziwnie, trochę śpiwnie, jakby była w innym świecie niż reszta. Czuję zaniepokojenie, gdy obserwuję wyraz jej twarzy. Jest pusty, płaski. Zbyt płaski. Wolę, gdy gości tam trochę emocji, nawet jeśli jest to strach.

– Opowiadał nam, jak zginęli. W okopach. Na plażach. W czasie długich, zimnych marszrut przez wrogie terytoria. Zginęli. – Patrzy na Lien i bezbarwnie ciągnie dalej: – Nie mogę znowu iść. Boję się. Nie chcę umierać.

Te słowa mnie nie martwią. Strach to normalka. Wszyscy go odczuwamy. Co mnie uderza, to jej obojętny ton. Obawiam się, że nie całkiem jest obecna, a to może dla nas wszystkich oznaczać niebezpieczeństwo.

– Kendra – mówię. – Możesz to zrobić. Możesz.

Musisz albo zginiesz – ale tego jej nie mówię. Nie muszę. Ona to wie.

Oczy jej się zwężają. Podbródek wysuwa naprzód.

– Nadal tutaj jesteś – teraz mówi zjadliwym głosem – ale my straciliśmy całą drużynę. Wszyscy zginęli. Nie wiesz, jak to jest!

W trzech krokach podchodzę do niej. Kendra kuli się w sobie, jakby myślała, że ją uderzę. Lien przesuwa się tak, że w połowie zasłania Kendrę. Omijam ją i podchodzę jeszcze bliżej.

– Zamierzam ją uderzyć jedynie słowami – warczę do Lien. Kiedy koncentruję się na Kendrze, mój głos jest niski i równy. – Nie wmawiaj mi, co wiem, a czego nie wiem. A dla jasności, nie wszyscy z nas są tutaj. Też straciliśmy członków drużyny. Przyszłam w miejsce chłopaka, który zginął. Ty i Lien zastąpiłyście innych kolegów, których straciliśmy. Richelle nie żyje. Jackson zaginął. A o stracie i żalu wiedziałam co nieco, zanim weszłam do gry.

Kendra cofa się o kolejny krok. Nie chciałam jej przypierać, lecz przecież wiem, dlaczego tak się czuje. Kurczę. Mój zespół pęka. Muszę coś zrobić, żeby ta szczelina nie poszerzyła się jeszcze bardziej, choć nie wiem co.

Chciałabym, żeby był tu Jackson. Z wielu powodów. To, że nie musiałabym się tym zajmować, jest jednym z najważniejszych. Po tym, co spotkało nas w Detroit, myślałam, że więzy w drużynie raczej się zacieśniły, lecz w rzeczywistości to doświadczenie nas rozdzieliło.

Kendra wzdryga się, gdy do niej sięgam. Ignoruję ten odruch i biorę ją za rękę – tę, której nie ściska Lien – i tak długo rozpycham jej palce, aż ściśle splatają się z moimi. Drugą rękę wyciągam ku Luce. Podchodzi i oboje spoglądamy w kierunku Tyrone'a.

– Nie będę trzymał cię za rękę, brachu – mówi Tyrone do Luki, brwi uniesione, głowa odskakuje mu do tyłu.

– Boisz się małej przytulanki? – pyta ze śmiechem Luka.

Rzuca się w kierunku Tyrone'a i udaje mu się go złapać za mały palec. Tyrone chrząka i obraca się, aby objąć Lukę ramieniem i zderzają się piersiami w typowo męskim uścisku. Nie zdziwiłabym się, gdyby następnie sięgnęli po swoje maczugi i uczyli się rozpalania ognia.

– Trzymanie za ręce nie będzie, ale uściski i całuski są dozwolone? – pyta zadziornie Lien.

Luka ściąga brwi i cmoka, dopóki Tyrone nie wali go pięścią w bark.

– Chłopcy – prycha Lien.

Kendra chichocze ze łzami w oczach, sięga w kierunku Tyrone'a i po chwili trzyma za ręce i jego, i Lien.

Humor jest mile widziany. Wszyscy spuszczaają trochę pary. Ale mamy mało czasu. Za parę sekund może pojawić się punktacja i wtedy zostaniemy wciągnięci w kolejny koszmar zgotowany nam przez Drau.

Luka chwyta za rękę Lien, która rzuca mu groźne spojrzenie, ale nie zabiera ręki. Sięgam po Tyrone'a, zamykając krąg.

– Tu nie chodzi o nasz zespół czy twój zespół. – Podnoszę nasze złączone dłonie. – Jesteśmy całością. Rozumiecie? Wszyscy jesteśmy jedną drużyną.

Czekam chwilę, aby to do nich dotarło i abym sama mogła poskładać myśli. Muszę właściwie dobrać słowa i boję się, że popełnię błąd. Nie jestem przywódcą. Nie jestem.

Jestem samotnikiem.

Nawet w trakcie tych ośmiu lat, gdy w zespole ćwiczyłam kendo, zawsze odstawałam. Ponieważ byłam wnuczką Sofu. I byłam jedyną dziewczyną. Lecz teraz nie jestem tylko częścią drużyny, oni liczą, że dzięki mnie przeżyją.

– Nie jestem Jacksonem. – Spoglądam na Lukę. – Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania. Ale spróbuję.

Ściągam usta, szukając odpowiednich słów. Teraz lepiej pojmuję Jacksona, jego zasadę, że każdy człowiek dba sam o siebie. Udało mu się uratować wielu, powtarzając, aby pilnowali swoich tyłków. W tym samym czasie narażał się dla nich, aby te tyłki cało wynieść z opresji. Bez względu na to, jaki był – jest dobry. Jackson nie mógł uratować wszystkich za każdym razem. Walczymy z obcymi, którzy są szybsi, silniejsi i prawdopodobnie inteligentniejsi.

– Przebrnęliśmy przez Detroit – przypomina Tyrone.

– Więcej miało to wspólnego z łutem szczęścia niż z geniuszem dowódczym – odpowiadam.

Gdy patrzę na to z tej strony, nie sędzę, abyśmy mieli szansę. Dlatego nie mogę sobie pozwolić na takie myślenie. Nie mogę spekulować na temat wyborów, których będę musiała dokonać. Jak Jackson, gdy musiał zdecydować, czy ma ocalić mnie, czy Richelle.

Wiem, że byli przed nią również inni, których nie mógł ocalić.

Nie wiem, jak może żyć z tymi stratami. I nie zamierzam się dowiadywać.

– Idziemy na misję, bo musimy – mówię, napotykać wzrok każdego po kolei, nie spiesząc się. – Drau padną. My wszyscy znowu wrócimy. My. Wszyscy. Znowu. Wrócimy.

Muszę w to uwierzyć. Tak jak wierzyłam, że wygram w kendo z chłopakami, którzy byli silniejsi i szybsi ode mnie. I jak wierzyłam, że przetrwam śmierć mamy i szarą mgłę depresji, która po niej nastąpiła.

Muszę przełamać strumień negatywnego myślenia, przekonanie, że nie jestem w stanie.

Przetrwam.

Moja drużyna przetrwa.

Cały cholerny świat przetrwa.

Rozdział szósty

Punktacja – oznajmiam.

Wiem, że nadchodzi, zanim jeszcze się pojawia. Odwracam się w stronę środka polany razem z innymi. Powietrze migocze, jakby uderzało w gorący asfalt, po czym materializuje się błyszczący czarny prostokąt i zawisa nad nami, jego przednia ściana przypomina gigantyczny, cienki ekran TV. W rzeczywistości on nie istnieje. Gdybym go dotknęła, jego kształt nagne się i wykrzywi, a gdy odsunę palec, wróci do stanu pierwotnego – próbowałam, gdy pierwszy raz go zobaczyłam po śmierci Richelle.

Moje zdjęcie otoczone czarną lamówką pojawia się na ekranie – nie całkiem zdjęcie, lecz obraz 3D, jakbym była częścią gry wideo. Moje 3D nosi ubranie, które miałam w czasie ostatniej misji – spoglądam w dół – to samo mam na sobie w tej chwili. Na zdjęciu jest podarte i zakrwawione. Obraz wiruje wokół własnej osi i ustawia się do góry nogami, potem po prawej stronie ekranu, aż wreszcie przemieszcza się do lewego górnego rogu. Nie zostanie tam długo.

Zdobywamy punkty za zabicie Drau: pięć za strażnika, dziesięć za specjalistę, piętnaście za dowódcę, dwadzieścia za komandora. Dodatkowe punkty za strzał w głowę, trafienia wielokrotne i za atak z ukrycia. Dostajemy punkty na doładowanie broni, a tracimy za odniesione rany. Jeżeli gracz zdobędzie tysiąc punktów, wychodzi z gry. Jest wolny. Przynajmniej tak głosi plotka.

W rankingu liczą się punkty skumulowane, na czele są ci z największą liczbą. Mój wynik nie jest najwyższy, ale to nie ma znaczenia. Tysiąc punktów czy sto tysięcy, i tak nie mogę odejść. Dowódcy nie mają takiej opcji.

Jedyny sposób, abym wyszła z gry, to znaleźć innego dowódcę, który zajmie moje miejsce. Nie mam nawet pojęcia, gdzie zacząć szukać kogoś takiego jak ja, kogo DNA, podobnie jak moje, jest pomieszane z pozaziemskimi przodkami poprzez matkę i ojca. Kogoś z dokładnie takim samym zestawem genów, kto usłyszy w głowie Komitet i zobaczy inne drużyny na zwierciadlanych odbiciach polanek. A nawet gdybym znalazła taką osobę, to jak mogłabym ją wplątać w coś takiego? Czy mogłabym skazać ją lub jego na takie życie?

Nie. Nie teraz. Jeszcze nie.

Rozumiem, dlaczego uczynił to Jackson. Kręcił tym kołowrotkiem przez pięć niekończących się lat. Być może będę równie zdesperowana, oczywiście jeśli tak długo przetrwam.

Następne zdjęcie 3D to Luka, potem Tyrone, Kendra i Lien. Za każdym razem, gdy kolejny obraz się kręci, a następnie przesuwa do rogu, strąca mój o stopień niżej.

Obok naszych imion pojawiają się dwie kolumny białych liczb. Pierwsza oznacza punkty zdobyte w ostatniej misji, druga podaje punkty skumulowane od

początku przystąpienia do gry. Nasze zdjęcia ustawiają się zgodnie z najwyższą punktacją – Luki na samej górze, moje na końcu. Analizuję te liczby i czuję, że coś jest nie tak.

Nie chodzi o to, że mój wynik jest najniższy. Wyniki Jacksona również zawsze były na dnie. Mimo to obok jego nazwiska widniała plakietka uznania – brązowa gwiazda z mniejszą gwiazdką w centrum – ponieważ był dowódcą. Teraz to obok mojego imienia widnieje taka plakietka. Proste brązowe kółko. Pewnie nie dorosłam jeszcze do gwiazdy.

Po Luce następuje Tyrone, potem Kendra, dalej Lien. Mimo że Tyrone gra dłużej od Luki, celowo zaniżał swoją punktację, aby nie wypaść z gry, gdyż dawało mu to szansę spotkania się z Richelle. I prowadzenia badania. Zamierzał stworzyć grę wideo, bazującą na jego doświadczeniach, i dzięki temu zarobić kasę. Sądzę, że kiedy Richelle zmarła, jego plany się zmieniły.

Nienawidzę tego. Zdjęć. Punktacji. Trywializują nas, to, co robimy, i ryzyko, które podejmujemy. W czasie każdej misji możemy stracić życie. Komitet przekonuje, że całą tę operację opracował jako grę, gdyż jest to format przystępny, z którym utożsamiają się nastolatki. Wtedy zaakceptowałam te wyjaśnienia, ale obecnie mam wątpliwości.

To nie gra. Nie powinni nas traktować, tak jakby nią była. Właśnie to cały czas powtarzał Jackson.

Przyglądam się punktacji i próbuję dociec, co jest nie tak. Coś się tu nie zgadza, ale nie mogę wpaść na to co.

„Skok za trzydzieści sekund” – to Komitet przesyła myśli bezpośrednio do mojego mózgu bez względu na to, czy tego chcę, czy nie.

Odradzamy się w pokoju – dużym, przyćmionym, o gładkich szarych ścianach. Metalowe? Dotykam najbliższej, pukam palcem w powierzchnię. Tak, metal.

Przed nami znajdują się wielkie pofałdowane drzwi – czarny prostokąt ulokowany centralnie nad nimi świeci czerwonymi lśniącoymi paskami. Nie, nie paskami... numerem LED: siedem. Tuż przy drzwiach jest klawiatura z otworem na kartę identyfikacyjną.

– Gdzie jesteśmy? – szeptem pyta Lien.

Przykładam palec do ust. Wolę, aby nikt nic nie mówił, dopóki nie upewnię się, że można bezpiecznie rozmawiać. Wskazuję palcem ponad jej ramieniem, by spojrziała na to, co widzę ja. Koło dalekiej ściany zaparkowały dwa czarne sedany. Na tablicach rejestracyjnych widnieją trzy kanji – japońskie litery – za nimi numer, a pod nimi inne duże numery. Albo jesteśmy w Japonii, albo te samochody zostały importowane wraz z tablicami rejestracyjnymi. Nie jestem pewna, czy to ma znaczenie, ale na wszelki wypadek rejestruję tę informację, bo może przydać się później.

Wymieniam spojrzenie z Luką, kiwam głową w kierunku pofalowanych drzwi i jednocześnie wyciągam walec. Jest gładki i zimny i natychmiast zmienia swój kształt, przystosowując się do mojej dłoni. Luka poprawnie odczytuje mój gest i wyciąga swoją broń. Inni również łapia, o co chodzi, i robią to samo, odwrócenie do siebie plecami, wyczuleni na każde zagrożenie. Podchodzę do pierwszego samochodu i przykładam rękę do maski. Zimna. Drugiego również. Czyli samochody nie jeździły co najmniej od czterdziestu pięciu minut lub od godziny. I znowu nie wiem, czy ta informacja jest ważna, ale zbieram tyle okruchów, ile mogę.

Sprawdzam mój kom. Na zewnętrznej widać zieloną opaskę, która mierzy poziom mojego zdrowia, ale większość ekranu zajmuje monitoring na żywo naszego otoczenia. W lewym rogu widnieje mały prostokąt – szkic pokoju – a w jego wnętrzu grupka składająca się z pięciu zielonych trójkątów. To my. Wysuwam nadgarstek i w ten sposób sygnalizuję, aby każdy pokazał mi swój – wszystkie są zielone, bez map i obrazów na żywo. To oznacza, że tylko ja dostaję instrukcje. Komitet chce, abyśmy trzymali się razem. Na razie.

Podchodzę do klawiatury przy drzwiach i przyglądam się cyfrom.

– Czy można już bezpiecznie rozmawiać? – Luka szepcze mi koło ucha tak cicho, że bardziej czuję, niż słyszę jego słowa.

Nasłuchuję jakichś dźwięków, czegokolwiek. Nic. Jeżeli my nie słyszemy Drau, to zakładam, że oni również nas nie słyszą. W istocie to nie założenie, to pewność. Przywilej dowódcy. Komitet przekazuje mi do głowy informację: „Brak zagrożenia”. Na razie. Ale oni są tam, zbliżają się.

– Można rozmawiać – mówię.

– To miejsce przyprawia mnie o dreszcze. – Lien rozgląda się wokół, marszczy brwi.

– Taaa... – Tyrone kiwa głową, jego zgoda zwraca moją uwagę.

– Dlaczego? – pytam.

– To miejsce wydaje się jakby znajome. Dziwne – mówi Lien.

– Jakby znajome?... Byłaś tu wcześniej? Na misji?

– Nie. – Przecząco potrząsa głową. – Mam jednak wrażenie, że już widziałam to miejsce. Czy to ma sens?

– Dla mnie ma – stwierdza Luka. – Odnoszę to samo wrażenie.

– Jak w *Resident Evil* – mówi Tyrone. – Albo *Half Life*'ie.

Luka marszczy brwi.

– Tak. Nie całkiem, ale blisko.

– O czym mówicie? – pytam.

– Wielka winda. Dwa samochody. Masywne metalowe drzwi. Podziemne urządzenia. – Tyrone milknie, po czym mówi do Luki: – To ja jestem tym facetem, który ma zbawić świat.

- Myślałem, że to ja jestem tym dobrym – prycha Luka.
- Nie, nie – mówi Tyrone. – Ty jesteś w zespole, który ma supertajną podziemną bazę. Ja jestem tym, który się tam włamuje. Czyli jestem tym dobrym.
- O czym wy mówicie? – ostro pyta Lien.
- *Splinter Cell: Teoria Chaosu* – mówi Luka.
- Gra? – pyta z niedowierzaniem Lien. – Cytujecie frazy z gry?
- Czekać – mówię, podnosząc do góry rękę, dłoń wysunięta do przodu. Ponownie kieruję uwagę na Tyrone'a. – Mówisz, że widziałeś to miejsce w grze? Właśnie to miejsce?
- Nie dokładnie to miejsce, ale coś bardzo podobnego. Wymyślą bazę podziemną. – Wzrusza ramionami. – To popularny motyw.
- Zastanawiam się, dlaczego to jest ważne. Nie powinno być. Jesteśmy w dużej windzie, która wiezie nas do podziemia. W grach występują duże windy wiodące do podziemi. Występują też w filmach, książkach i mandze. Są często spotykane. Ale cała ta sprawa bardzo mnie niepokoi.
- Głowy do góry, oczy otwarte – mówię. – Jeżeli z tym miejscem jest coś nie tak, to przynajmniej zostaliśmy ostrzeżeni, prawda?
- Nie ma żadnego „jeżeli” – mówi Lien.
- Co teraz, LK? – pyta Tyrone i wymienia z Luką spojrzenie w rodzaju: „jestem fajnym facetem”.
- LK? – Moja cierpliwość się wyczerpuje.
- Lider klanu. To ty. My jesteśmy klanem – wyjaśnia krótko Lien.
- Nieźle – mówi Luka. – Choć trochę dziwnie.
- Co? – Rzuca mu bezwolne spojrzenie. – Nie jesteś jedynym, który złapał kontrolera.
- Myślałam, że klany to zespoły, które grają z innymi w FPS lub MMO – mówię. – Czy Drau uważamy za zespół?
- Poczytałaś o FPS i MMO w internecie? – Luka unosi w zdumieniu brwi.
- Przejrzałam kilka stron. – Wzruszam ramionami. – Liczyłam, że lepiej zrozumie strategię gry. Nie miałam jednak czasu na zgłębienie tego. Zrobię to, kiedy wrócimy. – Ostatnie zdanie wypowiadam tak, jakby to był pewnik.
- Niedokończone zadanie – mówi Lien, a gdy spoglądam na nią wyjaśnia: – Zostawiłaś niedokończone zadanie, więc wrócisz, aby je zakończyć.
- Widzę, że Kendra stoi blisko niej, nic nie mówi, wpatruje się w ziemię.
- Myślałem, że to dlatego duchy wracają... – mówi Luka.
- Zmodyfikowałam ten przesąd. – Lien rzuca mu chłodne spojrzenie. – W pewnym sensie jesteśmy duchami. Więc wrócimy, aby dokończyć niedokończone.
- Już dobra – mówi Tyrone.
- Czy zostawiłaś jakieś niedokończone zadanie? – pytam.

– Suszarka jest ciągle włączona. – Lien przeczesuje palcami swoje nadal lekko wilgotne włosy.

Kendra uderza się pięścią w biodro.

– Jak możesz być taka opanowana? – wybucha. – Co to za kit? I te żarciki? – Obrzuca nas spojrzeniem, łyzy błyszczą w jej oczach, następnie skupia się na Lien. – Jak możesz z nimi gadać o przesądach i głupich nazwach w grze, jakby to miało jakieś znaczenie? – wyrzuca z siebie słowa szybko jak pistolet. – Jakbyśmy nie mieli...

– Przygotujcie się do misji – przerywam jej, zanim dokończy zdanie.

Nikt z nas nie chce, aby mu przypominano o śmiertelności. Jesteśmy jej świadomi. Każdy z osobna i wszyscy razem są jej świadomi.

– Masz rację, Kendra – mówi Tyrone pojednawczo, unosząc ręce i wysuwając dłonie. – Powinniśmy skończyć te pogaduszki.

Kiwam głową.

– Po przerwie. Idziemy.

Zajmuję miejsce Jacksona. Teraz rozumiem go znacznie lepiej, jego zachowanie i motywy postępowania. Mam tylko nadzieję, że będę miała okazję mu to powiedzieć, poczuć jeszcze raz jego silne ramiona obejmujące mnie, oddychać zapachem jego skóry i przyłożyć ucho do jego serca, aby słuchać równych, silnych uderzeń.

– Jak to idziemy? – pyta Lien. – Masz pomysł, jak nas stąd wyprowadzić? Czy w ogóle wiesz, gdzie jesteśmy?

– Jesteśmy w windzie – mówię, oceniając klawiaturę koło drzwi. Nie mam identyfikatora i nie znam kodu.

– Ta, tyle wiem. – Lien kładzie pięści na biodrach. – A masz jakiś pomysł co do kodu?

Wpisuję kilka sekwencji: 1-2-3-4. 4-3-2-1. 1-3-2-4. 4-2-3-1. W tym tempie zajmie nam to tydzień. Spoglądam na numer LED nad drzwiami i próbuję: 7-7-7-7.

Nic się nie dzieje.

– Pozwolisz? – pyta Tyrone, stając koło mnie.

– Spróbuj.

Wprowadza cyfry 3-2-7-2. Luka prycha.

– Trzy-A-R-C – mówi Lien. – Dodaj UNLOCK i otrzymasz *cheat kod* z „Call of Duty”.

Drzwi nadal pozostają zamknięte.

– Dlaczego COD? Dlaczego nie „Halo” lub... nie wiem... „Donkey Kong”? Pewnie są setki cheat kodów do każdej gry. Jak wybrać ten właściwy? – pytam.

– Spróbuj wpisać kod z „Resident Evil” – podpowiada Lien.

Tyrone wypróbowuje kilka kodów. Drzwi nadal są zamknięte.

Kendra chodzi w kółko. Obawiam się, że jeśli wkrótce się stąd nie

wydostaniemy, to stracimy ją w czarnej dziurze, do której prowadzi ją wewnętrzny monolog. Skupiam się na klawiaturze.

– Moglibyśmy spróbować... – zaczyna Luka.

– Żadnych kodów więcej – przerywam mu i sygnalizuję Tyrone'owi, aby zrobił mi miejsce.

Zamieniamy się, przesuвам palcami po klawiszach z nadzieją, że Komitet prześle mi odpowiednie informacje w ten dziwny, szalony sposób, w jaki zawsze się ze mną komunikuje. Nie mam szczęścia. Jestem zdana na siebie.

– Jeżeli nie mogę tego zrobić delikatnie, użyję siły.

Sięgam do tyłu i chwytam rękojeść miecza. Wciskam czubek czarnego ostrza w czytnik kart, opieram dłoń na drugim końcu miecza i pcham z całej siły. Deszcz iskier wylatuje z obudowy, a po nim słychać odgłos pęknięcia. Ale masywne metalowe drzwi pozostają zamknięte.

– To dopiero było skuteczne – mówi Lien ze złością.

Choć rozdrażniło mnie to, rozumiem ją, jest w tym dłużej ode mnie, została przetransferowana z drużyny, którą wybito, i mimo że wyszliśmy cało z ostatniej misji, nie ma żadnych powodów, aby mi bezgranicznie ufać.

Luka najeża się i sprawia wrażenie, jakby chciał jej przyłożyć. Lekko kiwam głową. Luka marszczy brwi, ale siedzi cicho. Dzięki za małe cuda.

– Cierpliwości, koniku polny – mówię do Lien.

– Jesteśmy protekcyjnalni? – Zwęża oczy.

A już miałam nadzieję, że trzymanie się za ręce przywróciło starego ducha w zespole. Jak widać – nie bardzo.

– Nie. Mój dziadek mówił tak do mnie żartem. Zapożyczył to z jakiegoś starego programu TV. Nie miałam zamiaru być protekcyjnalna.

Wygląda na to, że chciałaby jeszcze coś dodać, ale w końcu milknie.

Manipuluję ustawieniami z boku walca, tak jak zrobił to Jackson, gdy wdarł się do chłodni w jaskiniach. Gdy odpalam ją, czarny strumień nie jest już tłusty i oleisty – jest cienki, bardzo silny i uderza w klawiaturę, uszkadzając ją.

Wybucha drugi gejzer iskier, większy i bardziej jaskrawy niż pierwszy. Przód klawiatury odpada, zwisa luźno, trzymając się na jednej stopionej śrubie, a wewnątrz iskrzą i błyskają druty. Z tej masy rozgrzanego metalu i topiącego się plastiku unosi się okropny, chemiczny smród.

– To było tak samo... – Lien uśmiecha się złośliwie.

– ...skuteczne – ucina Luka, gdy w środkowej części drzwi pojawia się szczelina, przepuszczając pasek jasnego, białego światła.

Rozdział siódmy

Luka i Tyrone wciskają palce w wąską szczelinę i powoli, bardzo powoli rozsuwają drzwi, za którymi widać smugę światła, kawałek białej podłogi oraz białe ściany.

Sygnalizuję zachowanie ciszy, wskazuję na Lukę i Lien i przechylam głowę w prawo. Wskazuję na Tyrone'a i Kendrę i przechylam głowę w lewo.

Przez chwilę Kendra waha się i boję się, że rozpocznie kłótnię. Nie mogę ustawić jej w parze z Lien. Już wystarczy tych bzdur „nasza drużyna, twoja drużyna”. Jesteśmy jedną drużyną i musi to natychmiast zrozumieć. A Lien i Luka muszą przestać obrzucać się gniewnymi spojrzeniami. Utworzenie tych par wydaje się dobrym rozwiązaniem.

Wytrzymuję spojrzenie Kendry, a ona posłusznie ustawia się obok Tyrone'a. Na sekundę zamyka oczy i bierze głęboki wdech, otwiera je ponownie i obdarza mnie lekkim skinieniem. W ten sposób pewnie daje do zrozumienia, że wie, o co mi chodzi, i że mam rację.

Wysuwam do góry kciuk i dwa palce, następnie rozpoczynam odliczanie. Widzą dwa palce i wreszcie – jeden. Wyskakujemy przez drzwi, drużyna w prawo i lewo, a ja na środek.

– Czysto! – wołam.

– Czysto! – powtarza jak echo Luka o sekundę wcześniej, zanim Kendra stwierdza, że u niej też czysto.

Przez chwilę oceniam otoczenie. Ściany nie są białe, choć wyglądały tak w pierwszej chwili, gdy padło na nie światło. Są jasnoszare, z polerowanego betonu, gładkie, lekko lśniące. Sufit wydaje się być zrobiony z falistego metalu – tak jak drzwi, przez które weszliśmy – z wieloma rzędami jaskrawych wypuszczanych lamp.

– Nadal jest tu dziwnie znajomo – mówi cicho Lien.

– Taaa, trochę jak w „Halo”, ale nie całkiem. – Luka marszczy brwi.

Tyrone przecząco potrząsa głową.

– Powiedziałbym, że raczej jak w „Resident Evil”.

– Przyprawia o gęsią skórę. – Lien zadrzała.

– Są blisko – szepcze Kendra. – Wyczuwam ich.

Wszyscy ich wyczuwamy. Mój żołądek skręca się pod wpływem przekonania, że Drau są tuż za tym rogiem lub za następnym. Zbyt blisko, aby czuć się bezpiecznie.

Kiedy byliśmy w Vegas, Tyrone powiedział mi, że gdy zostajemy zrzuceni, pojawia się coś w rodzaju rysy, która ostrzega Drau. W miejscach gęsto zaludnionych zostajemy zrzuceni blisko celu, ponieważ obecność innych ludzi maskuje nas. Gdy podejmujemy misje do miejsc bardziej izolowanych jak jaskinie,

odradzamy się w większej odległości, aby zmniejszyć ryzyko, że Drau natychmiast nas zlokalizują. Aby jeszcze bardziej utajnić nasze przybycie, komy szyfrują nasz sygnał już na miejscu, co bardzo utrudnia Drau odszukanie nas.

Miejsce, w którym teraz jesteśmy, nie wygląda na gęsto zaludnione, co oznacza, że powinniśmy być daleko od gniazda Drau, a nie tuż nad nim. Niemniej całe moje ciało spina się, każdy nerw pulsuje słowem: „wróg”. Biorąc pod uwagę, jak bardzo chciałabym uciec, przypuszczam, że wpadniemy na nich w ciągu kilku minut.

– Chaos pierwszego stopnia – mruczy Tyrone.

Kendra i Lien wymieniają zawoalowane spojrzenie, Lien szepcze:

– Zrób tak, jak mówiłam.

Kendra kiwa głową. Liczę, że Lien poradziła jej, jak się zachować, ponieważ możliwość, że stchórzy w czasie misji, jest przerażająca. Naraziłaby nasze życie.

Mój kom wskazuje kierunek, w którym mamy pójść. Pokazuję ręką i mówię:

– Trzymajcie się mnie z tyłu. W parach, bez względu na to, co się będzie działo. Wykonujcie moje polecenia. Odtąd zarządzam ciszę.

Luka zaciska usta. Podejrzewam, że wewnętrzne poczucie męskości nakazuje mu, aby zaoferował mi pomoc lub przekonał mnie, że nie mam partnera, nikogo, kto by pilnował moich pleców. Dusi jednak w sobie wszelkie argumenty, ponieważ to mój kom wskazuje drogę, co oznacza, że reszta musi za mną iść, czy im się to podoba, czy nie.

Korytarz jest szeroki i zimny. Posuwamy się do przodu w ciszy, z wyjątkiem hałasu przypominającego dziwaczne plaskanie... Obracam się i gniewnie spoglądam na japonki Lien. Są różowe z białymi komiksowymi kociakami, na górze zwieńczone kokardą. Gdy tak na nie patrzę, mam wrażenie, że jesteśmy bandą dzieciaków, a nie grupą żołnierzy, którzy mają ocalić świat.

Lien wysuwa stopy z kłapek i zostawia je za sobą. Chodzenie boso to nie najlepsze rozwiązanie, ale hałas i ryzyko, na które nas narażały, są równie dalekie od ideału. Na bosaka po betonie to lepsze niż śmierć.

Postępując ciągle według wskazań mojego komu, idziemy prosto przed siebie, potem w lewo i znowu w lewo. Czuję się jak mysz w labiryncie. To miejsce to płatanina korytarzy. Mniej więcej co trzydzieści metrów trafiamy na potrójne skrzyżowanie, gdzie korytarze przecinają się pod kątem prostym. Mijamy kilkoro drzwi, lecz niezbyt dużo. Po co te wszystkie korytarze? Dokąd prowadzą?

Skrećmy za kolejny róg i następny. Zatrzymuję się gwałtownie.

Przed nami jest duże zgrupowanie Drau świecących jak stuwatowe żarówki. Ustawieni w równe rzędy, broń w pogotowiu, skierowana w kierunku korytarza.

Tyle że w przeciwną stronę.

Widzimy ich plecy. Podejrzenie, że chodziliśmy w kółko, przeradza się w pewność. Komitet przyprowadził nas na ich tyły.

Nie jestem dziewczyną, która darowanemu koniowi zagłąda w zęby. Sygnalizuję drużynie, aby rozproszyła się po obu stronach plecami do ścian, strzelając w ruchu.

Drau ledwo zdają sobie sprawę z naszego istnienia, nawet gdy unicestwiamy ostatni rząd w ich szrankach. Szacuję, że około tuzina wchłonał oleisty, czarny, poruszający się z prędkością światła szlam wystrzeliwany przez naszą broń. Pochłania ich w całości. Mój żołądek robi fikołka, gdy dwaj zostają wciągnięci jednocześnie, ich kończyny się topią, powstaje jedna wijąca się i wrzaskliwa masa. Ich towarzysze strzelają deszczem świetlnych kulek, które padają na nas jak bolesny grad.

Chaos.

Poruszają się z niesamowitą prędkością.

Zadaliśmy im silny cios dzięki elementowi zaskoczenia, ale to już przeszłość. Jest ich znacznie więcej niż tuzin.

Luka i Tyrone pracują ręka w rękę, strzelają, powalają wszystkich, którzy wejdą im w drogę.

Celuję. Strzelam. Mój strzał rani jednego z Drau, ale nie obala go. Lien jest tuż obok mnie, ale to Kendra strzela i zabija go, zanim oddaję ponowny strzał. Mogę jedynie podziękować jej kiwnięciem, bo zdejmuję kolejnych Drau.

– Cofnijcie się – rozkazuję.

Sama pozostaję na czele, osłaniając moją drużynę, która zajmuje pozycje w tyle. Luka jest tuż za mną, chroni mnie. Chcę na niego nawrzeszczyć. Niezupełnie wypełnia rozkazy, jednak zostawiam go w spokoju, odkładając to na później, gdy nie będzie tak... nerwowo.

Wycofujemy się za róg.

– Trzymaj się Lien – burczę do Luki.

Jestem zaskoczona, że mnie posłuchał. Cofa się o kilka kroków, stając z nią ramię w ramię, a tuż za nimi dostrzegam kątem oka Tyrone'a i Kendrę.

Szybko oceniam nasze położenie, próbuję wybrać właściwy kierunek. Mój kom nie jest pomocny. Pokazuje pięć zielonych, skupionych blisko siebie trójkątów, ale nie daje żadnej podpowiedzi, którą drogę wybrać.

Drau idą ostro do przodu, prosto na nas.

Krew szybko mi krąży, serce bije jak szalone. Muszę dokonać wyboru. Natychmiast.

– Tędy. – Wskazuję losowo korytarz. – Idźcie!

Idą.

Eliminuję tylu wrogów, ilu się da, cofam się, strzelając, miecz kendo w pogotowiu. Z tyłu słyszę bolesny okrzyk. Nie odważam się odwrócić.

– Luka?! – wołam.

– Lien dostała w udo.

Cholera.

– Mocno?

– Nadal mogę ustać.

I nadal sprawia wrażenie wścieklej, co akurat w tym momencie bardzo mnie cieszy.

Drau postępują, my jesteśmy w odwrocie. Wszyscy strzelamy – my, oni. Pomimo ich szybkości powstrzymujemy ich natarcie, w dużej mierze dlatego że jesteśmy w wąskim korytarzu, gdzie nie mogą uderzyć na nas jednocześnie. Jak długo możemy ich zatrzymać? O czym, do diabła, myślał Komitet, gdy przysłał nas tutaj samych?

Nacierają na nas, rozdziela nas klin. Ja, Luka i Lien znajdujemy się w jednym korytarzu, Tyrone i Kendra w innym. Byliśmy pięcioosobową drużyną, a teraz jesteśmy rozczłonkowaną piątką.

Nie mamy szans.

Czepiam się tej myśli jak rzep psiego ogona. Nie mam prawa myśleć w ten sposób, nawet przez sekundę.

Podbiega do mnie Drau, bardzo blisko, widzę jego zastrzone zęby. Jego postać jest w zasadzie ludzka – ramiona, nogi, głowa, twarz – ale na tym podobieństwa się kończą. Stanowi czystą, oślepiającą biel, powierzchnia jego ciała jest wypolerowana i gładka jak szkło, które płynie i szybuje.

Jest piękny. I zabójczy. Drapieżnik, który chce zrobić ze mnie swoją ofiarę.

Niemal popełniam błąd i patrzę mu w oczy. Wiem, że utopiłabym się w nich, umarła. W ostatniej sekundzie odwracam wzrok, jednocześnie tnę go mieczem i strzelam.

Powaliłam go, ale zapłaciłam cenę. Na ramionach i górnej części klatki piersiowej czuję bolesne ukłucia. Z krzykiem potykam się, strzelam, cofam. Próbuję dostrzec Lukę i Lien. Ale już ich nie ma.

Jestem sama, odcięta od drużyny przez samą liczebność Drau, wypełniających miejsca tych swoich kolegów, którzy padli. Mam wrażenie, że zapędzają mnie w wybranym przez siebie kierunku, bo ilekroć zamierzam przesunąć się, zmuszają mnie do odwrotu w przeciwną stronę.

Nie ma szans na ocenę sytuacji i planowanie. Jedyne, co mogę zrobić, to ruszać się, dalej zabijać, bo alternatywa to zatrzymać się i zginąć.

Trzymam się jak najbliżej ściany, aby nie zaszli mnie od tyłu. Moja broń szumi, czarna maź pochłania wrogów w całości. Tnę mieczem słonecznojasne ciała, nie zważając na zachowanie właściwej pozycji lub postawy. Tu nie chodzi o honor. Tylko o brzydką, surową śmierć.

Ramiona bołą mnie we wszystkich miejscach, gdzie uderzyły mnie świetlne kulki, pozostawiając wypalone dziury w koszuli i otwarte rany na skórze. Krew ścieka wzdłuż ramion, kapie z opuszek palców na podłogę.

Jestem jedna na chyba dziesięciu. Mogą mnie zabić w każdej chwili. Ale nie robią tego. Bawią się mną. Igrają ze swoją ofiarą.

Strach przybiera formę lawiny, ciężkiej, druzgoczącej, spadającej kaskadą, ryczącej, aż nic nie pozostaje – tylko oślepiający, biały terror.

Koło oka czuję wybuch bólu. Mój wzrok zachodzi mgłą, kiedy tak strzelam i strzelam, celując w nicość, nieuważnie i rozpaczliwie.

Nie zginę tutaj. Nie mogę.

Instynkt bierze górę, doprowadzony do perfekcji przez osiem lat treningu kendo. W myślach słyszę głos Sofu: „Gdy twój wróg atakuje, to nie tylko się bronisz. Kontratakujesz. *Oji waza*. Lepiej nie czekaj. Inicjuj. Atakuj. *Shikake waza*”.

Z bojowym okrzykiem *kiai* rzucam się na nich zamiast cofać, adrenalina pcha mnie do działań, których nie mogłam sobie nawet wyobrazić. Spada na mnie bolesny deszcz świetlnych igieł, który przyćmiewa moje myśli. W niczym nie przypomina to akcji z filmu. Nie wbiegam po ścianie, nie skaczę na trzy metry w górę i nie robię w powietrzu gwiazd. Moje podeszwy stukają o podłogę, serce o żebra.

Strzelam z bliska, twarzą w twarz, szybka jak światło maż pożera moich wrogów, ich krzyki obdzierają ze skóry moją duszę, a ich broń rani moje ciało. Nie patrzę w ich połyskujące oczy – szare jak rtęć, nieopisanie piękne, przerażające i zabójcze. Nie daję im okazji, aby wyskali ze mnie potencjał elektryczny, który napędza moje nerwy, mięśnie, mój mózg. Moje życie.

Kątem oka dostrzegam jakiś ruch. Obracam się, czuję, jakby cały świat spowolnił i jesteśmy tylko ja i ten Drau, stojący na wyciągnięcie ręki, opuszczający broń do strzału. Eksplozja z tak bliska rozerwie mnie.

Podnoszę miecz, odchyłam jego czubek do tyłu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, robię krok do przodu i tnę Drau w czoło. *Men-uchi* – to cios, który znam tak dobrze jak oddychanie. Czarne ostrze grzęźnie głęboko w czaszce Drau. Z krzykiem zaciskam dłoń na owiniętej jedwabiem rękojeści i wyrywam ją, podczas gdy strzelam czarną mazią w lewo, eliminując jeszcze jednego z wrogów.

Jarzące postaci przesłaniają pole widzenia, jest ich zbyt wiele, wszystkie do mnie strzelają. Chcą mojej śmierci.

Chciałabym mieć tarczę. Chciałabym...

Zbliża się do mnie Drau, jasna smuga światła. Robię zmyłkę w lewo, w prawo, rzucam się do przodu i pochylam się.

Krzyczę z wściekłości i rozpacz, wkładam całą siłę w cios *tsuki* i przeszywam mieczem pierś Drau, jego plecy, po prostu go nadziewam. Trzymam to drgające ciało jak tarczę przed sobą, opierając łokieć na łuku biodra, aby je udźwignąć. Adrenalina i strach czynią mnie silną.

Oni albo ja. To moja mantra.

Stękając i dysząc pod ciężarem Drau przebitego mieczem, cofam się krok za krokiem. Jego ciało wiotczeje. Czubki jego stóp wloką się po podłodze. Strzały innych Drau sięgają ich towarzysza, jego ciało rzuca się i skręca, a ja wystrzeliwuję strumień czarnej śmierci, która wchłania ich wszystkich w całości.

Moje ramię i bark płoną, uginają się pod ciężarem. Ogarniają mnie mdłości na myśl, kim się stałam. Spycham ją gdzieś w głąb i tam szczelnie zamykam.

Liczba Drau jest teraz mniejsza. Opuszczam miecz i pozwalam, aby ciało zsunęło się na podłogę, wycofuję się do kolejnego korytarza. Idą za mną. Zdejmuję ich walcem, strzelam do wszystkiego, co się rusza, pot spływa mi po kręgosłupie.

Straciłam zmysł orientacji. Nie wiem, gdzie jest moja drużyna i jak się trzyma. Nie mam okazji sprawdzić w moim komie, czy nadal wyświetla się tam pięć zielonych trójkątów.

– Proszę – szepczę cicho. – Proszę.

Okazja pojawia się w postaci drzwi. Otwieram je i zatraskuję za sobą, dysząc i drżąc. Zamek. Przekręcam go, niemal płacząc z ulgi. Przedostaną się. Wiem o tym. Ale przynajmniej zyskałam trochę czasu.

Minuty. Sekundy.

Zerkam na kom. Dwa zielone trójkąty gdzieś na lewo ode mnie, tak blisko, że prawie na siebie zachodzą. Kolejne dwa w lewo, trochę z tyłu, stykają się przy jednym wierzchołku. Moja drużyna żyje i nadal działa w parach. Opaska wokół ekranu oscyluje między ciemnożółtym a pomarańczowym. Mój wskaźnik zdrowia nie przedstawia się zbyt zdrowo.

Po prawym policzku ściekają mi łzy. Podnoszę rękę, aby je zetrzeć, i widzę czerwoną barwę. To nie łzy. To krew.

Podsakuję, gdy coś uderza w drzwi. Futryna jest nadwyreżona, ale się trzyma. Jak długo? Słyszę skwierczący dźwięk, jakby bekon przypiekał się na gorącej patelni, dochodzę do wniosku, że próbują przepalić zamek. Muszę znaleźć miejsce, z którego przeprowadzę odparcie ataku.

Pokój jest olbrzymi. Rzędy metalowych półek wypełnionych czarnymi beczkami tworzą wzór z przecinającymi je alejkami. Biegnę pierwszą, zatrzymuję się, skręcam w lewo, biegnę dalej, skręcam w prawo. Wiedzie mnie jedna myśl: uciec jak najdalej od drzwi i od Drau. Czy jest tu inne wyjście? Próbuję wyobrazić sobie bieg korytarzy, ale nie udaje mi się. Pamiętam jednak, że po wyjściu z windy nie zauważyłam zbyt wielu drzwi.

Już prawie jestem przy tylnej ścianie. Dobiega do mnie dźwięk ciał Drau uderzających w drzwi. Ponownie skręcam w prawo.

Schować się? Iść dalej? Strach przyćmiewa mój umysł.

Biegnę i w ostatniej sekundzie skręcam w lewo.

Dobry wybór.

W ścianie naprzeciwko są drzwi i nie walą w nie Drau. Pierś mi faluje,

gwałtownie zatrzymuję się i przykładam ucho do metalu. Nic nie słyszę po drugiej stronie.

Łapię za klamkę... powoli... przekręcam...

Docierają do mnie odgłosy bitwy, przytłumione, odległe. Rzucam się w kierunku pustego korytarza i cicho zamykam za sobą drzwi. Po tej stronie nie ma zamka, ale może nie znajdą tego wyjścia tak od razu.

Uciekać czy schować się?

Spoglądam w górę. Po suficie biegnie sieć przewodów i otworów wentylacyjnych. Nie dam rady ich dosięgnąć, a nawet gdybym mogła, są zbyt wąskie, aby się przez nie przedostać. Próbuję sobie przypomnieć drogę, jaką przebyłam pod odłączeniu się od drużyny, którymi korytarzami biegłam w ferworze walki.

Dwie opcje: w prawo lub w lewo. Tylko jedna pozwoli mi wrócić do Luki, Tyrone'a, Kendry i Lien. Wybór powinien być prosty: wybierz ten, który biegnie w kierunku zielonych trójkątów na moim komie. Ale nie jest to wcale takie oczywiste, bo korytarze mają odgałęzienia i skręcają, więc nawet jeśli skrócę w lewo, to w rezultacie wyląduję po paru zakrętach w miejscu, do którego wiedzie droga w prawo.

Jestem sama. Jestem zagubiona.

Nie jestem żadnym cholernym dowódcą. Nawet nie wiem, gdzie jest moja drużyna.

– Zbierz się do kupy, Miki – mamroczę.

Z tyłu słyszę łomot, uderzenie i odbicie się drzwi od ściany. Przedostali się. Znajdą mnie.

Uciekam.

Wpadam prosto na Drau.

Rozdział ósmy

Zatrzymuję się ślizgiem jakiś metr od Drau. Instynkt każe mi szarpnąć głową do tyłu. Nasze spojrzenia się krzyżują. Oczy o niekończącym się, wirującym kolorze szarości. Tonę w srebrzystym jeziorze, wiecznej burzy, perły rtęci pęcznieją i łączą się, aby połknąć mnie, zabrać.

Ból.

Moje życie wycieka mi przez oczy.

Kolana się uginają, prostuję je, nie chcę upaść.

„Nie patrz”. – Słyszę głos Jacksona w głowie. Lecz jego tu nie ma. Jest jedynie wspomnieniem. Jeżeli teraz odpuszczę, to pozwolę, aby ta zimna rtęć sunęła po mnie, przeze mnie...

Czuję silne uderzenie w brzuch, jakby kopnięcie. Odrywam wzrok. Ucieka mi powietrze. Robię wdech, przyciskam rękę do rany. Mój miecz upada na ziemię, ale nie z mojej ręki, lecz Drau.

Jak...?

Drau podnosi wzrok, patrzy powyżej mojego ramienia, na coś za mną. Odwracam głowę... ale w istocie... nie odwracam.

Nie jestem w stanie.

W uszach mi dzwoni, w głowie szumi rój tysiąca os. Czuję się jak przekłuty balon, któremu schodzi powietrze.

Jest mi zimno. Drzę.

Spoglądam w dół, wszystko w czerwieni. Moja ręka. Rękaw. Przód koszuli. Błyszczący, czerwony. W powietrzu unosi się zapach miedzi. Krwi. Mojej krwi.

Zostałam dźgnięta. Cała krwawię, moje ubranie jest przesiąknięte. W zasadzie nie czuję bólu. Niczego nie czuję.

Dlaczego to nie boli?

Opieram ramię na ścianie, celuję, strzelam, zabijam Drau, który przed chwilą zabił mnie, i kolejnego, który mknął holem.

Tatusiu, przepraszam. Nie chciałam zostawić cię zupełnie samego.

Jackson, przepraszam. Bardzo przepraszam.

Słyszę syk, jakby ktoś oddychał przez zęby. Dziewczyna o jasnobrązowych włosach rozrzuconych na ramionach staje przede mną i strzela – trafia kolejnych dwóch Drau.

Jej obecność oznacza, że w pobliżu znajduje się inna drużyna. Nie jesteśmy zdani wyłącznie na siebie. Ślizgam się wzdłuż ściany, moje nogi wątłe jak wiechcie pietruszki zapomniane w pojemniku na warzywa w lodówce. Kładę się, zbyt słaba, aby się ruszyć, opieram ramiona i głowę o ścianę, nogi i ręce bezładnie rozkładam na zimnej podłodze.

Dziewczyna strzela i strzela, klęka koło mnie i sięga do mojej rany.

Odsuwa na bok przecięte poły mojej koszuli. Na godzinie dwunastej dwaj Drau. Podnoszę broń i celuję ponad jej ramieniem. Strzelam, zdejmuję pierwszego, ale drugi nadal idzie w naszą stronę. Tak szybko. Taki jaskrawy. Ręka mi się trzęsie, zbyt słaba opada w dół.

Bez czucia. Bezużyteczna.

– Drau – szepczę.

Oczekuję, że skoczy, obróci się, strzeli. Ale nie robi żadnej z tych rzeczy.

– Pilnują moich pleców – mówi.

Wtedy świetlny deszcz spada na tego Drau, którego nie trafiłam, a on zwala się na podłogę i krzyczy. Obracam głowę, wypatrując kolegów tej dziewczyny, lecz muszą być gdzieś ukryci.

Podłogi i ściany wirują i opadają. Moje powieki się zamykają. Czuję jakieś ciągnięcie, jakby ktoś zdejmował mi koszulę. Sięgam ręką do ramienia i wyczuwam, że jest obnażone. Mam na sobie tylko sportowy stanik.

– Dlaczego mnie rozbierasz?

Nie odpowiada. Zmuszam się, aby ponownie otworzyć oczy. Staram się skoncentrować.

To wszystko nie ma sensu. Nietrafiony przeze mnie Drau padł pod deszczem światła. Kolega dziewczyny powalił go światłem.

To niemożliwe. Nasza broń strzela ciemnością.

Wtedy zauważam jej broń w kaburze. Nie jest taka jak moja. Jest metaliczna i gładka, lecz nie zrobiono jej z masy stałej. Jest płynna i galaretowata: broń Drau. Zdezorientowana pytam:

– Dlaczego...?

– Szszsz... Nic nie mów. Oszczędzaj siły.

Podłoga pode mną przesuwa się i ucieka.

Przez jedną tysięczną sekundy jej spojrzenie spotyka moje. Jej oczy są dziwne. W grze wszyscy mają niebieskie oczy. Wszyscy. Poza Jacksonem. On zawsze ma szare oczy Drau. Oczy tej dziewczyny nie są niebieskie.

Są zielone. Zielone jak oczy Lizzie.

Przypominam sobie zdjęcia w holu wejściowym w domu Jacksona. Pamiętam twarz Lizzie, gdy przeżywałam koszmar jej brata. Ta dziewczyna... to Lizzie.

Dotyka mojej rany, krzyczę z bólu.

Ona nie może być siostrą Jacksona. Lizzie nie żyje.

Tracę kontakt z rzeczywistością. Mam halucynacje.

Na lewo od nas pojawia się Drau. Staram się unieść rękę, wycelować, strzelić. Mój wzrok faluje, lecz po chwili się normuje. Teraz już nie ma tam Drau. Tylko ściana.

– Mam kłopoty? – szepczę.

– Będzie dobrze.

Jasne.

W rękę trzyma koszulkę – moją – którą składa w gruby prostokąt i przykłada do rany. Najpierw nie czuję nic. Potem już tak. Zaciskam zęby, ale i tak wymyka mi się jęk.

– Przyciśnij – nalega, przesuwając moją dłoń na poskładaną koszulkę i układając na płasko moje palce.

Przyciskam.

Chwyta swoją broń i jeszcze jedną z podłogi, tę, którą upuścił Drau, i staje na nogi. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że walka toczyła się bez naszego udziału. Członkowie jej drużyny cały czas odpierają atak Drau. Nie mam w sobie tyle siły, aby odwrócić głowę i zlokalizować ich. Dziewczyna obraca się szybko i strzela z obu rąk. I znowu. I znowu.

– Trzymaj się! – woła do mnie przez ramię. – Stracimy, jeśli... – Reszta jej słów ginie w ferworze walki, gdy bierze na siebie kolejnych dwóch Drau.

Krew przecieka przez prowizoryczny opatrunek, moje palce są ciepłe i śliskie. Nachodzi mnie szalona myśl, że nie będzie tak, jak w telewizji, gdzie facet z rozrypanym brzuchem staje na nogi i walczy ze złoczyńcą aż do szczęśliwego zakończenia. W najbliższym czasie na pewno nie stanę na nogi, nie sądzę, aby moje stopy mnie utrzymały.

Ogarnia mnie upiorne pragnienie, aby się śmiać i śmiać.

Chcę zamknąć oczy i spać.

Taka słaba. Taka zmęczona.

Zmuszam się do otwarcia oczu i zachowania przytomności. Obracam nadgarstek i spoglądam na kom. Więcej czerwieni niż pomarańczy. Kiepsko.

Kroki, szybko nadchodzą. Obracam głowę i widzę, jak w moją stronę biegnie Luka. A za nim Lien, Kendra i Tyrone.

Dziewczyna, która uratowała mi życie, obraca się. Z tyłu, za nią z korytarza wychodzi Drau. Nie widzi go. Nie wie, że on tam jest.

Krzyczę ostrzegawczo, ale z moich ust wydobywa się jedynie szept.

Ona nie może umrzeć. Nie w taki sposób. Jestem jej coś winna.

Podnoszę rękę. Walec waży chyba z pół tony.

Strzelam.

Chybiam, Drau posuwa się bardzo szybko, nigdy nie miałam z nim szansy. Ta dziewczyna nie miała szansy.

Zanim ją powali, spada na niego tysiące kropli świetlnego deszczu. Drau upada, skręca się, ranny, ale żywy, poznaczony czarnymi punktami tam, gdzie został trafiony.

Nie wiem, kto strzelał. Zbyt wolno obracam głowę, a gdy już mi się to udaje, nikogo tam nie ma.

Dziewczyna zgarnia z ziemi mój miecz, bierze zamach i przyszpila Drau pchnięciem w pierś. On wygina się, drga, w końcu leży bez ruchu. Rzuca miecz obok mnie i puszcza się biegiem w głąb korytarza, goniąc niewyraźną plamę światła – uciekającego Drau. Przyspiesza. Ale Drau są niesamowicie szybcy. Raczej go nie złapie...

Skręcają za róg i znikają.

– Miki!

Luka rzuca się i ślizgiem przypada do mojego boku. Odciąga moje palce, wydaje cichy jęk, gdy dostrzega ranę. Ponownie przykładła do niej koszulkę, na niej jedna na drugiej układa swoje dłonie i mocno je przyciska. Krzyczę. Naprawdę krzyczę.

– Przepraszam. – Napina szczękę, ale nie zwalnia ucisku. – Wykrwawiasz się. Muszę wzmocnić nacisk. Muszę utrzymać cię przy życiu.

– Dwóch Drau. Na drugiej godzinie. – Tyrone krzywi się, jego broń wypływa czarną śmierć.

Lien i Kendra pędzą do przodu. Lien jest szybsza, opanowana, jej broń wycelowana, ale nie strzela. To Kendra zdejmuję obu Drau.

– Miałem to pod kontrolą, ale dzięki za pomoc – mówi Tyrone.

W jego głosie wcale nie było słychać wdzięczności, pobrzmiwał raczej gniewem. Chcę go zapytać dlaczego, ale nie mam dość siły. Jestem zmęczona. Słaba. Boli mnie bok. Pociągam za brzeg opatrunku, który przytrzymuje Luka. Cały jest lepki, nawet ten koniuszek, za który ciągnę.

Głowa opada na betonową posadzkę. Patrzę na pofalowany metalowy sufit i próbuję oddychać pomimo bólu. Oczy mi się zamykają. Wydycham powietrze, ale mam trudność z ponownym wdechem.

Jackson jest tutaj. Moje usta na jego policzku, potem jego na moim, ciepłe, gładkie. Jego oddech jest moim oddechem. Płuca ponownie się wypełniają.

„Kocham cię”.

Czy ja to powiedziałam, czy on?

– Oddychaj, Miki. No już! Oddychaj!

Z westchnieniem otwieram oczy. Widzę nad sobą oddaloną o kilkanaście centymetrów twarz Luki.

– W porządku – mówi chrapliwie. – Okej, oddycha.

Mgła przesłania mi oczy. Słyszę oddalony o miliony kilometrów głos Tyrone’a. Mówi coś, ale nie mam pojęcia co.

Pstryk. Znowu ostro widzę twarz Luki.

– Miki, odpowiedz mi! Kiedy skoczymy?

– Co? Dlaczego...? – Patrzę na niego. – Czy ty mnie pocałowałaś?

– Ta, jasne. Pocałunek życia. Przestałaś oddychać. – Jego głos jest spięty i znużony. – Masz szczęście, że wiem, jak udzielać pierwszej pomocy. Kiedy

skoczymy?

– Trzydzieści sekund – szepczę, gdy Komitet podrzuca tę informację do głowy.

Moje spojrzenie dryfuje od Luki w kierunku Tyrone’a, Lien i Kendry, którzy obserwują mnie, twarze blade, bez wyrazu. Próbuję przywołać uspokajający uśmiech, ale sądząc po minie Tyrone’a, nie udaje mi się.

– Dziewczyna...? – pytam Luki. – Czy wszystko z nią okej?

– Jaka dziewczyna?

Jak to możliwe, żeby jej nie widział? Biegł w moim kierunku, gdy ona biegła za Drau.

– Nie ma tu żadnej innej dziewczyny – mówi Kendra łagodnym głosem.

– Jest... była – szepczę słaba, tak bardzo słaba. – Z innej drużyny.

– Teraz jej tu nie ma – mówi Luka i jestem pewna, że nie wierzy, że ona kiedykolwiek tutaj była.

– Ona...

W mózgu słyszę przerażający krzyk, głęboki i gardłowy. Powtarzam ten dźwięk, na głos, całe ciało napina się, ciśnienie rośnie w mojej głowie, jakby imadło zacisnęło się na czaszce.

W miarę jak krzyk w moim umyśle wycisza się, pojawia się kolejny. Wyginam plecy, wciskam pięty w podłogę, wrzeszczę. Wrzeszczę.

– Miki!

Jakieś ręce na moich ramionach przytrzymują mnie.

– Niech się nie rusza! – To głos Lien. – Tylko zwiększa krwawienie.

Ból w brzuchu. Ból w mózgu. Coś próbuje się tam dostać. Nie mogę...

„Wyłaż z mojej głowy!”

Znam ten głos.

Jackson.

Słyszę go, przeklina ich, walczy z nimi.

„Już dość mi zabraliście. Tego mi nie zabierzecie”. W jego głosie brzmi wściekłość, determinacja.

– Jackson! – krzyczę.

– To ja, Miki. Luka. Jestem tutaj. Trzymaj się. Jeszcze tylko kilka sekund.

Chcę mu powiedzieć, że wiem – Jacksona tutaj nie ma, jest gdzieś indziej, w jakimś strasznym miejscu. Odczuwam to, co on. Ktoś sprawia mu ból. Celowo. Przekopując się do jego mózgu.

– Drau...

– Dorwaliśmy ich. Będziemy skakać. Lada chwila.

Nie. On nie rozumie. Uważam, że Drau pojmał Jacksona. Otwierają mu czaszkę, wydobywają mózg tak, jak to zrobili tej dziewczynie w chłodni w jaskiniach. Użyją go do stworzenia armii powłok.

Miotam się pod wpływem nacisku ręki Luki. Jego dłoń spoczywa na mojej piersi, tak jak Jacksona, gdy pierwszy raz obudziłam się w poczekalni.

– Muszę do niego dotrzeć. Muszę...

„Skacz”. Komitet nadaje do mojej głowy i to jedno słowo ogarnia wszystkie moje zmysły. Smakuję je. Widzę, gdy tańczy jak świetlna aureola. Czuję, jak zwinnie pomyka po mojej skórze.

Znany agonalny ból rodzi się u nasady czaszki, pulsuje na zewnątrz, aż wreszcie mnie rozsadza.

Rozdział dziewiąty

Wyginam plecy, kiedy dochodzę do siebie, mięśnie się zaciskają, serce wali jak młot.

– Jackson! – wyję.

Próbuję się podnieść, wywalczyć sobie do niego drogę, ale moje ciało jest ociężałe, odmawia przyjęcia rozkazów umysłu.

I nie mam z kim walczyć.

Jestem sama, leżę na zimnej, twardej podłodze, ręce i nogi odrętwiałe, czuję mdłości.

Drau. Krew. Dziewczyna z innej drużyny...

Krzywiąc się delikatnie, dotykam jednej strony swojego brzucha. Nie boli. Nie ma rany. A poskładana koszulka, którą trzymam, nie jest już przesiąknięta krwią. Odrodziłam się zupełnie zdrowa. Przebrnęłam przez kolejną misję.

Przez chwilę po prostu leżę, oddycham i czuję wdzięczność. Zastanawiam się, gdzie jestem. To nie dom. I nie poczekalnia.

Jestem na dnie wielkiego owalnego amfiteatru, nade mną wznoszą się rzędy siedzeń. Wspinają się poza granicę światła i nikną w ciemności. Każde miejsce zajmuje zacieniona postać, kształty i twarze są niewidoczne.

Wezwano mnie przed Komitet. Dobrze. Jeśli ktoś pomoże mi znaleźć Jacksona, to właśnie oni.

Wstaję, wciągam koszulkę przez głowę, nie jestem gotowa stanąć przed Komitetem tylko w sportowym staniku.

Myśli rozłazą mi się jak karaluchy pod wpływem światła, przeskakując od Drau do Komitetu i do wrażeń, które ogarnęły mnie tuż przed skokiem. Ból, wściekłość – emocje Jacksona przekroczyły czas i przestrzeń, aby wślizgnąć się do mojego mózgu, czyniąc mnie bezsilnym świadkiem jego cierpienia.

Pamiętam, gdy Jackson krzyczał: „Wyłaż z mojej głowy!”.

– Mają Jacksona – mówię niepewna, czy Komitet w ogóle słucha. – Drau. Krzywdzą go. – Zabijają go. A jeśli już się im to udało?

Strach o niego jest ostry jak brzytwa i zostawia niezagojone rany. Obejmuję się ramionami, próbując się z tym uporać.

Kiedy nie uzyskuję odpowiedzi, zataczam pełne koło, szukając pomocy, ale publiczność jest ciemnością i zjawą. Odnoszę wrażenie, że w ogóle mnie nie widzą. Gdy dopełniam pełnego obrotu, widzę tuż przed sobą platformę wznosząca się w powietrzu. Jest pusta.

– Pokażcie się. Proszę. – Nie zaszkodzi, jeśli będę grzeczna. Więcej much złapie się na miód czy jakoś tak.

Światło przygasa, potem się rozjaśnia, ukazując trzy postaci siedzące na unoszącej się w powietrzu półce, tak samo niewyraźne jak te w amfiteatrze.

W czasie mojej ostatniej wizyty przybrali formę trzech postaci z filmów klasy B: sobowtóra Kleopatry, muskularnego faceta, skrzyżowanie Odyna i Thora, oraz zakapturzonego, ponurego żniwiarza. W rzeczywistości wyglądają zupełnie inaczej. Zaprezentowali się w takiej formie, w jakiej chciałam ich zobaczyć. Nie wiem, jak wyglądają naprawdę. Gdy zapytałam o to, odpowiedzieli, że jak ludzie. Co niewiele mi dało.

Znam Drau i dzięki temu, co opowiedział mi Jackson w jaskini, domyślam się, z jakiego świata pochodzą. Nie mam natomiast bladego pojęcia, skąd wzięli się moi pozaziemscy przodkowie. Nie mogę ich nazwać i wskazać planety, z której przybyli. Wszystko, co o nich wiem, to zlepek spekulacji i informacji, które zdecydowali się mi przekazać, gdy byłam tu ostatnio, kiedy to wstawili mi do głowy implanty ze scenami, jakby to było wideo.

Dewastacja i ruina. Zniszczony świat.

Gorąco płomieni parzyło mnie, gdy pokazywali mi swoje wspomnienia o przodkach spędzonych do zagród dla zwierząt. Słyszałam płacz, gdy ich zabijano i ćwiartowano w łatwe do konsumpcji porcje. Pozywienie dla Drau.

Jestem świadkiem z drugiej ręki okrutnego wyniszczenia całego gatunku, ale nie mam pojęcia, kim – i czym – byli zanim pojawili się Drau. Komitet jest dość powściągliwy w udzielaniu informacji i nie wiem, czy to zamierzone działanie, czy przypadkowe.

Wiem natomiast, że to oni trzymają kontrolerów i manipulują konsolami w tej grze.

I to oni mogą mi pomóc w odnalezieniu Jacksona.

– Mają go – mówię. – Nie wiem, gdzie go przetrzymują, ale wiem, że ma kłopoty. Potrzebuję waszej pomocy. Potrzebuję broni, drużyny. Musicie mnie rzucić tam, gdzie on jest. Potrzebuję... – przerywam pewna, że to wystąpienie raczej szkodzi, niż pomaga mojej sprawie.

– Czego potrzebujesz, Miki Jones?

Ich słowa drążą głęboko, skręcają mi mięśnie, odzierają kości. Mówią jednym głosem, jeśli tak mogę to nazwać. Przypomina to doświadczanie dźwięku, który pobudza każdy zmysł, potęguje dotyk, wzrok i smak, aż do momentu, gdy całe moje ciało staje się kanałem dla myśli, którymi postanowili się podzielić. Podobnie wygląda komunikacja z dowódcami drużyn w grze, ale to uczucie jest znacznie silniejsze, potężniejsze.

Kiedy byłam tu po raz pierwszy, wrażenie okazało się zbyt intensywne. Pamiętali, żeby tym razem je nieco złagodzić, za co jestem im wdzięczna.

– Plotę, wiem. Spróbuję jeszcze raz.

Oddycham głęboko, zwalniam. Waham się, szukając odpowiednich słów. Mylnie interpretują moje wahanie:

– Możesz mówić.

Językiem czuję, że dźwięk jest metaliczny i lekko gorzki, kłuje mnie w opuszki palców, tańczy przed oczami jak świetliki. Strasznie to dziwne.

– Jackson... czy on nadal żyje?

Cisza. Ile sekund minęło? Trzy? Cztery? Bolesna wieczność.

Strach przenika dłonie. Klatka piersiowa ugina się jakby pod naciskiem ciężarówki. Próbują delikatnie mi zakomunikować, że odszedł, jest martwy, zabity przez Drau...

– Żyje.

Z ulgi wiotczeje mi ciało. Nie mogę wydobyć głosu, ledwo oddycham. Przez kilka sekund próbuję się pozbierać. Szybko pytam:

– Więc gdzie on jest? Jak go znajdziemy? Jak się do niego dostaniemy? Dajcie mi drużynę albo pójdę sama, jeśli uważacie, że to najlepsze wyjście.

Czekam, przestępując z nogi na nogę, mam wrażenie, że moja skóra robi się ciasna.

– Jest tutaj.

Zastygam.

– Co? – Rozglądam się wokół, moja głowa kiwa się z boku na bok. – Gdzie?

– Tutaj.

Ale go nie ma. Ja go nie widzę.

– Czekajcie... jest tutaj? – Nadzieja pieni się jak wstrząśnięta butelka z napojem gazowanym. – Już go ocaliliście przed Drau?

– Nie.

– Ale właśnie powiedzieliście... Nie rozumiem... To znaczy, że to wy...

...robiliście mu krzywdę, sprawiliście, że krzyczał. Kropelki nadziei wybuchają, zmieniając się w strach. Już niemal zbieram się do natarcia na Komitet, mam wielką ochotę zmieść ich z tej płynącej w powietrzu półki, spojrzeć im w oczy, zażądać wyjaśnień. To plan skazany na niepowodzenie. Tak naprawdę to ich tutaj nie ma, są raczej bankiem pamięci niż rzeczywistością. Zdaje mi się, że gdy zechcę ich dotknąć, trafię w pustkę.

Próbuję wyrównać ton głosu, ukryć furję i niechęć. Niezbyt mi się udaje.

– Dlaczego to zrobiliście? – pytam opryskliwie.

Czas pomiędzy moim pytaniem a ich odpowiedzią trwa ze sto lat.

– To było konieczne.

Biorę długi, powolny wdech. Proste pytania. Proste wyjaśnienia. Dlaczego więc odpowiedź zabiera im tyle czasu? Dlaczego ważą każde słowo? Bo nie chcą, żebym poznała pewne fakty. Są rzeczy, o których nie chcą mi powiedzieć. Moja wyobraźnia jest równie okrutna, jeśli nawet nie bardziej, niż prawda.

– Czy jest nietknięty?

– Żyje.

Nie jestem przekonana, lecz trzymam się kurczowo tego najważniejszego

faktu: nie umarł.

– Nie o to pytałam.

– Nie, nie o to, ale proponujemy ci taką odpowiedź.

Co wiele mówi mi o nich.

– Dlaczego sprowadziliście tu Jacksona po Detroit? Dlaczego nie odrodził się z resztą z nas?

– W czasie wojny należy zachować dyscyplinę. Musi być porządek. Niezależne akcje narażają wszystkich na ryzyko.

Lub ratują życie. Nie zamierzam jednak się o to wyklócać. Kiedy byłam trzynastolatką, nagle zaczęłyśmy się z mamą często kłócić. O głupoty. Jaką kurtkę mam ubrać. Które džinsy powinnam kupić. Po około dwóch miesiącach mama przestała odpowiadać na moje zaczepki bez względu na to, jak mocno ją prowokowałam. Na jej ustach pojawiał się błogi uśmiech i zmieniała temat. Kiedy próbowałam podtrzymać dyskusję, mówiła, abym podejmowała takie bitwy, które mają znaczenie. Właśnie podejmuję swoją bitwę.

– Dlaczego nie wrócił z Detroit?

– Został zatrzymany.

– Przez was. – Zaciskam pięści i zmuszam ich do odpowiedzi, ponieważ mają znaczenie. – Dlaczego? Dlaczego zatrzymaliście go tutaj? Dlaczego zrobiliście mu krzywdę?

Znowu przerwa. Złość przyspiesza mi tętno, kiedy czekam, aby coś powiedzieli.

– Jackson Tate był świadomy konsekwencji.

– Konsekwencji czego? Nie odpowiadacie na moje pytanie.

– Mówimy prawdę. Nie mamy wpływu na to, że oczekujesz innej odpowiedzi.

Zwrot „wpadać w furję” słyszałam miliony razy. Nigdy mi się to nie przytrafiło, aż dotąd, gdy szkarłatna mgła przesłania mi wzrok, a serce wali jak młot. Tylko dzięki cierpliwości, którą nabyłam, wykonując niezliczone ćwiczenia kendo w sali Sofu, powstrzymuję się od wypowiedzenia słów, które lepiej trzymać zamknięte wewnątrz.

Odwróć uwagę. Przegrupuj się. Muszę to przedstawić z innego punktu widzenia, wykorzystać to, co wiem, aby powiedzieli mi to, czego jeszcze nie wiem.

– Jaką zasadę złamał Jackson?

Powietrze wiruje po mojej skórze. Panuje absolutna cisza. Nieomal czuję, jak wibruje każdy atom, każda cząstka. Z tej ciszy wyczytuję potwierdzenie swoich podejrzeń: Luka i ja mieliśmy rację. Uwięzili go za złamanie jakiejś zasady lub prawa. Co aż tak okropnego mógł zrobić? Chcę rzucić jakieś argumenty i wyjaśnienia, błagać, wstawiać się, ale wgryzam zęby w policzek i zachowuję milczenie.

– Nie jest Drau.

Dzięki za to objawienie. Przykładam opuszki palców do skroni. Ta odpowiedź nie ma sensu, lecz powinna mieć. Wiem, że powinna. On nie jest Drau... Nie, w zasadzie to nieprawda. Nie jest w całości Drau, ale jakaś jego część jest.

– Zrobił coś, co zrobiłby Drau – mówię powoli, zgadując. Kiedy nie zaprzeczają, kontynuuję, wykorzystując wiedzę, nakładając na nią kolejne warstwy: – Powiedzieliście również, że był świadomy konsekwencji, więc... złamał tę zasadę nie po raz pierwszy.

Co takiego zrobił, że rozsierdził Komitet do tego stopnia, że go uwięziono, skrzywdzono, aby uzyskać odpowiedzi? Prawie zginął za nich w walce z Drau w Detroit.

Ale Jackson także przehandlował mnie za możliwość wyjścia z gry. Zanim uderzyliśmy w Detroit, już byłam dowódcą drużyny. Co oznacza, że transakcja została dokonana i w ogóle nie powinno go tam być. Miał być zwolniony z gry.

Ale tam był.

Przyjął na siebie cios przeznaczony dla mnie. Umarłby, gdybym...

– To o to chodzi, prawda? Przyjął na siebie cios Drau. Został ranny. Umierał... – Jego kom był prawie cały czerwony, ledwo muśnięty przez pomarańczowy. Spoglądałam na Komitet. – Nie chodzi jednak o to, że złamał zasadę, że prawie przy tym zginął. Złamał ją, żeby przeżyć. Chodzi o to, co zrobił, aby przeżyć, czyż nie?

– Sposób, który wykorzystał, jest zabroniony. Jackson Tate był świadom zastrzeżeń i ograniczeń. Wybrał nieposłuszeństwo.

Drzę na wspomnienie chwili, kiedy pochylałam się nad jego zmaltretowanym ciałem. Błagam go, aby żył. Powiedziałam, że mu nie przebaczyłam, że musi żyć, płaszczyć się i zapracować na przebaczenie za uwięzienie mnie w grze. To były moje niemal ostatnie słowa skierowanego do niego. Straszne, desperackie słowa.

Spojrzał na mnie, jego oczy szare jak u Drau, w ich głębi czaiło się coś ciemnego i niebezpiecznego. Coś drapieżnego.

Wziął to, co mu zaoferowałam. Zrobił to, co zrobiłby Drau – pobrał prąd elektryczny z mojego ciała, aby podładować swoje nerwy, mięśnie, komórki. Jak akumulator. Utrzymał się dzięki temu przy życiu aż do momentu, gdy nas wyciągnięto.

– Nie chciał – szepczę, po czym powtarzam głośniej: – Nie chciał. Zjadało go żywcem to, co zrobił Lizzie.

Już raz wykorzystał możliwości Drau i drogo go to kosztowało. Nie miał zamiaru jej zabić – jednak jego siostra zginęła, aby on mógł przeżyć. Z tą świadomością żył już pięć lat. Nienawidził siebie za to.

– Nie chciał tego nigdy zrobić ponownie – mówię.

– Został ostrzeżony.

– To moja wina. Zmusiłam go.

Zbyt szybko oddycham. Pragnienie, aby biec, krzyczeć, naciska na ściany, które zbudowałam. Panika w najczystszej postaci.

Skoncentruj się. Oddychaj. Wyobrażaj sobie. Te techniki są bezużyteczne wobec moich obecnych problemów.

– Słuchajcie mnie. Proszę. To ja zmusiłam go do nieposłuszeństwa. Nie mogłam pozwolić, aby umarł. Nie mogłam. Powinniście być zadowoleni, że tak się stało. Potrzebujemy go. Wy go potrzebujecie. Ma wyjątkowe umiejętności i cechy.

– Wiedział, jaka jest kara.

– Ale ja nie wiedziałam. To moja wina.

– Nieznajomość prawa nie jest wytłumaczeniem.

Próbuję myśleć, mój umysł ślizga się bezładnie jak łyse opony po czarnym lodzie. Jackson złamał prawo, gdy jego siostra umarła, aby on mógł żyć. Został ułaskawiony. Dopiero przy drugim naruszeniu Komitet zrobił to... co z nim zrobił. Prawdopodobnie oznacza to, że ja również mam jedną wolną przepustkę.

– Dobrze. Jeżeli musicie kogoś obwiniać, jeśli ktoś musi za to zapłacić, niech to będę ja.

Cisza przeciąga się i gdy mijają kolejne sekundy, mam dołujące wrażenie, że nie chodzi tu o to, że myślą nad odpowiedzią. Oni w ogóle nie zamierzają jej udzielać.

Wzburzenie, wściekłość, strach i uraza łączą się, gorące i ostre, w moich żyłach.

– Nie przeprowadziliście żadnego cywilizowanego procesu. Torturowaliście go. Czułam to. Czułam jego ból, słyszałam jego krzyki.

Podchodzę dumnie do przodu, w ustach mam sucho, puls wali tak mocno, że czuję go w skroniach. Chcę w coś uderzyć, złamać, rozerwać na strzępy. Nie mogę. Jedyna broń, która może pomóc w tej bitwie, to słowa.

– Czy tak właśnie postępujecie z nieposłusznymi żołnierzami? Nie słyszeliście o Konwencji Genewskiej i międzynarodowym prawie humanitarnym?

– To prawa ludzi.

Racja. A oni są obcymi.

– Jesteście w świecie ludzi. Wasze potomstwo to ludzie. W tym ja. I Jackson. Więc te prawa się do was odnoszą. Dlaczego je łamiecie, a od nas oczekujecie przestrzegania zasad, których nawet nie przedstawiliście? To, co robicie, nie ma sensu.

Płuca mam ściśnięte i oddycham z trudnością, jakbym dopiero co przebiegła maraton z maksymalną szybkością. Muszę się kontrolować.

– Artykuły Konwencji Genewskiej określają warunki traktowania więźniów.

– Dokładnie tak. Jackson jest więźniem. Nie możecie tak zwyczajnie torturować ludzi... – Krztuszę się od szlochów, gdy wspominam dźwięk jego cierpienia rozbrzmiewający w moim umyśle.

– Nie torturujemy. Jakikolwiek dolegliwości były wynikiem przypadku.

– Przypadku? Skrzywdziliście go. Celowo. Podczas gdy jedyne, co zrobił, to utrzymał dwóch waszych żołnierzy przy życiu. Siebie i mnie. I prawdopodobnie jeszcze więcej w toku bitwy.

Bitwy, w której nawet nie powinien wziąć udziału, bo miał zostać zwolniony z gry.

– Przesłuchiwaaliśmy go. To był nasz cel. A nie zadawanie bólu. To był produkt uboczny braku kooperacji ze strony Jacksona Tate'a. Wystarczyło, by dał nam dostęp, a ból by zniknął.

– Obwiniacie ofiarę?

Mam wrażenie, że słucham jakiegoś złoczyńcę w naprawdę kiepskim programie telewizyjnym, który wyjaśnia bohaterowi, że wrywa mu paznokcie, bo ten nie chce współpracować. Ale to jest Komitet, wszytkowiedząca świadomość, która prowadzi nas w grze. To ona ma zbawić świat.

– To nie wy macie czynić zło, szczególnie w stosunku do własnych żołnierzy. Powinniście nas chronić. – Gotuję się z bezsilnej wściekłości przemieszanej z dużą dozą rozczarowania. – Macie być tymi dobrymi.

Boże, czy mogę być jeszcze bardziej żałosna?

– Pozwalamy Jacksonowi Tate'owi na wiele swobody ze względu na jego wyjątkowe cechy.

– Czy sprawianie, że krzyczy z bólu, nazywacie swobodą?

– Ty naprawdę wierzysz, że go torturowaliśmy?

W tym pytaniu wyczuwam cień emocji. Zdziwienie również, ale przede wszystkim rozbawienie, jeśli właściwie to odczytuję. Nie rozumiem dowcipu. Jednak uczucie ich rozbawienia w obliczu mojego zdenerwowania sprawia, że na chwilę pauzuję.

– Słyszałam jego krzyki. Jeżeli ich źródło można wytłumaczyć inaczej, to chętnie posłucham.

– Jest uparty. Tak jak ty. Jackson Tate powinien ujawnić nam swoje myśli. Znasz sposób, w jaki się komunikujemy.

– Ten, w którym przekazujecie to, co macie do powiedzenia bezpośrednio do moich wszystkich zmysłów?

– Dokładnie.

Staram się wyciągnąć z tego wnioski. Próbuję zrozumieć, co chcą mi powiedzieć. Mogą przekazywać swoje myśli bezpośrednio do mojej głowy, ale...

– Nie słyszycie moich myśli w swoich głowach. Muszę wymawiać słowa głośno. Możecie rozmawiać z moim mózgiem, ale nie słyszycie moich myśli.

– To nie byłoby właściwe. Możemy dostać się do nich tylko za twoją zgodą.
– Dostać się wyłącznie za pozwoleniem lub nie dostać się bez pozwolenia?
– Jesteś bystra, że wyłapałaś tę różnicę. Zależy od osoby. Niektórzy są silniejsi niż inni.

Obejmuję się ramionami i odruchowo cofam o krok. Myśl, że mogliby wejść do mojej głowy na życzenie, napawa mnie obrzydzeniem.

– A ja? Czy jestem silna?

– Tak.

Nie wahają się nad odpowiedzią, nawet przez tysięczną sekundę. Zagryzam wargę nieprzekonana. Czy to prawda, czy też wersja prawdy, w którą chcę, abym uwierzyła? Nie jestem pewna, czy nadal mogę im ufać.

Przypominam sobie te wszystkie umysły, które wyczyścili, gdy ktoś ginie w grze, wiedzę, którą kradną, pamięć, którą zabierają, i zdaję sobie sprawę, że nie jest to żadne nowe odkrycie. Od początku wiadomo, że mogę wdrzeć się w ludzkie umysły. Po prostu nie chciałam przyznać, co to oznacza. Jak w tandetnym horrorze, gdzie dziewczyna sama w chacie w lesie nie chce przyjąć do wiadomości, co znaczy skrzypiąca podłoga.

To zwykle ja jestem tą, która krzyczy na tę głupią, głupią dziewczynę.

– Nie możecie wejść do głowy Jacksona, chyba że wam pozwoli.

– Załadaliśmy dostęp. Odmówił. Nalegaliśmy.

– Weszliście siłą. – Jestem tak zła, że czuję się chora. – Wbrew jego woli.

– Dla dobra sprawy.

– To jest... – Ledwo łapię się na tym, aby nie krzyknąć: „Gówno prawda!”.

Nigdy specjalnie nie wierzyłam w uzasadnienia dla dobra sprawy. – Chcę go zobaczyć. Porozmawiać z nim. Chcę dowodu, że nic mu nie jest.

Sekundy rozciągają się w minuty, Komitet milczy. Czuję napięcie w ramionach. Chcę na nich naskoczyć w każdy możliwy sposób. Chcę, aby zaprowadzili mnie do Jacksona.

A potem wszyscy odchodzą. Cieniste figury w amfiteatrze. Postaci na napowietrznej półce.

Zostaję sama z moimi złością i strachem, sama w tej szerokiej pustej przestrzeni, nieco bogatsza w wiedzę na temat tego, co Komitet może, a czego nie może, bardziej niż trochę rozczarowana i tak samo daleka od ocalenia Jacksona jak wtedy, gdy tu przybyłam.

Rozdział dziesiąty

Kiedy Komitet ponownie pojawia się na płynącej w powietrzu półce, siedzę na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, ociekająca potem. Nie wiem, na jak długo mnie tu pozostawili. Straciłam rachubę, ile razy obiegrałam amfiteatr. I tylko w niewielkim stopniu pohamowałam niepokój.

Są sami. Reszta miejsc w amfiteatrze jest pusta. Chcę zapytać dlaczego, ale nie pytam. Odłożę to na później, teraz zadam tylko te pytania, które mają znaczenie.

Przez sekundę rozważam możliwość zakomunikowania, że nie życzą sobie świadków tego, co ma nastąpić. Jednak Komitet dzieli się świadomością. Przynajmniej w to każą mi wierzyć. Więc nawet jeśli inni członkowie nie są tu obecni, to i tak wiedzą, co się dzieje.

– Jesteś spokojniejsza, Miki Jones.

– Tak – kłamię.

– Mamy dla ciebie prezent. – Postać z prawej wskazuje na odległy kraniec amfiteatru, obracam się.

Zapiera mi dech w piersi. Moje serce na chwilę zamiera, po czym zaczyna mocno uderzać.

Stoi tam chłopak, tyłem do mnie, jego koszulka ciasno opina szerokie ramiona, a dalej opada luźno na wąskie biodra. Jego włosy są jasnobrązowe, poprzetykane miodowymi i złotymi pasemkami. Nie widzę jego twarzy. Nie muszę.

– Jackson!

Zanim zdążyłam krzyknąć, już pędzę do niego. Nie obraca się, nie rusza. Jeszcze raz wołam go po imieniu, przyspieszam. Już prawie tam jestem, wystarczająco blisko, aby go dotknąć, gdy wpadam na ścianę.

Z jękiem lecę do tyłu, ląduję na tyłku. Spoglądam w górę zaszokowana i zmieszana.

Nie ma żadnej ściany. I nie ma Jacksona.

Zniknął.

Wstaję na nogi i odwracam się do Komitetu.

– Gdzie on jest?

– Pozwoliliśmy ci przekonać się, że Jackson Tate jest żywy i nietknięty.

Pocierając czoło, którym walnęłam w niewidzialną barierę, przyglądam się im i próbuję rozszyfrować ich grę.

– Widziałam plecy jakiegoś chłopaka. Nie mam pewności, że to był Jackson. A to oznacza, że nie mam żadnego dowodu na to, że on żyje.

Głos mi się załamuje. Kłamię. Nie widziałam jego twarzy. Jednak to był Jackson. Czułam to.

– On tam tylko stał. Nie ruszał się. Nie mówił. Nie odpowiedział, gdy krzyknęłam jego imię. – Trzęsę się, moje czoło pulsuje. – Uważacie, że to żart? Gra? – Gdy tylko wypowiadam to słowo, tłumię dreszcz. – Nie. To moje życie. I jego.

– Dokładnie. Możesz teraz wybrać. Twoje życie lub jego.

– Co?

– Twierdzisz, że ponosisz odpowiedzialność za czyn Jacksona Tate’a – mówi Komitet. – Za to, że złamał zasady ustalone przez nas, aby chronić wszystkich. Więc dajemy ci wybór, Miki Jones. Twoje życie lub jego.

– To szaleństwo. Dlaczego to robicie? Oboje jesteśmy cenni dla sprawy. Nie możecie... – Przęłykam ślinę i próbuję ponownie. – Nie możecie mnie prosić, abym wybrała. To będzie albo samobójstwo, albo morderstwo. To nie ma sensu...

– Wybierz albo wybierzemy za ciebie.

– Nie.

Cofam się, rozglądam wokół, gorączkowo szukam śladu po Jacksonie, rozpaczliwie szukam drogi ucieczki. Jestem w pułapce bez wyjścia, uwięziona przez istoty, które rozporządzają moim życiem. Rozporządzają życiem nas wszystkich. Odczuwam takie samo przerażenie jak w budynku w Detroit, z Jacksonem umierającym w moich ramionach, gdy stanęłam przed wyborem, że albo pozwolę mu się wykrwawić, albo sama zginę. Niemożliwy wybór.

– Dlaczego to robicie? Macie zbawić świat. Macie być...

...tymi dobrymi.

– Jeżeli nasza armia nie wykonuje rozkazów, nie przestrzega zasad, to nie możemy mieć nadziei na pokonanie Drau. Wybierz. Teraz.

– Tu nie chodzi tylko o mnie i o niego! – krzyczę. – Mam ojca. Przyjaciół. Jackson ma matkę. Ojca. Oni już pochowali jedno dziecko. Tu nie chodzi tylko o jedno stracone życie. Chodzi o tych, których ta śmierć dotknie, zrujnuje. – Złamane serca. Poszarpane dusze.

– Dokładnie. A ilu zginie, jeśli nie pokonamy Drau? Wszyscy, Miki Jones. Wszyscy na tej planecie. Pomyśl o tym.

Pot spływa mi wzdłuż kręgosłupa. Muszę pomyśleć. Muszę...

– Chodzi o ratowanie świata? Więc wykorzystajmy to jako punkt wyjścia. Potrzebujemy Jacksona. Jaki pożytek dla sprawy niesie jego śmierć? Nikt tak nie walczy, jak on. Nikt tak nie zna Drau, jak on. Wiecie, że to prawda. Nie ważne, ile macie drużyn, jak są dobre. Nie stać was na utratę Jacksona Tate’a.

Oddycham krótko i płytko, myśli mi się kłębią, strach spycha mnie coraz bliżej krawędzi. Komitet miał tysiące lat na naukę, jak naginać okoliczności i argumenty na swoją korzyść. Ja tylko szesnaście. Szale nie są równe.

– Więc zdecydowałaś się na śmierć?

– Nie! – Cofam się, potykając, wyciągam ręce przed siebie. – Tego nie

powiedziałam. Czy wszystko rozbija się o przestrzeganie zasad? O szersze dobro, dobro drużyny ludzkiej? Więc porozmawiajmy o tym. Nie wciągnięto by mnie do gry, gdyby nie było to ważne. Udało mi się przeprowadzić swoją drużynę przez dwie trudne misje z niewielkim szkoleniem i wiedzą. – Niezupełnie. Nie tyle dowodziłam, co przez przypadek przetrwałam. – Teraz może być już tylko lepiej. Potrzebujecie mnie. Wojna mnie potrzebuje. Jaka będzie korzyść z zabicia mnie?

– Więc wybierasz Jacksona...

– Jeszcze nie skończyłam. – Przerywam im, ruszam do przodu, szykuję się do ofensywy. – Czy trzeba złożyć ofiarę, aby zadowolić wasze pokręcone myślenie? Dobrze, niech tak się stanie.

Komitet po prostu tam siedzi, trzech milczących sędziów, czekając na moje potknięcie, na pretekst, aby mnie zabić lub wyciąć mi serce, zabijając Jacksona.

– Ten jeden odpowiedzialny za tę porażkę zostanie usunięty z drużyny. Jeden z was zakończy pracę – mówię. – To wy jesteście wszystkowiedzący, wszystkowiedzacy. Powinniście zainterweniować w Detroit. Powinniście nas wyciągnąć, zanim Jackson i ja musieliśmy dokonać wyboru. Chodzi o odpowiedzialność? O obwinianie? Więc chodzi tu o was – mówię coraz szybciej, doprowadzam argumentację do perfekcji. – Jesteście zbiorową świadomością, prawda? To oznacza, że wszystko, co wiecie, wiedzą też inni. Tak więc jeden z was jest bardziej zbędny niż Jackson lub ja. – Biorę głęboki oddech i oddaję najcenniejszy strzał. – Gdybyście mogli walczyć bez nas, to byście walczyli. Wygralibyście już za pierwszym razem, w waszym własnym świecie.

Jestem okrutna. Nie dbam o to. Nie pozwolę, aby to zrobili. Nie kontrolowałam sytuacji, nie miałam nic do powiedzenia, gdy zostałam wciągnięta do gry, do prowadzenia tego szalonego podwójnego życia. Nie miałam wyboru, kiedy umarł Sofu. „Jeśli przeżyje tę noc, jego szanse wzrosną” – mówili. Nie przeżył. Zmarł. Nigdy się z nim nie pożegnałam. Nie miałam nic do powiedzenia, gdy zmarła mama. „Po biopsji będziemy wiedzieć więcej” – mówili. Jasne, wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy, że nie ma szans.

Ale Jackson i ja mamy szansę i tym razem zamierzam mieć coś do powiedzenia.

Stoję przed nimi, klatka piersiowa pracuje ciężko jak po wyczerpujących ćwiczeniach fizycznych. Oczekuję wściekłości z ich strony. Jestem na nią gotowa.

W odpowiedzi słyszę jednak śmiech, dźwięk składający się z ciepła i światła napływa do moich żył, tańczy w kończynach.

– Dobra robota, Miki Jones. Twoje rozumowanie jest uzasadnione.

– Czy to był rodzaj testu? – Patrzę na nich z niedowierzaniem. Nawet nie staram się ukryć szyderstwa w swoim głosie.

– Coś w tym rodzaju. Musieliśmy ocenić istotne umiejętności przywódcze, twoją zdolność do szybkiego myślenia, podejmowania błyskawicznych decyzji

w obliczu nadciągającego niebezpieczeństwa.

Tak jakby decyzje, które podjęłam w grze, nie były szybkie i w sytuacji zagrożenia.

– Musieliśmy skończyć tę układankę.

Gniew nadal tkwi we mnie, mocny i zacięty. Naprawdę sądziłam, że mnie zabiją. Że zabiją Jacksona.

– Układankę – powtarzam jak echo.

Wyobraźnia podsuwa mi kolekcję Sofu, składającą się z japońskich pudełek z puzzlami – pudełek, które można było otworzyć jedynie poprzez zagadkowe manipulacje. Czasem wystarczyło dotknąć czegoś tu i ówdzie. Czasem była to skomplikowana sekwencja ruchów małymi częściami. Pod odpowiednim dotknięciem pudełko ujawniało swój sekret. Podobnie jak Komitet grę, zasady. Jedyna metoda zdobycia informacji to dotknięcie czułego punktu, zadanie odpowiednich pytań w odpowiedni sposób. Ale oni nie mówią o sobie ani o grze, ani o zasadach. Mówią, że to ja jestem układanką. Jaki sekret chce wydobyć ze mnie Komitet?

– Ten cały misterny scenariusz służył jedynie sprawdzeniu, jak szybko myślę pod presją? Ocenie moich zdolności przywódczych? – Pauzuję, próbując rozwikłać splątanań nic ich logiki. Przychodzi mi do głowy koszmarny pomysł. – Potwierdzaliście w ten sposób, czy się nadaję na następcę Jacksona, zanim zwolnicie go z gry?

– Nie.

Przetrawiam to przez sekundę.

– Nigdy nie zamierzaliście pozwolić mu odejść, prawda? – Nawet nie próbuję ukryć goryczy. Postrzegam Komitet w jaskrawym, nowym świetle i jego obraz nie jest pochlebny. – Wykorzystaliście go, aby mnie ściągnął, a potem nie dotrzyмалиście słowa.

– Mógł odejść. Musiał tylko zapłacić cenę.

– Zapłacił. Wprowadził mnie do gry. To była ta cena, wymiana handlowa. – Była? Pamiętam słowa Jacksona, pobrzmiwające w moich myślach: „Wzięliście już dosyć. Tego już nie zabierzecie”. – Co chcieliście mu odebrać?

– Wspomnienia.

– Gry. – To miało sens. Jeśli nie był już jej częścią, to nie chcieliby, aby ją pamiętał. – Dlaczego Jackson tak bardzo walczył o te wspomnienia? Nienawidzi tej gry. Dlaczego chciałby ją pamiętać?

– Kiedy straci pamięć o grze, straciłby również pamięć o tobie.

Zapiera mi dech w piersi.

– Zrezygnował z wolności z mojego powodu?

Nie chcę przyjąć takiej odpowiedzialności. Z drugiej strony nie wyobrażam sobie, aby zapomniał o mnie, o nas, zapomniał o śniadaniu, które dzieliliśmy na

trybunach, wymianę dowcipów... pocałunki. Nie chcę, aby zapomniał, że mnie kochał, mimo że to wspomnienie może go kosztować wolność. Jaką jestem osobą, jeśli tak myślę?

– Co teraz? Co się z nim stanie? Co stanie się ze mną?

– Będziemy kontynuować.

Kontynuować grę. Kontynuować nasze życie.

– To była pułapka. – Potrząsam głową, ledwo mogę to wszystko pojąć. – Przetrzymanywaliście Jacksona, sprawiliście, że sądziłam, że jest w niebezpieczeństwie, że muszę wybierać między życiem jego a swoim, dla testu?

Zamierzam dodać, że to było nie fair, ale gdy myślę o tym słowie, niemal przewracam oczami zdumiona własną naiwnością. Życie jest nie fair. Truizm pierwszego stopnia. I jakże prawdziwy.

– To jest pokręcone – podsumowuję. – Chore.

– To działa. I było czymś więcej niż tylko testem. Jackson Tate postąpił wbrew zasadom. Nie może zrobić tego ponownie. Zostanie wykluczony. Jesteśmy pewni, że teraz to rozumie.

Drzę na wspomnienie jego krzyków, jego cierpienia.

– Czyli nadal jest w grze?

– Tak. Zachowując swoje wspomnienia, dokonał tego wyboru.

Czyli moja wolność została poświęcona bez sensu. Nie dostał tego, czego chciał. Nie wyszedł z gry.

– A co ze mną? Jeżeli on zostaje, to ja mogę odejść?

– Wojna trwa. Drau nadal stanowią zagrożenie. Jednak zgodnie z naszą umową z Jacksonem Tate'em możesz odejść, ponieważ on zdecydował się zostać.

Nie oczekiwałam takiej odpowiedzi. Myślałam, że powiedzą: „Nie”. Potrzebuję sekundy, aby przestawić tory mojego myślenia. Byłam dla Jacksona przepustką do wolności, teraz on jest moją.

Nie sądziłam, że znajdę zastępstwo dla siebie, aby odzyskać wolność, ale tak się stało. Tyle że nie chodzi o byle kogo. Tylko o Jacksona.

Ale ja go nigdzie nie posyłam. Podjął własną decyzję.

Teraz ja muszę podjąć swoją.

Zaciskam wargi. Czuję się jak chomik w kołowrotku, biegnę i biegnę donikąd. Biegnę, bo jestem zbyt głupia, by się zatrzymać, wybrać coś innego niż to, co oczywiste.

– Co się stanie, gdy wybiorę przepustkę? Czy wrócę do chwili, gdy uderzyła mnie ciężarówka? Czy zginę?

– Wrócisz do swojego wcześniejszego życia.

Jackson nadal jest w grze, więc ja nie muszę już w niej tkwić. Mogę odejść.

Naprawdę mogę? Czy mogę zaufać Komitetowi? Jeszcze wczoraj powiedziałabym, że tak. Teraz nie jestem taka pewna.

Przebiegam w myślach całą rozmowę, odkąd tu jestem, moje własne słowa błyskają jasnością neonu: „Nie wprowadzono by mnie do gry, gdybym nie była ważna... Wojna mnie potrzebuje”.

Chodzi o coś więcej niż tylko o mnie. Każdy na tej planecie może zginąć z rąk Drau.

Z wszystkiego, co widziałam w czasie misji, z tego, co powiedział mi Komitet i co wydedukowałam sama, wiem, że liczy się każdy żołnierz. Każdy dowódca. Jest nas tak mało, a ich tak wielu.

Co z moim honorem, jeśli odejdę? Mam wrażenie, że obok mnie stoi Sofu. Często mówił o *bushido*: kodeksie żołnierza. Lojalność. Honor aż do śmierci. Wiem, że zostałby w grze i walczył aż do tragicznego końca. Broniłby naszego świata, dopóty ostatni Drau byłby albo martwy, albo uciekłby z podkulonym ogonem.

Rozdarta spoglądam na Komitet. Bez względu na to, jak jestem na nich wkurzona, jak bardzo zostało nadwyrężone moje zaufanie, muszę podjąć decyzję z jasną głową.

Z jasnym sercem.

Najgorsze jest to, że trochę ich rozumiem. Nie podobają mi się ich metody, ale relatywnie to oni są tymi dobrymi, którzy próbują ocalić świat. Biorę wdech.

– Wchodzę w to – mówię.

Dopóki nie dowiem się, o co w tym chodzi.

Postać w środku oszczędnie pochyła głowę na znak zgody, po czym bez słowa wszyscy znikają, jakby ich nigdy tutaj nie było.

– Czekaście! – krzyczę. – Czy wszyscy wrócili bez szwanku z ostatniej misji? Dzieciaki z innej drużyny? Ta dziewczyna, która mi pomogła?

Stoję tam tak długo, aż podejrzewam, że zapomnieli o mnie. Raptem wyczuwam ich odpowiedź w czaszce, w kościach: „Nie posłaliśmy innej drużyny. Nie było żadnej dziewczyny. Sama się uratowałaś, Miki Jones”.

Nie uratowałam się sama.

Rozdział jedenasty

- Budzę się w strumieniu światła padającego przez okno prosto na moją twarz.
- Miki? – Drzwi skrzypią, gdy tata otwiera je na szerokość paru centymetrów. – Mogę wejść?
- Hm... – Spoglądam w dół i widzę, że leżę na kołdrze, całkiem ubrana. – Tak. Jasne.
- Staje w drzwiach, marszczy brwi, gdy badawczo mi się przygląda.
- Wszystko w porządku? Spałaś, kiedy wróciłem wczoraj z pracy. Próbowałem cię obudzić na kolację, ale złapałaś mnie za sweter i walnęłaś w twarz. Siadam sztywno wyprostowana.
- Nie zrobiłam tego.
- Zrobiłaś. – Pociera swoją szczękę. – Widzisz ten siniak? – Odsuwa dłoń. – Miałaś pewnie jakiś sen?
- Pewnie miałam. – Wstaję i przyglądam się jego szczęce. – Tato, poważnie, powiedz, że cię nie walnęłam.
- Nie uderzyłaś mnie. – Uśmiecha się. Prawdziwym uśmiechem, który sięga jego oczu jak wtedy, gdy żyła mama. Nie mogę się powstrzymać i odpowiadam mu uśmiechem. – Cóż... niezbyt mocno.
- Tato! – Łapię poduszkę i rzucam w niego. – To nie jest śmieszne.
- Nie uderzyłaś mnie, Miki. Mamrotałaś coś o jakiejś grze i przewróciłaś się na bok. Spałaś – spogląda na zegarek – szesnaście godzin.
- Czy to... sobota? – Szoruję ręką swoją twarz.
- Dziesiąta, sobota rano. – Tata podchodzi i kładzie dłoń na moim czole. Myślę, że czasem odczuwa potrzebę, aby mnie dotknąć, aby upewnić się, że nie odeszłam tak, jak mama. – Chyba nie masz gorączki.
- Nie jestem chora, tato. Myślę, że byłam bardzo zmęczona.
- Odrodziłam się wczoraj na ganku z frontu, dokładnie tam, skąd mnie wyciągnięto. Nie udało mi się zobaczyć Jacksona. Nie rozmawiałam z nim. Mój wzrok biegnie do telefonu. Chcę sprawdzić, czy nie mam od niego wiadomości, ale nie chcę tego robić w obecności taty.
- Nadal jesteś zmęczona? – pyta.
- W najmniejszym stopniu. – Śmieję się. – Jestem kłębkim energii. – Otwieram szeroko buzię i ziewam.
- Właśnie widzę. – Przerywa. – Jadę po zakupy. Chcesz pojechać ze mną?
- Ostatnio zdarzały się chwile, kiedy marzyłam, że tata wyciągnie do mnie rękę, posiedzi ze mną i będziemy po prostu rozmawiać. Ale to nie jest jedna z nich.
- Robię nieokreślony gest w kierunku plecaka.
- Mnóstwo pracy domowej.
- Nie kłamię. Jestem do tyłu z wypracowaniem z angielskiego dla pana

Shompera.

Tata sprawia wrażenie, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale jedynie potakuje głową i wychodzi. Słyszę jego kroki na schodach i dźwięk zamykanych drzwi frontowych.

Chwytam swój telefon. Tony esemesów. Trzy wiadomości w poczcie głosowej od Carli, jedna o 20.09 wczoraj, druga o 22.06, a trzecia z 9.30 dzisiaj rano. Jeden esemes od Dee. Jeden od Luki. Nic od Jacksona. Serce mi zamiera, dopóki nie zdaję sobie sprawy, że prawdopodobnie zrobił dokładnie to, co ja – odleciał na szesnaście godzin. Może ciągle jeszcze śpi.

Odsłuchuję pierwszą wiadomość od Carli: „Skończyłam rodzinną kolację z piekła rodem. Gdzie jesteś?”

Żołądek zwija mi się w kłębek. Zupełnie zapomniałam, że zaprosiłam ją do siebie po kolacji. Robię wydech i przyciskam do czoła zaciśniętą pięść, podczas gdy odtwarzam drugą wiadomość: „No dobra. Chyba mnie olałaś. Znowu. Nieważne”.

Nie chcę słuchać jej ostatniej wiadomości, tej porannej, ale i tak odsłuchuję, ponieważ muszę wiedzieć, jak bardzo jest na mnie wkurzona, zanim zadzwonię do niej i zacznę się płaszczyć.

„Właśnie wpadłam do ciebie i rozmawiałam z twoim ojcem. Powiedział, że zasnął, gdy tylko wróciłaś wczoraj wieczorem. Domyślam się, że wykończył cię ten wczorajszy atak paniki. Nie martw się, nie powiedziałam mu o tym. Przepraszam, że tak się wściekłam. Mam nadzieję, że czujesz się lepiej. I jeszcze jedno, zostawiłam twojemu ojcu chudą latte dla ciebie. Pewnie już wystygła, ale możesz wrzucić do mikrofali. Będę w pracy od dziesiątej do drugiej. Zajęcia w szkole, potem korepetycje dla trudnych bliźniaków, później z Kelley pilnujemy dzieciaków na przyjęciu urodzinowym. Zadzwonię później”.

Ogarnia mnie ulga i jednocześnie poczucie winy. Ulga, bo Carla nie jest na mnie zła i – jeśli mam być szczerą – ponieważ nie muszę się nią zajmować dzisiaj rano.

Gdzie się podziały te czasy, gdy byliśmy nierozłączni, kiedy mogłyśmy robić wszystko i nic – po prostu być razem szczęśliwe.

Właśnie dopada mnie poczucie winy. Nie podoba mi się sposób, w jaki traktuję moją najlepszą przyjaciółkę. Nienawidzę świadomości, że to bardziej z mojej niż jej winy. Może nie zasługuję na to, z jaką łatwością mi przebaczyła. Powinnam była zadzwonić do niej, zanim poszłam do łóżka. Jeżeli tak ma wyglądać moje życie – dwa światy, do których naprzemiennie się przemieszczam, to muszę nauczyć się zachowywać pomiędzy nimi równowagę.

To mój obowiązek, nie Carli. To ja kłamię i ukrywam to gównu. Muszę to ogarnąć.

– Użalam się nad sobą? – mruczę, bo nie lubię siebie w tej chwili.

Sprawdzam inne wiadomości. Nic ważnego. Niczego nie ma od Jacksona.

Próbuję skontaktować się z Luką – najpierw esemes, później telefon, ale nie odbiera.

Po krótkim prysznicu zmierzam do kuchni. Na stole stoi miska z niewielką ilością mleka na dnie, w połowie pełny kubek z kawą i pusta butelka po piwie.

Wracam do chwili, gdy tata położył mi rękę na czole. Czy było od niego czuć piwo? Nie wiem.

Odwracam się w kierunku blatu i widzę pięć kolejnych butelek.

Przez sekundę ogarnia mnie oślepiająca wściekłość na ojca. Po chwili złość kieruje się przeciwko mnie samej. Szara mgła, jak cień pełzająca za mną od dwóch lat, wyłania się z jakiejś dziury, w której się ukrywała. Mam wrażenie, że żebra ugniatają mi dwie ręce, dziesięciokrotnie większe niż normalne, pozbawiając mnie oddechu. Głos potępienia jęczy i ryczy, obwinia mnie o rzeczy, za które nie jestem odpowiedzialna, domaga się ode mnie samoobwinienia.

Ale nie jestem już tą dziewczyną sprzed dwóch lat. Przedzieram się przez tę mgłę, upycham z powrotem do dziury i zgarniam butelkę ze stołu.

Najwyższy czas, abym przestała próbować go leczyć, przestała brać na swoje barki jego decyzje. Jest dorosły. Sam wybiera picie. Sam odrzuca pomoc i nie chce przestać.

To nie moja sprawa. Mogę jedynie dać mu do zrozumienia, co o tym sądzę – co już uczyniłam. Ale to nie moja wina, nie muszę go zachęcać lub podpowiadać, jak ma rozwiązać swój problem.

To jest problem taty. Jego wybory. Nieważne, jak bardzo chcę to kontrolować, nie powinnam tego robić.

Wybrał się na zakupy. To znaczy, że pojechał samochodem. Czy wypił wszystkie dziś rano, czy zostały z ubiegłego wieczora? Dotykam krawędzi każdej butelki na blacie. Suche.

Zakładam, że są z ubiegłej nocy. Jeżeli tak nie jest, to znaczy, że przed dziesiątą rano wypił sześć butelek.

Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, nie wstawiam pustych butelek pod zlew. Nie wycieram blatu. Nawet nie sprzątam jego naczyń ze stołu. Zostawiam butelkę na stole, tam, gdzie ją znalazłam, łapię pop-tarta, gotowego słodkiego tosta – dzisiaj sobota, to jedyny dzień, kiedy odbiegam od zdrowych zwyczajów żywieniowych – podgrzewam w mikrofalce kawę od Carli i wracam do swojego pokoju.

Zastanawiam się, jak zareaguje na to tata.

Nie wiem nawet, co sama mam o tym myśleć.

Wiem jednak, że nie mogę już ukrywać pustych butelek po piwie pod zlewem, czyścić kuchni, aż zacznie błyszczeć, i udawać, że dzięki temu wszystko będzie w porządku.

Jestem w połowie drogi do swojego pokoju, gdy nagle staję, wzdycham i ciężko stąпам w dół po schodach. Myję miskę taty w zlewie, wylewam jego zimną kawę, wstawiam naczynia do zmywarki, wycieram stół, nie ruszając pustej butelki. Zostawiam również puste butelki na blacie i uznaję to za zwyczaj.

Małe kroczki.

Praca domowa zajmuje mi dwie godziny. Co parę minut sprawdzam telefon, mając nadzieję, że zadzwoni Jackson. Nie staram się na nim uwiesić, przykleić do niego. Po prostu chcę usłyszeć jego głos, upewnić się, że wszystko z nim w porządku, że wrócił.

Stoi to w sprzeczności z inną częścią mnie, która jest nadal na niego zła za to, że wciągnął mnie do gry. Nigdy nie rozwiązaliśmy drobnego problemu jego zdrady, tego, jak mnie wkłębcił i sprzedał w tej grze. Powiedziałam mu już w Detroit, że mu nie przebaczyłam.

Nie jestem z tego powodu szczególnie dumna. Ale tak jest.

A to sprawia, że znajduję się w kłopotliwym położeniu.

Nie dzwoni. Co nie jest niespodzianką, gdyż nie podejrzewam, że ma mój numer. Ja również nie mam jego, dlatego nie mogę do niego zadzwonić – zamierzam to naprawić, gdy tylko go spotkam.

Pomagam ojcu wyładować zakupy po jego powrocie, ustawiam etykietami do przodu puszek, te z tyłu szafki wysuwam do przodu, zgodnie z terminem przydatności do spożycia.

Tata spogląda na butelki po piwie, jedną na stole, resztę na blacie i marszczy brwi.

– Nie posprzątałaś kuchni – mówi.

– Owszem, posprzątałam. – Patrzę mu prosto w oczy. – Odstawiłam twoje naczynia po śniadaniu i wytarłam stół.

Czekam, czy poruszy temat butelek. Nie robi tego. Przyglądamy się sobie i po raz pierwszy od długiego czasu nawiązujemy kontakt.

Milczący.

Ważny.

Pierwsza odwracam wzrok.

Idę do góry po schodach, ojciec wychodzi z kuchni na korytarz i obserwuje mnie. Zwalniam, chcę dać mu szansę – jeśli coś powie, cokolwiek, zatrzymam się, wrócę i porozmawiam z nim. Nic nie mówi. Ja również.

Po powrocie do swojego pokoju podejmuję niedokończone wypracowanie dla pana Shompera na temat *Władcy much*. Nie mogę się w pełni skoncentrować. Sprawdzam telefon, następnie moją stronę w internecie na wypadek, gdyby Jackson przesłał tam wiadomość. Nic.

Jestem niespokojna, zirytowana.

Odczuwam nieodparte pragnienie, aby pobiegać. Udaje mi się ułożyć rzeczy

do biegania na łóżku, gdy dzwoni Carla. Rozmawiamy o tym, jak niesamowicie atrakcyjny jest Matt, jej kolega ratownik – cóż, ona mówi, a ja słucham i pomrukuje w odpowiednich momentach.

– Chcesz się wybrać na kolację do Mark's Texas Hots przy Monroe? Lub do Nick Tahou's? – pytam, gdy zamyka temat.

– Nie mogę. Jak już mówiłam, przychodzą Kelley i Sara, będziemy pracować nad projektem z hiszpańskiego, którego nawet nie ruszyliśmy.

Czy rzeczywiście mi o tym mówiła? Jeśli tak, to nie pamiętam.

– Też mogłabyś wpaść – mówi.

W jej tonie słyszę raczej pytanie niż stwierdzenie. Waham się, nie wiem, co powiedzieć. Carla poczyniła plany na sobotni wieczór. Beze mnie. Wcześniej zdarzyło się to tylko raz, gdy miała randkę.

– I odciągać cię od pracy? – wreszcie wyduszam z siebie. – I ty masz mnie za przyjaciółkę?

Śmieje się. Wyczuwam napięcie i dyskomfort. Lub przypisuję jej swoje uczucia względem niej.

Gdy kończę rozmowę, prawie dochodzi trzecia.

Zamykam laptopa, odkładam rzeczy do biegania. Bieg może pomóc rozładować napięcie, ale nie przyniesie mi odpowiedzi na pytania.

Nie mam już zamiaru czekać, aż Jackson się ze mną skontaktuje. Muszę się z nim zobaczyć. Chcę go dotknąć i uwierzyć, że jest prawdziwy. Chcę poczuć jego ramiona wokół mnie. Chcę ujrzyć jego firmowy uśmiech, białe zęby i zabójczy dołek w policzku.

Potem mu wyłożę, co o nim naprawdę myślę w związku z tym, w co mnie wpakował.

Zaciskam usta i wyglądam przez okno. Mam dosyć złości na ludzi, których kocham.

Odłączam telefon od ładowarki i wpycham go wraz z podręcznikami do torby. Nie mam numeru Jacksona, ale znam jego adres. Najlepiej pojawić się nieoczekiwanie przed drzwiami, aby poznać kogoś od najlepszej strony. On przecież wyciął mi podobny numer, gdy nocą wspiał się przez okno do mojego pokoju. Uważam, że należy mi się rewanż.

Zbieram włosy w koński ogon, zamiast spodni od dresu wkładam džinsy i ładny sweterek w kolorze srebrzystoszarym. Przypomina mi oczy Jacksona. Zwykle nie maluję się, ale używam trochę tuszu do rzęs i błyszczka do ust, biorę kurtkę i plecak, i wołam „do zobaczenia” do taty, kierując się do drzwi.

– Czekaj. – Wychodzi ze swojego gabinetu ze zmarszczonym czołem. – Dokąd idziesz?

– Do przyjaciela. Potem może do biblioteki.

Przyznaję, że „może” to nie to samo co „na pewno”. Jednak zawsze istnieje

szansa, że pójde do biblioteki. W ten sposób tata i ja jakoś sobie radzimy – na ogół uczciwi względem siebie, ale nie zawsze.

– Do którego przyjaciela?

Tego właśnie pytania próbowałam uniknąć.

– Chłopak z zajęć angielskiego. Mamy wypracowanie.

Znowu mówię prawdę. Jackson jest w mojej klasie angielskiego i musimy napisać wypracowanie, tyle że niekoniecznie razem.

– Chodzi o Lukę?

– Nie. – Biorę głęboki oddech, pamiętam, że Jackson opowiedział o mnie swojej mamie. – Ma na imię Jackson. Jackson Tate.

– Dlaczego on nie może przyjść tutaj? – Tata marszczy czoło jeszcze bardziej.

– Chcesz zadzwonić do jego mamy i zapytać?

Tata cofa się zaskoczony.

– Przepraszam – mówię i naprawdę tak myślę. – Tato, poważnie, nie robię nic złego. Zaufaj mi choć trochę.

Przetrawia to przez kilka sekund i pyta:

– A co z Carlą?

– Projekt grupowy.

Jego twarz się rozjaśnia.

– Och, no dobrze.

Hmm. Chyba uznał, że będziemy pracować wszyscy razem. Lepiej nie wprowadzać go z błędu.

– Trzymaj przy sobie telefon. Zadzwoń później i daj znać, czy wrócisz na kolację.

– Jasne.

Szybko całuję go w policzek. Obejmuje mnie nieco mocniej i nieco dłużej niż zwykle. Pachnie płynem zmiękczającym do tkanin i ostrym kremem do golenia, tak jak wtedy, gdy byłam mała. Nie czuć od niego piwa. Zamykam oczy i również obejmuję go mocniej.

Potem mnie puszcza.

Przełykam ślinę, waham się. Po podnoszącej na duchu przemowie, którą sobie zaserwowałam po to, żeby już więcej nie namawiać ojca do rzucenia picia, wiem, że powinnam ten temat zostawić w spokoju, niech podejmuje własne decyzje. Nie powinnam naciskać. Ale jakaś część mnie pragnie kontrolować sytuację i ta część mówi gorączkowo:

– Jest takie spotkanie. W zasadzie to spotkania. W liczbie mnogiej. Odbywają się w weekendy i w ciągu tygodnia po godzinach pracy. Moglibyśmy jutro pójść. Jedno jest chyba na ulicy Elmwood rano. I jedno w kościele na ulicy Park po południu. Pójde z tobą, jeżeli to dozwolone. Możemy sprawdzić

w internecie.

Czy on wie, że chodzi mi o spotkania AA? Czy przyjmie moją pomoc?

Patrzy na mnie tak długo, że nie jestem pewna, czy rozumie, o czym mówiłam. Przeciąga ręką po swoim sobotnim zaroście i mówi:

– Jeszcze nie, Miki. Nie jestem jeszcze gotowy.

Rozczarowanie spowija mi ramiona jak peleryna. Rozpala się i rozwija w pełną złość. Zwalczam chęć, aby warknąć na niego, zapytać, co aż tak straszego musi się zdarzyć, zanim będzie gotowy. Ale pamiętam, co napisano na stronie internetowej: „Jeżeli chcesz pić, to twoja sprawa. Jeśli chcesz przestać, to nasza sprawa”.

Uspokajam się na tyle, by zauważyć, że mnie nie uciszył. Nie przyznał, że ma problem, ale też nie udawał, że go nie ma. To postęp.

Powiedział, że nie jest jeszcze gotowy? Może będzie jutro albo pojutrze. Tata musi przyznać, że to nie tylko jego sprawa, albo nic z tego nie będzie.

Muszę być otwarta.

Chcę jeszcze coś dodać, ale nie wiem co. Uśmiecham się więc dziwnie – z zamkniętą buzią i kiwam głową. Biorę plecak i wychodzę.

Rozdział dwunasty

Kiedy docieram do domu Jacksona, drzwi do garażu są otwarte – w środku jest pusto. Czarny jeep Jacksona stoi na podjeździe dokładnie tam, gdzie zostawiliśmy go z Luką. Czy to było zaledwie wczoraj?

Biorę głęboki wdech, dodając sobie otuchy, i podchodzę do frontowych drzwi. Nikt nie odpowiada na moje pukanie. Naciskam dzwonek i czekam. Jeszcze raz dzwonię.

W brzuchu rodzi się niepokój. Czyżby Komitet mnie okłamał? Czy to była kolejna szalona próba? W obu wypadkach odpowiedź brzmi: „Tak”. Moje zaufanie do nich jest mocno nadwyrężone.

Marszczę brwi. Czekaj... Czy oni w ogóle obiecali, że go odeślą? Czy raczej dali mi to do zrozumienia? A jeśli nadal go tam trzymają? Krzywdzą...?

Muszę się dowiedzieć.

Podbiegam na drugą stronę domu. Szybko sprawdzam, czy nikt się nie kręci na ulicy. Spoglądam na dom sąsiadów. Żaluzje są zasunięte. Nikt mnie nie obserwuje. Nie wiem, dlaczego się martwię, że ktoś mógłby mnie zobaczyć. Przecież nie chcę się włamać czy coś takiego. Chcę poszukać informacji.

Włosy na karku mi się jeżą, obracam się i sprawdzam swoje tyły. Nikogo tam nie ma. Sama siebie straszę.

Ponownie się obracam, otwieram furtkę i wskakuję na podwórko z tyłu domu.

Muszę zobaczyć się z Jacksonem. Muszę wiedzieć, czy Komitet odesłał go z powrotem. Nie tylko chcę się upewnić, że wszystko z nim w porządku, choć to jest najważniejsze. Chcę również się upewnić, że pomimo wczorajszego dziwnego zachowania Komitet to nadal ci dobrzy.

Przecież muszą istnieć ci dobrzy.

Podwórko otaczają rabaty kwiatowe, różowe i purpurowe niecierpki wydają ostatnie tchnienie w obliczu coraz chłodniejszej pogody. Jabłoń jest wystarczająco wysoka, abym mogła się dostać do okna z lewej na drugim piętrze. Czy to pokój Jacksona? Nie mam pojęcia.

Nie chcę zbyt długo rozmyślać o tym, co zamierzam zrobić, więc zostawiam plecak na ziemi, sięgam po najniższą gałąź i się wspinam.

Jestem rozczarowana, gdy siedząc na gałęzi na poziomie okna, widzę, że to nie pokój Jacksona. To szwalnia z długim stołem opierającym się o jedną ścianę i mniejszym, ustawionym do niego pod kątem prostym, na którym stoi maszyna do szycia. Drzwi do pokoju są otwarte, widzę przez nie korytarz ze ścianami w kolorze cappuccino i z drewnianą podłogą. Siedzę na gałęzi przygaszona. Co teraz? Ustawienie drzewa nie pozwoli mi dotrzeć do dwóch innych okien, a siedzenie tutaj i wołanie Jacksona nie wydaje się planem stulecia.

Raptem do mnie dociera. Przecież Jackson wcale nie musi być tutaj. Może gdzieś jest ze swoimi rodzicami. Byłoby miło, gdybym o tym pomyślała, zanim wdrapałam się na drzewo.

Już zamierzam schodzić, gdy nagle widzę chłopaka idącego korytarzem. Mija szwalnię. Moje serce najpierw przestaje bić, a potem uderza w zdwojonym tempie. Jackson.

Ma na sobie czarne, zachodzące na boki okulary, flanelowe spodnie w kratkę od pizamy, które nisko wiszą mu na biodrach, i nic więcej. Jego skóra gładko opina naprężone mięśnie, brzuch jest twardy, ramiona wyrzeźbione. Poświęcam sekundę, aby nacieszyć się tym widokiem.

W jednej ręce Jackson trzyma ręcznik, zatrzymuje się na chwilę w korytarzu, aby wytrzeć nim wilgotne włosy. Mięśnie prężą się pod gładką skórą. Obraca się i dostrzegam rany na jego lewym górnym ramieniu i barku, fizyczna pamiątka po spotkaniu z Drau, któremu udało się uciec z gry i pójść śladami Jacksona do realu w dniu, gdy zmarła Lizzie.

Właśnie dlatego chcę, aby Komitet to byli ci dobrzy.

Ponieważ Drau są źli. Bardzo, bardzo źli. Jeżeli jednemu udało się uciec z ram gry, ominąć parametry, które nakreślił Komitet, to istnieje szansa, że wszyscy mogą się wydostać.

O to chodzi w tej grze. Nie pozwolić im się wydostać.

Jackson kręci barkami, opuszcza ramiona, koniec ręcznika ciągnie się po podłodze. Stoi z pochyloną głową, jakby przytłaczał go ciężar świata.

Chcę położyć rękę pomiędzy jego łopatkami, ukoić go dotknięciem, przypomnieć mu, że nie jest w tym sam. Chcę objąć go ramionami i trzymać, tak jak on trzymał mnie, gdy tego najbardziej potrzebowałam.

Zmuszam go, aby się odwrócił. Może wydaję jakiś dźwięk.

Powoli, bardzo powoli zwraca twarz ku oknu.

Przez niezliczone sekundy nie robi nic. Zupełnie nic. Żadnych emocji. Żadnego ruchu. Jakby ta chwila została zamrożona w czasie.

Oddycham szybko. Czuję brzęczenie w uszach. Jestem skoncentrowana tylko na Jacksonie. Jego usta wypowiadają moje imię.

Mój puls zatrzymuje się i ponownie odpala.

Ile razy śniłam, że mama jednak nie umarła, że wróciła, żyje tutaj? Ile razy śniłam o Sofu i Gram?

To nie jest sen. Jackson tu jest. Wrócił.

Żyje.

Dopiero, gdy moje płuca palą, zdaję sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Szybko wydycham powietrze.

W sekundę podchodzi do okna, otwiera je, staje tam z mocno zaciśniętymi pięściami na parapecie, knykcie mu bieleją. Nie uśmiecha się. Nie mówi. Jego

superciemne okulary skrywają jego oczy, jego myśli. Nerwy skręcają mi się w klatce piersiowej jak zepsuty przewód elektryczny.

– Nie powinnaś tutaj być – wypowiada chrapliwie.

Nie tego oczekiwałam. Nie mogę odczytać tonu jego głosu. Nie ma tonu. Nie ma modulacji. Potrząsam głową, lodowata wątpliwość mrozi moje wnętrze, kradnie mi słowa.

Nie jest szczęśliwy, że mnie widzi. Nie chce mnie tutaj. Coś się zmieniło. Coś jest nie tak.

Za dużo emocji. Nie mogę sobie z nimi poradzić po tym, jak w Detroit wsiadłam do szalonej kolejki górskiej. Muszę się stąd wyrwać.

Instynkt każe mi spuścić się po drzewie i uciekać. Wyrwać się. Zostawić go daleko, daleko za sobą.

Ręce nie słuchają moich myśli. Zamiast puścić mocniej zaciskają się wokół gałęzi.

Powiedział, że mnie kocha.

Ale tak nie jest.

Ponownie jest chłopakiem, którego nie potrafię rozszyfrować, który zachowuje się jak dupiek, ściana o grubości trzech metrów pomiędzy nim a innymi. Włączając mnie.

Jackson wychodzi przez okno, wdrapuje się na inną gałąź, strąca czerwone i złote jesienne liście, które powoli spadają. Patrzę na nie, bo nie mogę znieść jego widoku. Nie mogę znieść tej twarzy bez wyrazu.

– Co tu robisz? – pyta nieprzyjaznym głosem.

– Siedzę na drzewie. – Mój podbródek odrobinę się unosi. – Pukałam i dzwoniłam. Nikt nie odpowiadał.

– Więc wspięłaś się na drzewo? – Brwi wyginają mu się ponad oprawkę okularów. – Nie słyszałem twojego pukania ani dzwonka. Byłem pod prysznicem. Odpowiedz na pytanie.

– Tak, wspięłam się na drzewo.

– Nie na to pytanie.

Kącik jego ust unosi się w nieznacznym uśmiechu. Kiedyś powiedział mi: „Od dawna nic nie wywołuje u mnie uśmiechu. Tobie się to udaje. Dziękuję ci za to”.

Gdzie się podział tamten chłopak?

Patrzę w dół, zastanawiając się, czy mogę zeskoczyć na ziemię, nie łamiąc sobie kości.

– Znowu jesteś dupkiem, Jackson?

– Nigdy nie przestałem nim być. Mówiłem ci, Miki. Nie jestem dobrym facetem.

Bez kitu. Jest facetem, który sprzedał mnie do gry. I uratował mi życie.

I przytulał mnie, gdy tego potrzebowałam. Moje uczucia wobec niego są jasne: powiedziałam mu, że go kocham, i tak jest naprawdę. Nie jestem natomiast przekonana, czy miłość do niego jest dla mnie dobra.

Gałąź ugina się, gdy do mojego ciężaru dołącza jego. Nie patrzę na niego, ale wiem, że tam jest, tuż przede mną, stanowczo zbyt blisko. Dobiega mnie zapach cytrusowego kremu do golenia i świeżo wymytej, ciepłej męskiej skóry. Sprawia, że chcę zanurzyć twarz w zagłębieniu jego szyi i po prostu oddychać. Ale do tego droga jest tak długa, jak z Rochester do Australii.

Siedzi tam, nic nie mówi, centymetry między nami rozciągają się w kilometry.

Nie tak wyobrażałam sobie to spotkanie.

– Spójrz na mnie. – Rozkaz. Typowe dla Jacksona.

Unoszę podbródek i spoglądam na niego, widzę swoje miniaturowe odbicia w ciemnych szklach skrywających jego oczy. Przysuwa się bliżej i te maleńkie odbicia zniekształcają się. Nie zamierzam się cofnąć. Nie ustąpię.

– Co ty zrobiłaś, Miki? – W jego głosie pobrzmiewa frustracja i rozdarcie. – Co zrobiłaś? – Mięsień jego szczęki się napina, gdy wyciąga rękę i kciukiem przesuwa po moim policzku. – Płaczesz.

Cudownie. Płaczę. Ścieram łzy grzbietem dłoni.

– Nienawidzę cię – szepczę, życząc sobie, aby to była prawda.

– Naprawdę?

Jego uśmiech jest twardy i niebezpieczny, czuję, jak rośnie między nami silne napięcie. Gniew? Tak... ale również coś innego.

Przesuwa się jeszcze bliżej, jego dłonie ujmują moje policzki. Powinnam odtrącić jego ręce. Powinnam cofnąć się na tej gałęzi. Ale tego nie robię. Zamykam palce na jego nadgarstkach i po prostu je trzymam.

Każda komórka mojego ciała reaguje na niego. Moje usta się rozchylają. Zbyt szybko oddycham.

Pochyla swoje usta ku moim, jego pocałunek jest jednocześnie twardy i miękki, miętowy w smaku.

Pije ze mnie spragniony, a ja jestem głęboką, chłodną studnią. Zapadam się, zagubiona w nim, zagubiona w cudzie jego pocałunku, jego ustach, języku i skrobaniu zębów.

Chcę bardziej się pochylić, wpleść palce w jego włosy, całować go głębiej, mocniej. Wtedy przypominam sobie, że całuje mnie po tym, jak mi powiedział, że nie powinno mnie tu być.

Nie chce mnie tutaj. Już zamierzam go ugryźć, gdy się odsuwa.

– Moja obecność jest tak okropna, że musiałeś mnie pocałować?

Zerkając na niego ze złością, przesuвам grzbietem dłoni po swoich ustach. Nie rozumiem tego. Nie rozumiem jego. Jego dotyk, jego pocałunek mówią mi, że

jestem najważniejszą rzeczą w jego świecie. Jego słowa mówią, że nic nie znaczą.

Upływają sekundy, zanim wydusza z siebie:

– Tak.

Ta odpowiedź wyzwala falę gniewu i urazy, i – tak – zawstydzenia, jest lodowata i ostra jak brzytwa. Odsuwam się, gotowa skoczyć na ziemię.

– Dobra. Odchodzę – rzucam.

– Nie, nie odejdiesz.

Ostatnie słowo musi być jego. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Łapie mnie za nadgarstki, odciąga moje dłonie od gałęzi, ściska pomiędzy swoimi, większymi.

– Miałaś zapomnieć – mówi, tak jakby każde słowo z niego wrywano, emocje, których wcześniej nie było w jego głosie, są tam teraz.

– Zapomnieć o czym? – Zastygam.

– O mnie. Nie powinno cię tu być, bo nie powinnaś mnie w ogóle pamiętać.

– Jego usta wąskie jak kreska. – Chciałem być tym dobrym facetem. A to nie jest moja najmocniejsza strona, Miki.

– Dlaczego miałabym stracić wspomnienia...? – Nie rozumiem. Próbuje być dobrym facetem... – Nie – szepczę, wreszcie pojmując. – Co ty zrobiłeś, Jackson?

– Czy to nie powinna być moja kwestia? – Odchyła głowę do tyłu, zwraca twarz ku niebu. – Co zrobiłem? Myślę, że mną pograno. – Ponownie na mnie patrzy. – A sądziłem, że byłem taki mądry. Nie wspominając nawet o poświęceniu siebie i szlachetności, o którą zabiegałem. Nie poddałem się nawet pragnieniu, aby stanąć na ulicy i popatrzeć w twoje okno wczoraj w nocy. Nie chciałem nadużyć dobrej woli Komitetu.

– Patrzeć w moje okno? Chciałeś to zrobić?

– Już to robiłem.

– Zawsze natrętny? – pytam bez złości.

– Śmieszne oskarżenie z ust dziewczyny, która wspięła się na drzewo, aby zaglądać przez moje okno.

Jego odpowiedzi są nonszalanckie, ale każde słowo ma ukryte zabarwienie.

– Dlaczego stanie na mojej ulicy nadużyłoby dobrą wolę Komitetu?

Sięgam po jego okulary. Łapie mnie za nadgarstek, ale nie powstrzymuje mnie, gdy przesuwam je na jego czoło.

Przyglądamy się sobie. Jego oczy są szare jak u Drau, obce i piękne, otoczone długimi, osobliwie ciemnymi, sterczącymi rzęsami – Carla powiedziała, że to dziewczynskie rzęsy. To jego jedyna, w niewielkim stopniu dziewczynska cecha.

– Czy wyobrazasz sobie, co poczułem, gdy zobaczyłem ciebie siedzącą tutaj? – chrypi, ignorując moje pytanie.

– Powiedz mi – szepczę.

Moja klatka piersiowa jest ściśnięta. Nie mogę wciągnąć pełnego oddechu. Jego rzęsy opadają, przesłaniają oczy.

– To była jedna z najlepszych i najgorszych chwil w moim życiu.

– Najlepsza?

Jego rzęsy unoszą się i patrzy mi prosto w oczy.

– Bo byłeś tu, tuż za moim oknem.

Moje serce wykonuje mały szalony taniec w klatce piersiowej. To te słowa chciałam usłyszeć, miałam nadzieję, że padną, gdy tu przyszedłam.

– Najgorsza?

Odpowiedź zabiera mu wiele czasu, w końcu mówi:

– Bo byłeś tu, tuż za moim oknem. – Obraca moją dłoń dołem do góry, palcem wskazującym śledzi linię życia. – Miałaś zapomnieć. Ale tak się nie stało. Pamiętasz mnie. I pamiętasz grę.

– Dlaczego miałabym nie pamiętać?

Dlaczego pytam? Znam odpowiedź, zanim mówi:

– Gdy opuszczasz grę, to zapominasz o niej. – Odwraca twarz i spogląda gdzieś w przestrzeń. – Lecz ty nie wyszedłeś z gry, prawda, Miki? To wszystko było na nic.

Brzmi tak ponuro. Pamiętam jego krzyki w mojej głowie, jego ból i cierpienie. Dreszcz przebiega mi po kręgosłupie.

– Przedstawiasz to na wspak. – Staram się wyciągnąć rękę z jego dłoni, ale zaciska palce, nie pozwalając mi zerwać tej więzi. – To ty miałeś wyjść z gry, Jackson. Dlatego mnie do niej wprowadziłeś. Żeby się uwolnić.

Nie mogę powstrzymać cienko sączącego się jadu, który zabarwia ostatnie słowa. Teraz, gdy jest tutaj naprzeciwko mnie, bezpieczny, cały i zdrowy, wspomnienie o tym, że mnie zdradził, powraca. I sprawia ból.

W tej samej sekundzie jestem wściekła na samą siebie za to, że zafiksowałam się na tym punkcie, że tak się trzymam tego bólu. Ileż to razy doktor Andrews powtarzał, że jedyna droga do szczęścia to pozwolić odejść urazom? Przebaczyć. Iść do przodu.

– Taki był plan.

– Co poszło nie tak?

– Plany się zmieniają. – Jego twarz zwraca się ku mnie. – Dlaczego sądzisz, że coś poszło nie tak?

– Ponieważ byłeś w Detroit. Wtedy byłam już dowódcą drużyny. Powinieneś wyjść z gry.

– Poprosiłem, aby pójść na jeszcze jedną, ostatnią misję.

– Dlaczego...

Sposób, w jaki na mnie patrzy, powstrzymuje mnie od dokończenia pytania. Poprosił o pójście ze względu na mnie. Aby mnie chronić.

- Prawie umarłeś – szepczę.
- Wiedziałem, jakie podejmuję ryzyko.
- Tak jak znałeś zasady? Wiesz... te, które złamałeś?
- O którą chodzi?
- Wysysając moją siłę życia.
- Mogłem złamać zasadę albo zginąć. – Jego uśmiech jest podejrzenie skromny. – Żałujesz, Miki?
- Nie. – Drzę na myśl, że mógł tam zginąć.
- Więc dlaczego jesteś taka wkurzona?

Podpuszcza mnie. Wiem o tym. Nie dam mu tej satysfakcji. Zmuszam się, aby zachować spokój nawet wtedy, gdy mówię:

– Jestem zła na ciebie, bo wprowadziłeś mnie do gry, po czym z niej nie wyszedłeś, naraziłeś się na niebezpieczeństwo, a powinieneś być z dala od tego wszystkiego. Jestem zła, że nie powiedziałeś mi prawdy, nie ostrzegłeś przed konsekwencjami tego, co zrobiliśmy. – I tak dokonałabym tego samego wyboru, ale nie szłabym na ślepo. – Wiedziałeś, że nie powinieneś tego robić. Poinformowali cię po tym, jak...

Milknę. Nie muszę mu przypominać, jak umarła jego siostra. Ale on to robi za mnie, powtarzając fragment historii, którą już mi kiedyś opowiedział, jego ton jest twardy i zimny jak płynny azot.

– Powiedz to, Miki. Po tym, jak zabiłem swoją siostrę. Kiedy zachowałem się jak Drau i wyssałem z niej życie, zmieniając mój kom z czerwonego na żółty, a jej z żółtego na czerwony. Przehandlowałem jej życie za swoje.

To jest Jackson, którego znam: humorzasty, władczy, pewny siebie, lekko przerażający i wypełniony po brzegi nienawiścią do samego siebie. Choć nie mogę przebaczyć tego, co mi zrobił, nie mogę znieść, jak cierpi.

Co innego, gdy to ja się na niego wściekam, a co innego, gdy wścieka się sam na siebie.

– Miałeś dwanaście lat, Jackson. To była twoja pierwsza misja. Umierałeś, byłeś przerażony. Powiedziała ci, że powinieneś to zrobić, że wszystko będzie dobrze. Była twoją starszą siostrą. Wierzyłeś jej, robiłeś to, co kazała. Dlaczego tym razem miało być inaczej?

– Uważasz, że to mnie usprawiedliwia? Ja na pewno tak nie myślę. Zabiłem moją siostrę i wtedy zaciągnięto mnie przed Komitet, który ostrzegł mnie, że jeżeli jeszcze raz wykonam tę sztuczkę Drau, to gra się dla mnie skończy. Pojawia się następna okazja, znowu robię to samo i prawie zabijam ciebie.

– Nie zrobiłeś tego z własnej woli. Popchnęłam cię do tego. Zmusiłam cię. Ja...

– Ty zaproponowałaś, Miki. Pomachałaś przede mną nadzieją na ocalenie, ale to ja ją złapałem i się jej trzymałem. Nie ma tutaj twojej winy. To ja jestem

winny. Wszystkiego. A co jest najgorsze? Żywiłem się tobą jak pieprzony Drakula, choć wiedziałem, że możesz skończyć jak Lizzie.

Zrywa na wpół zgniłe jabłko z drzewa i ciska nim mocno o ziemię. Owoc rozbija się i zdobi białymi, brązowymi i czerwonymi kropkami kamienie.

– Powtarzam ci, że daleko mi do dobroci, ale ty wciąż to lekceważysz.

– Mój psychiatra powiedziałby, że jesteś trudnym przypadkiem ocalonego z poczuciem winy.

Jackson śmieje się, spogląda na mnie, kiwa głową.

– Jak ty to robisz? Sprawiasz, że się śmieję, choć czuję się gównianie? –
Milknie, po chwili mówi: – Jesteś moją osobistą dawką szczęścia.

Rozdział trzynasty

Siedzimy na gałęzi twarzami do siebie w milczeniu. Liście szeleszczą na wietrze.

– Słyszałam twoje krzyki. – Nie wiem, co oznacza spojrzenie, które rzuca mi Jackson. – Opowiedz mi, co się stało, kiedy nie odrodziłeś się ze mną i z Luką w tej pizzerii?

Wyciąga rękę, aby zatknąć luźne pasemko włosów za moim uchem.

– Po Detroit Komitet ściągnął mnie od razu na spotkanie. Powiedzieli, że dla mnie gra się skończyła. Koniec. Wypadam.

– Szczęśliwe wieści.

– Taaa... mniej więcej przez sekundę. Ale w wypadku Komitetu zawsze można liczyć na jakiś haczyk. Jak się okazało, haczyk polegał na tym, że ceną za moje odejście z gry jesteś ty.

Wysuwa rękę, gdy zamierzam wskazać, że przecież już o tym wiedział. Zawsze wiedział, że w imię swojej wolności musi poświęcić mnie. O to przecież chodziło.

– Nie mówię o tym, że miałaś zastąpić mnie w roli dowódcy. Chodzi mi o to, że musiałbym cię kompletnie zapomnieć. Nie pamiętałbym o tobie w ogóle.

– Och.

Komitet już mnie o tym poinformował, ale gorączkowy wyraz jego twarzy nadaje temu faktowi zupełnie nowe znaczenie. Przeciąga grzbietem palców po moich policzkach, szczące, ustach, jakby odczuwał nieodpartą potrzebę dotykania mnie.

– I jakby tego było mało – łagodnie kontynuuje – mieli zaaranżować kolejną przeprowadzkę mojej rodziny. Zostałabyś usunięta z mojego umysłu, a ja po prostu... zniknąłbym z twojego życia. – Wydaje z siebie mroczny chichot. – Domyślałam się, że nie chcieli, abym cię spotkał, co mogłoby wyzwolić jakieś wspomnienia...

– Uważasz, że to byłoby możliwe? Odzyskanie wspomnień, które ci zabrali? Unosi brwi i odwraca dłonie w geście: „kto to może wiedzieć?”.

– Nawet gdyby cię zabrali z mojego życia, pamiętałabym cię – mówię powoli.

Tęskniłabym za nim i nosiła żałobę po jego utracie.

Czy mój świat znowu przybrałby szary odcień, a może stałam się teraz silniejsza?

Nasze spojrzenia krzyżują się i mam wrażenie, że on zna wszystkie moje myśli.

– Powiedziałem im, że nie jestem zainteresowany taką transakcją. – Zaciska usta. – Powiedzieli, że nie mam wyboru. Konsekwencja złamania zasad. Decyzja

należy do nich, nie do mnie.

– Na pewno wszystko potoczyło się gładko. Jesteś przecież takim zadowolonym z siebie, wyluzowanym chłopakiem. – Przerrywam. – Co potem?

– Wtedy wdarli się do mojej głowy. Lekko oszalałem. Wypchnąłem ich z powrotem. Natarli silniej. Odparłem ich. Nie było miło.

– Czułam to. – Przebiegają mnie dreszcze, gdy przywołuję jego krzyki. Szeroko otwiera oczy.

– Nie wiedziałem, że tak się stanie. Nie chciałem, abyś przez to przechodziła, nawet pośrednio. – Przerzywa. – Myślałem o tobie, trzymałem się tej wizji rękami i nogami. Musieli zmusić mnie do przekazania moich myśli bezwolnie.

Myśli. Emocje. Cierpienie.

Już raz tego dokonał, gdy śnił mu się wypadek z Lizzie, ten, który sprowadził go do gry. W jakiś sposób przekazał to mnie i śniłam równoległe z nim.

Przez chwilę kusi mnie, aby opowiedzieć mu o mojej halucynacji, że widziałam Lizzie w grze, ale odrzucam tę myśl. Później. W tej chwili chodzi tylko o niego i o mnie.

– Nie pozwoliłeś, aby zabrali ci wspomnienia o mnie, ale potem w typowy dla siebie sposób postanowiłeś, że mogę poświęcić pamięć o tobie. Czy nie pomyślałeś, że chciałabym mieć coś do powiedzenia w tej sprawie?

– Nie było cię, więc nie mogliśmy przeprowadzić tej dyskusji.

Zrobił to, co uważał za najlepsze. Jest częścią tej gry, jest przywódcą już tak długo, że stało się to wewnętrzną częścią tego, kim jest.

– Chciałem, abyś wyszła z gry – kontynuuje. – Była poza nią, bezpieczna.

Tak jakby ktokolwiek był bezpieczny, dopóki istnieją Drau.

Przysuwa się tak blisko, że czuję jego usta przy moim uchu, i szepcze:

– Zrobiłbym wszystko, żebyś była bezpieczna, Miki. Wszystko. Pamiętaj o tym.

Pamiętam. Prawie zginął, przyjmując na siebie cios Drau przeznaczony dla mnie.

– Tak więc chciałeś wywalczyć moją wolność, poświęcając siebie i pozwalając im wymazać moje wspomnienia. Ta decyzja nie należała do ciebie, Jackson.

Dotykam go, odsuwam się, zaciskam i rozluźniam na przemian palce. Wreszcie kładę dłoń na jego piersi, zamykam oczy i po prostu pozwalam sobie poczuć równe bicie jego serca, ciepło jego skóry.

– Co się stało, gdy wypchnąłeś ich ze swojej głowy? – pytam.

– Komitet zastosował inną taktykę. Przemawiali głosem rozsądku. Próbowali nakłonić mnie, abym wpuścił ich do mózgu. Wyjaśnili, że jestem niebezpieczny, gdyż nie przestrzegam zasad, i może dla wszystkich będzie lepiej, jeśli wyjdę z gry.

Czy coś mogłoby mnie powstrzymać od wyssania życia z innych kolegów, gdyby mój kom przybrał kolor czerwony?

Wydecham powietrze z ostrym świstem.

– Nie zrobiłbyś tego.

– Nie zrobiłbyś? – Obnaża zęby w okrutnym uśmiechu. – A jak nazwiesz to, co zrobiłem tobie?

– Nie zmusiłeś mnie. Zaoferowałam ci. Dałam. Nie wydrenowałeś mnie. Wziąłeś tylko tyle, ile trzeba, aby przeżyć.

– Gdybym nie wziął, to twoja ofiara poszłaby na marne. A czy wziąłem tylko tyle, ile trzeba... czy to dlatego, że byłem jeszcze wystarczająco silny, aby przestać, czy dlatego, że Komitet nas wyciągnął akurat w tamtej chwili, zanim cię zabiłem? – pyta twardym głosem. – Spójrz prawdzie w oczy, Miki. Nikt w naszej drużynie nie miałby szans, gdybym zastosował wobec nich sztuczkę Drau. Tego właśnie boi się Komitet i jest usprawiedliwiony. Jestem potencjalnym zabójcą.

Wybucham śmiechem, gdy słyszę ten absurd.

– Potencjalnym zabójcą? Żartujesz? Przecież jesteś zabójcą.

W jego twarzy widzę pustkę.

– Tak – mówi i wiem, że myśli o Lizzie. Ale nie o to mi chodzi.

– Nie łapiesz, Jackson. Wszyscy jesteśmy zabójcami. Ilu Drau zabiliśmy? Skoro zabijamy Drau, kto powiedział, że nie zabijemy ciebie, gdybyś próbował wydrenować naszego kolegę? – Zanim odpowiada, wyciągam rękę. – To nie ma znaczenia. Nie zrobiłbyś tego. To nie podlega dyskusji.

– Masz tyle wiary we mnie, Miki, mimo że tyle o mnie wiesz.

– Właśnie dlatego, że tyle o tobie wiem.

– To nie jest mądre – mówi bardzo cicho, ale sposób, w jaki na mnie patrzy, pozbawia tę wypowiedź żądła.

– Prawdopodobnie nie – mówię zgodnie i naprawdę tak myślę. Nie zmienia to jednak moich uczuć do niego. Biorę głęboki wdech. – Więc... Komitet próbował przeniknąć do twojego mózgu, wyczyścić go i odesłać cię. Jednak nadal tu jesteś. W Rochester. Ciągłe w grze.

– Tak. Zaciągnąłem się ponownie.

– Ponieważ myślałeś, że pozwolą mi odejść? Po całym tym wysiłku, który włożyłeś we wciągnięcie mnie do gry, żebyś mógł być wolny?

– Tak. – Ale to pogmatwane. – Chcę, abyś była bezpieczna, Miki. Żywa i bezpieczna. I poza grą.

– Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy.

Zaczesuje palcami do tyłu swoje włosy w geście, który zupełnie nie pasuje do Jacksona, jakiego znam.

– Czy mam się cieszyć z tego, co ci zrobiłem? Że znalazłem cię i powiedziałem o tobie Komitetowi? Czy mam być zadowolony, że twoje życie

nadal jest wystawione na ryzyko? Przeze mnie. Przez to, jakich dokonałem wyborów.

– Czy mam się cieszyć z tego, że twoje życie jest wystawione na ryzyko?

Piorunuję go wzrokiem, wściekła na niego z wielu powodów. Jego reakcji na to, że tu jestem. Rzeczy, które mi powiedział. Jego złości na samego siebie, która sprawia, że zamiast go obwiniać muszę go bronić. Podejrzenia, że manipuluje moimi emocjami, przeinacza moje myśli, abym mu wybaczyła. Złości na samą siebie za to, że go podejrzewam.

Jestem totalnie popieprzona.

Nie dałabym za niego głowy. Jackson gra od pięciu lat, układa się z Komitetem, prowadzi swoją drużynę. Jest mistrzem. To, czego się tam nauczył, przeniósł do realnego życia. Widziałam, jak sobie poradził z panem Shomperem, gdy ten zarzucił mu, że nosi w klasie ciemne okulary. Widziałam, jak zasiada z dowolną grupą dzieciaków w stołówce i sprawia wrażenie, że do nich przynależy. Uważam, że Jackson nie tylko nagina rzeczywistość na swoją korzyść, on wie, jak wchodzić ludziom do głowy.

Do mojej głowy.

Choć wiem to wszystko, wiem, że nie kłamie, gdy twierdzi, że jest złym facetem, to nadal tu tkwię. Chcę tu być. Pragnę go.

Ponieważ jest tym chłopakiem, który kocha mnie na tyle, aby rzucić się pomiędzy mnie a broń Drau, potem ponownie wejść do gry, żebym mogła odejść wolna. To nie jego wina, że zrobił się bałagan i oboje jesteśmy dokładnie w tym punkcie, w którym chce nas widzieć Komitet.

– Jeżeli Komitet tak bardzo się obawia, że stwarzasz niebezpieczeństwo, to dlaczego pozwolili ci pozostać w grze?

Wzrusza ramionami.

– Pewnie bardziej mnie kochają, niż nienawidzą.

Brzmi znajomo.

– Dlaczego ponownie się zaciągnąłeś, jeśli jedyne, czego chciałeś, to wynieść się? Dlaczego to zrobiłeś?

Przesuwa się w moim kierunku na gałęzi do momentu, gdy nie może być już bliżej, chyba że usiądę mu na kolanach.

– Wiesz dlaczego, Miki.

Wiem. Dla mnie. Nasze spojrzenia spotykają się i nieruchomieją.

– Powiedz to – szepczę.

Usta wyginają mu się w uśmiechu, lekko nerwowym i mrocznie filuternym.

– Dosyć o mnie. Pomówmy o tobie. Zapłaciłem cenę. Powinnaś być wolna. Ale nie jesteś. Chcę wiedzieć dlaczego.

Mrużę oczy, żeby wiedział, że jestem świadoma jego wykrętu.

– Też ze mną pograli. Chyba można powiedzieć, że podobnie jak ty

ponownie się zaciągnęłam. – A ponieważ zrobiłam to na własną prośbę, ich umowa z Jacksonem jest nieważna. – Oboje nadal tkwimy w grze.

– Widać szlachetność nie popłaca – mówi Jackson. Tym razem jego uśmiech to szybki pokaz białych zębów. – Chciałaś, abym to powiedział, więc mówię. Zrobiłem to dla ciebie, Miki.

Biorę gwałtowny wdech.

Gładzi opuszkami kciuka przegub mojej ręki. Pamiętam, gdy mnie tam pocałował, jego ciepłe usta na skórze.

– Poświęciłem się, aby ciebie ocalić. Ty poświęciłaś się dla mnie...

– I oboje jesteśmy po uszy w gównie.

Śmieje się, tym razem prawdziwym śmiechem. Domyślam się, że jedyną inną opcją jest płacz, ale Jackson nie jest płaczkiem.

Głęboko oddycham.

– To co teraz zrobimy?

– Pokierujemy tym koszmarem.

– Nie sądzę, abym była w tym dobra.

– Nadal żyjesz, nie?

Żyję, choć prawie znowu umarłam w czasie ostatniej misji. Biorąc pod uwagę wyraz twarzy Jacksona, nie zamierzam mu wspominać o tym drobnym fakcie.

Spoglądam w dół i pocieram palcami tam i z powrotem szorstką korę drzewa.

– Czuję się jak idiotka. Dałam im się wciągnąć w pułapkę.

– Dlaczego sądzisz, że mieliśmy jakiś wybór?

Podrzucam głowę i obserwuję go. Uśmiecha się w mroczny, ironiczny sposób, który rzeźbi mu ten seksowny dołek w policzku. Łapię oddech. Zwilżam moje nagle zbyt suche wargi. Jego wzrok podąża za ruchami mojego języka, powoli podnosi się i napotyka mój. Czuję narastające wewnątrz ciepło.

– Czyż nie jesteśmy parą naiwniaków? – szepczę.

Pochylam się do przodu. Jackson spotyka mnie w połowie drogi, nasze czoła opierają się o siebie, oddechy łapią wspólny rytm.

Zamykam oczy, drzę, gdy czubek jego nosa podąża śladem, który przed chwilą zostawiły jego palce na moim policzku, szczące. Rozchylam wargi w westchnięciu, gdy odsuwa się, ogarniają mnie tęsknota i oczekiwanie, jakby moje nerwy stanęły w ogniu.

– Zawsze będą o krok do przodu. – Unosi brwi. – Uważam, że to dobrze, bo może będą też o krok przed Drau. – Jego dłonie obejmują moje policzki. – Zdecydowanie nie narzekam, że mogę cię obejmować – kąsa delikatnie moją dolną wargę – całować cię – przesuwa moją rękę na swoją talię, rozkładam palce na cieplej skórze jego krzyża – dotykać cię.

– Nadal jakaś część mnie jest na ciebie zła, Jackson.

Przesuwa się jeszcze bliżej, jego uda wciskają się pod moje kolana, jedno ramię otacza moją talię.

– Taki mam wpływ na ludzi.

– Mówię poważnie. Jak mam ci ufać? Skąd wiem, że znowu mnie nie okłamiesz? Nie oszukasz?

– Już nigdy cię nie okłamię.

– Nawet nie starałeś się – patrzę na niego – żeby zabrzmiało to przekonująco.

– Spróbuję już nigdy cię nie okłamać.

Tak, teraz mówi prawdę.

– To zaledwie początek, to za mało.

– Popracujemy nad tym.

Nie lekceważy mnie. Nie opęda się od moich słów. Nie zachowuje się tak, jakbym nie miała powodu, aby być na niego zła. Popracujemy nad tym.

Teraz moja kolej, żeby skinać głową, mimo że nie jestem w pełni zadowolona.

Jego palce przesuwają się wzdłuż mojego dekoltu w kształcie litery V, tuż poniżej obojczyka, pod ramiączkiem stanika, do orła wytatuowanego nad moim sercem.

– Czy już ci mówiłem, że podoba mi się twój tatuaż?

Ledwie mogę myśleć, gdy mnie tak dotyka. Potrząsam głową.

– Podoba mi się to, co oznacza – mówi. – Odwagę.

O to dokładnie w tym chodzi. Dlatego go zrobiłam. Aby przedstawiał odwagę mamy, gdy walczyła z okropną chorobą, i moją, gdy próbuję wykombinować, jak żyć i jak wybaczyć jej to, że umarła.

– Nie mówiąc już o tym, jak bardzo mi się podoba jego umiejscowienie. – Powoli przesuwając palcami w górę i w dół, tuż poniżej mojego obojczyka. – Nie miałbym nic przeciwko temu, aby przyjrzeć mu się z bliska, gdy nic nie przesłania tej sztuki.

– Chodzi ci o to, że bez ciuchów?

Podnosi brew. Jego ciepłe palce na mojej skórze. Kusi mnie, ale klepię go w rękę.

– Nie w najbliższej przyszłości. – Śmieję się nisko i chrapliwie.

– Bez pośpiechu, Miki. Poczekam.

Jego ręka zsuwa się na bezpieczniejsze obszary mojej talii. Unoszę do niego moją twarz, moje usta do jego ust. Bierze, co daję, jego usta na moich, jego język drażni, wyslizguje się. Mam zaciśnięte powieki. Unoszę się na fali wrażeń, w gorącym płynnym ogniu, który rozpala się w moich żyłach.

Przesuwa się jeszcze bliżej. Gałąź trzeszczy. Liście opadają.

Jego palce wsuwają się pod rąbek mojej koszulki, rozpościerają płasko na gołej skórze tuż nad paskiem dżinsów. Świat wiruje, płomień ogarnia jamę brzuszną, oddech ucieka.

Gałąź znowu trzeszczy.

Jackson odsuwa się na tyle, że czubki naszych nosów nadal się dotykają.

– Zaraz się załamie – mówi.

Potem odchyła się i podskakuje w górę i w dół. Zaciskam mocniej obie ręce wokół gałęzi i wydaję z siebie dźwięk pomiędzy piskiem a krzykiem. Szczerzy do mnie zęby i płynnie przenosi się na następną gałąź. Chłodne powietrze dotyka mojej skóry. Już za nim tęsknię.

– Jackson i Miki siedzą na drzewie – wyśpiewuje. – CA-ŁU-JĄ SIĘ!

Wybucham śmiechem. Nigdy nie mówi i nie robi tego, czego oczekuję. Może na tym polega po części jego urok.

Wiatr znowu szeleści liśćmi, tym razem silniej. Drzę mimo kurtki. A Jackson ma na sobie jedynie flanelowe spodnie od piżamy.

– Pewnie marzniesz.

– Gorąca krew. A ty jeszcze podnosisz jej temperaturę.

– O Boże – jęczę i przewracam oczami.

Lustruje się z góry do dołu i wzdycha.

– Muszę się ubrać.

– Naprawdę?

– Czekaj na mnie – rzucił i skierował się do otwartego okna.

Zawsze.

Rozdział czternasty

Za piętnaście osiemnasta dzwonię do taty z informacją, że nie będę na kolacji. Minutę później pochylam się nad skrzynią zmiany biegów, która nas rozdziela, i całuję Jacksona, uważając, aby nie rozgnieść białego kartonowego pudełka z ciasteczkami, spoczywającego na moich kolanach. Jego palce przeczesują mi włosy, całuje mnie dłużej i głębiej, niż oczekiwałam. Nie narzekam.

– Smakujesz jak wanilia – mówię.

– Chcesz wypróbować inny smak?

Tak. Ale wtedy nigdy nie uda mi się wyjść z jeepa, bo każdy pocałunek pociąga za sobą następny...

Przesuwa kciukiem po mojej dolnej wardze, ciemne okulary skrywają jego oczy. Wiem jednak, że patrzy na moje usta, i przyprawia mnie tym o dreszcze.

– Nie. Zachowuj się. – Podnoszę pudełko. – Dziękuję, że podwiozłeś mnie po te ciastka.

– Cieszę się, że mogłem ci pomóc.

Pcham drzwi, aby je otworzyć. Kołyszą się tam i z powrotem. Wystarczy, że chwycę plecak i wyskoczę. Ale kusi mnie, aby zostać dokładnie tu, gdzie jestem, cieszyć się dalej tymi godzinami, które spędziliśmy razem. Było tak... normalnie.

Żadnych Drau. Żadnych bitew. Żadnej gry. Tylko Jackson i ja na przejażdżce, słuchanie muzyki, rozmowy. Śmiech. Kupowanie ciastek. Po prostu chłopak i dziewczyna na randce. Prawdziwej. Naszej pierwszej.

– Dobrze się baw u Luki.

Sięgam na tylne siedzenie po plecak, ale pudełko na moich kolanach przesuwam się.

– Jesteś pewna, że nie skuszę cię na pójście ze mną? Postrzelanie do zombie?

Kusi mnie – aby być z nim, nie strzelać do zombie – ale mam co innego do roboty dzisiaj wieczorem. Ponadto nie mam zamiaru stać się jedną z tych dziewczyn, których imię łączy się nierozdzielnie z imieniem jej chłopaka. Jeżeli w ogóle mogę nazwać Jacksona swoim chłopakiem. Choć sądzę, że nim jest. Czymś w tym rodzaju. Albo nie jest. Czy on uważa się za mojego chłopaka?

Czy mogę być jeszcze bardziej niedorzeczna?

Potrząsam głową.

– Nie idę z tobą, z wielu powodów.

Owija pasemko moich włosów wokół swojego palca, uwalnia je, a potem znowu owija.

– Tak? Podaj mi jeden.

– Jeśli z tobą pójdę, to mogę przyłgnąć do ciebie na zawsze. Jeśli z tobą pójdę, to narażam się na ryzyko stania się twoim cieniem, będę robić to, co ty, tylko dlatego że to robisz. Jeśli z tobą pójdę, mogę zaniechać działania, pławić się

w twojej sławie, pozwolić ci robić plany i podejmować decyzje, wybierać, dokąd pójdziemy i z kim się spotkamy. Muszę być sobą. Miki Jones. Nie tylko dziewczyną Jacksona Tate'a.

– O rany. Nie jestem pewien, jak mam to rozumieć.

Zdaję sobie sprawę, że jestem przykra, więc dodaję:

– Nie wierzę, że chciałbyś ze mnie zrobić taką dziewczynę, ale ponieważ jesteś taki – rozkładałam ręce – jaki jesteś... Powinnam być nawet silniejsza. Muszę prowadzić własne życie.

Unosi okulary i patrzy na mnie.

O mój Boże, czy naprawdę powiedziałam głośno te wszystkie rzeczy? Nie powinien ich usłyszeć. Były przeznaczone dla mnie. Poza tym to nie było sprawiedliwe, mimo że jest autokratyczny, nigdy nie odniosłam wrażenia, że chciałby, abym była inną dziewczyną, niż jestem.

Milczy przez długą chwilę i wydaje mi się, że poważnie go obraziłam. Potem szczerzy zęby i pyta:

– Więc... chodzi ci o to, aby ludzie nazywali nas Mikison zamiast Jamiki?

Kryję twarz w dłoniach.

– Nie mogę uwierzyć, że to wszystko powiedziałam. Czuję taki wstyd.

– Niepotrzebnie. Wiem, kim i czym jestem, Miki.

– Apodyktyczny?

– Delikatnie mówiąc? Tak. Poza tym chcę wiedzieć, co myślisz. – Słyszę rozbawienie w jego głosie. – Nawet jeśli jest to dość dziwaczne. – Odrywa jedną z rąk od mojej twarzy i przysuwa głowę, aby popatrzeć mi w oczy. – Nadal zakłopotana? Dobra, udajmy, że właśnie zadałem to pytanie, a ty nie zdążyłaś jeszcze odpowiedzieć. Podaj mi odpowiedź, z którą czujesz się swobodnie.

– Dobrze. – Waham się, ale podejmuję grę. – Nie pójdę z tobą do Luki, bo nie rozumiem, jak możesz tam iść i spędzić cały wieczór, strzelając, skoro już tyle się nastrzelaliśmy.

– Zombie to nie obcy. – Gdy nie odpowiadam, mówi: – Może lubię FPS ze względu na to, że tyle tego mamy w tamtej grze. Granie w prawdziwym życiu ujmuje sensu grze w naszym innym życiu.

Zdumiewające, ale rozumiem, o co mu chodzi. Nie jestem natomiast pewna, czy podzielałam te uczucia. Nie chcę umniejszać sensu gry. Tu chodzi o życie lub śmierć. Nie powinnam o tym zapominać nawet na minutę.

Pochyliła się, aby dostać jeszcze jeden pocałunek, jego usta spoczywają na moich, język drażni kąciaki moich warg.

– Przestań – mówię ze śmiechem. – Wysiadam. Teraz. – Trącam drzwi stopą, aby je szerzej otworzyć.

– Jeszcze jedno – mówi, biorąc pudełko z moich kolan. – Musimy przedyskutować kostiumy.

– Kostiumy?

– Na tańce halloweenowe.

Moje serce wykonuje swój własny taniec. Czy on mnie zaprasza na bal? Czy po prostu o niego pyta? Zaskoczona jąkam się:

– Carla, Kelley i Dee przebierają się za przyprawy kulinarne. – Jego brwi unoszą się do góry.

– Nie chcę tego słuchać. – Przerzywa. – Jeśli nie wyraziłem się jasno, to powtarzam, że idziemy razem.

– My to znaczy ty z Carłą, Kelley i Dee?

– Bardzo zabawne. – Urywa. – Ty i ja.

– Czy w ten sposób zapraszasz mnie na randkę? – pytam bez tchu.

– Nie zapraszam.

Typowy Jackson.

– Musisz mieć ostatnie słowo?

Obdarza mnie tym mrocznym, seksownym uśmiechem, który rzeźbi dołek w jego policzku i drzwi do mojej duszy.

– Ostatnie słowo.

Roztapiam się wewnątrz, ale staram się tego nie okazać.

– Nie tym razem. Musisz mnie poprosić. A tym uśmiechem nie zdobędziesz dodatkowych punktów.

Wślizguje palec pod przyklejony taśmą brzeg pudełka, które trzyma w ręku.

– Co ty wyprawiasz? – Rzucam się na nie, ale odsuwa je poza mój zasięg. Wślizguje palec pod taśmę po drugiej stronie pudełka. – One nie są dla ciebie, Jackson.

– Uwielbiam, gdy jesteś taka władcza. To moi zakładnicy. Odpowiedz albo zjem wszystkie.

Rzucam plecak na ziemię przez otwarte drzwi i przeczołguję przez siedzenie, w efekcie półleżę na piersi Jacksona, gdy sięgam po pudełko.

– Chodź ze mną na tańce – szepcze, pocierając nosem moją szyję.

– Dobra. Teraz oddaj pudełko.

– „Dobra”? W taki sposób mi odpowiadasz?

Zamykam oczy, gdy obrysowuje nosem moją szczękę i wdycha powietrze z zapachem mojej skóry.

– Bardzo chcę pójść z tobą na halloweenowe tańce. Lepiej?

– O wiele.

Otwieram oczy.

– Dobrze. Teraz oddaj pudełko.

– Skoro nie mogę ich posmakować, posmakuję ciebie.

Delikanie zanurza zęby w miejscu, gdzie moja szyja łączy się z barkiem. Trącam go łokciem w żołądek. I trafiam na twarde jak kamień mięsień.

– Naprężyłeś się – mówię oskarżycielsko.
– Muszę się chronić. Jesteś siłą, z którą trzeba się liczyć. – Całuje mnie po raz ostatni i mówi: – Idź, zanim nie będę mógł się powstrzymać od zatrzymania cię.

Ostatnie słowo. Typowy Jackson.

Woła mnie przez okno, gdy odchodzę.

– Hej! Miki...

Zatrzymuję się i odwracam.

– Nigdy nie będziesz taką dziewczyną. A ja nigdy nie będę próbować cię w nią zmienić.

Przyciska dwa palce do ust i wysyła mi pocałunek. Następnie wrzuca bieg i odjeżdża jeepem.

Stoję tam i patrzę, dopóki tylne światła nie znikną, potem ruszam i dzwonię do drzwi, na ramionach mam wypełniony pracami domowymi plecak, a w ręku białe kartonowe pudełko wysunięte przed siebie jak ofiara. Dwa zaokrąglone kawałki tektury na bokach unoszą się i opadają, ponieważ Jackson przeciął taśmę i tak je pozostawił. Słyszę krzyk zza drzwi:

– Ja otworzę! – Później rozbrzmiewa odgłos otwieranego zamka.

Drzwi się otwierają i widzę Carłę, jej włosy zebrane w koński ogon, prawie na czubku głowy, tonącą w spodniach od dresu swojego brata, luźnych i wygodnych. Przez chwilę jej twarz – zupełnie niekontrolowana – wyraża niepojętą radość na mój widok. Odpowiadam jej szerokim uśmiechem i ulegam wrażeniu, że jesteśmy tylko my, Carla i Miki, tak jak zawsze.

Potem balon pęka. Zawsze było tak, że mogłam przyjść do Carli, kiedy chciałam, i czułam się oczekiwana, mimo że wizyta była niezapowiedziana. Teraz, gdy Kelley i Sara stają za nią, czuję się jak osoba postronna. Jest jeszcze gorzej, gdy korytarzem nadchodzi Dee. Ona nie ma z nimi zajęć z hiszpańskiego, więc po prostu dotrzymuje im towarzystwa, a nie pracuje przy projekcie. Biorę głęboki oddech. Mogę to naprawić, przestając zachowywać się, jakbym była niezwiązana i daleka.

– Cześć – mówię.

– Cześć – odpowiada Carla. Jej spojrzenie pada na pudełko i na charakterystyczne logo Sugar Hill. – Żartujesz... – Głęboko wdycha powietrze. – Żartujesz.

– Nie żartuję. – Podsuwam pudełko w jej kierunku, zapach ciastek unosi się w powietrzu. – Wpuścisz mnie? To jedyny sposób, aby te ciastka przekroczyły ten próg.

– Łapówka?

– Dokładnie.

– Zależy, jakie to smaki – mówi Carla z szerokim uśmiechem i mruga.

– O smaku S'mores², kremu bananowego, eklerków waniliowych, chrupiącego Roc City, sernika cytrynowego i jeszcze czekoladowo-malinowe. Po dwa z każdego.

– Dwanaście ciastek? – Kelley jęczy. Składa razem dłonie i podnosi palce do ust.

– Po trzy na każdą – mówi Dee. – Dwanaście podzielić przez cztery daje trzy. Naturalnie, jest nas pięć, ale nie liczę Miki.

Wszystkie na nią patrzymy. Spoglądamy.

– Strzeliła gafę? – pyta Sara.

Dee mruży oczy, gdy na nią patrzy.

– Chodzi mi o to, że Miki nigdy nie je ciastek, więc jej nie liczę.

Ma rację. Nigdy do nich nie dołączam, gdy objadają się łakociami. Jedyny wyjątek, który robię, to co sobotnia pojedyncza Pop-Tarta. Kontroluję każdy kęs, który biorę do ust, upewniając się, że jest zdrowy, spuścizna po chorobie mamy. Próbowala każdej oferowanej przez lekarzy kuracji i tych, które sama znalazła. Wśród nich było zdrowe jedzenie, aby zwiększyć poziom antyoksydantów, bioflawonoidów i innych takich.

Przywykłam do zdrowego jedzenia. Co wcale nie jest takie złe. Ale to, co przed chwilą powiedziała Dee o niejedzeniu przeze mnie ciastek, jest nieprzyjemne, nie dlatego że to powiedziała, ale dlatego że tak mnie postrzega. Tak jak wszystkie mnie postrzegają. I być może, jak powinnam sama siebie postrzegać. Jestem tak sztywna, że potrafię warknąć na przyjaciół, którzy oferują mi ciastko. A to na pewno nie jest miłe.

Zastanawiam się, czy moje intensywne starania, aby zachować kontrolę, nie prowadzą do tego, że czuję się tak, jakbym tę kontrolę traciła.

Dzisiaj wieczorem zamierzam więc zjeść ciastko i śmiać się z moimi przyjaciółkami, i pozwolić, aby ten wieczór był tym, czym będzie. Dzisiaj popuszczam cugle na tyle, aby po prostu być.

Wciągam głęboko powietrze i jestem gotowa na ryzyko.

– Rzeczywiście – mówię – jest nas piątka. Planuję spałaszować jedno z tych maluszków. – Wszystkie na mnie patrzą. – Tylko jedno. Możecie podzielić się pozostałymi dziewięcioma.

Carla wychodzi na zewnątrz i obejmuje mnie. Zna mnie lepiej niż ktokolwiek. Wie, ile mnie to kosztuje.

– Czekaj... dziewięć? Jak to możliwe, że tuzin minus jeden równa się dziewięć? – pyta Sara.

– Hm, w pudełku jest tylko dziesięć sztuk. Kupiłam tuzin, ale Jackson zjadł jedno bananowe i jedno waniliowe... zapłata za podwiezienie mnie, aby je zdobyć.

– Och. Mój. Boże. – Dee otwiera szeroko oczy i składa dłonie razem. – Jackson cię zawiózł? To znaczy, że byłaś z Jacksonem Tate'em? Wy dwoje? Sami?

Na randce? Z Jacksonem? – Wybiega przez drzwi, mija mnie, obraca się, ale widzi jedynie pustą ulicę i wygląda na rozczarowaną. – Powinnaś go zaprosić do środka.

– Nie, nie powinna – mówi Kelley. – Bo nie mogłaby przy nim nic nam powiedzieć. – Carla bierze pudełko. Kelley łapie mnie za ramię. – Mów. Teraz.

I tak zwyczajnie staje się jedną z nich. A może zawsze nią byłam.

– Czy mogę najpierw wejść do środka?

– Zawsze – mówi Carla, jej uśmiech jest tak jasny, że chyba pożyczę okulary od Jacksona. Jej oczy spotykają moje. – Cieszę się, że przyniosłaś ciastka, ale nigdy, przenigdy nie musisz tu przychodzić z łapówką, aby wejść do środka.

Rozdział piętnasty

Przez kolejne dwa tygodnie panuje względny spokój. Spotykam się z Jacksonem. Spotykam się z Carlą. Czasem większa grupa spotyka się po szkole i idziemy pod stary olbrzymi dąb na końcu stadionu, ale zwykle jestem tam z Carlą, Kelley i Dee, aby podsumować kolejny dzień po szkole.

Pomimo słońca i jasnego, błękitnego nieba powietrze jest chłodne. Zapinam bluzę z kapturem, potem kurtkę, ale nadal odczuwam zimno. Dygocę i rozglądam się wokół, czekam na Kelley i Dee, próbuję przekonać siebie, że ta gęsia skórka to rezultat chłodu, a nie przeczucia, że... coś się czai.

Co jest głupie, bo wiadomo, że coś tam jest: Drau.

Jednak to wrażenie jest bardziej bezpośrednie, bardziej osobiste.

Odsuwam tę myśl na bok i patrzę, jak Kelley wyciąga kocyk w kratkę ze swojego plecaka, rozkłada go i rozpościera na ziemi. Widzi, że ją obserwuję, i mówi:

– Ziemia jest zbyt zimna. Boli mnie od tego tyłek.

Carla zwała się i wygodnie rozsiada.

– Gdybyś przybrała kilogram, nie miałabyś problemu – droczy się. – Albo zacznij biegać jak Miki. Ona ma poduszkę z mięśni.

Sięga, aby klepnąć mnie po tyłku. Odskakuję w ostatniej chwili.

– Zazdrosna?

– Szaleńczo. Mogłabym odbić dwudziestopięciocentówkę od twojej pupy. – Uśmiecha się przebiegle. – Lub Jackson by mógł.

– Więc zacznij ze mną biegać.

– Aż tak zazdrosna nie jestem. – Porusza brwiami jak Carla. – Cenię sobie dodatkowe godziny w łóżku. – Jej wzrok mija mnie i zatrzymuje się przy jednym ze stołów piknikowych obok bocznego wejścia do szkoły, gdzie ulokowała się grupa dziewcząt. – Królowa Matka i jej trutnie. – Pokazuje. – Znowu.

Królowa Matka to Marcy Kern ze swoją damą dworu, Kathy Wynn, u boku.

– Dziwne – mówi Dee. – Zastanawiam się, dlaczego spotykają się po szkole. Wydaje się, że ostatnio są tu zawsze, gdy my tu jesteśmy.

– Dziwne – zgadza się Carla, po czym patrzy na bieżnię, gdzie Jackson, Luka i Aaron wykonują okrążenia. – Może podoba im się widok.

Dee śmieje się. Obserwuję grupkę Marcy nieco dłużej, starając się otrząsnąć z wrażenia, że to nie na chłopaków patrzą, tylko na nas.

– Słyszałaś o Aaronie i Shareese? – pyta Kelley. – Zerwali.

– Co? – Poświęcam tym wieściom całą uwagę.

– O Boże. – Oczy Dee się rozszerzają. – Byli razem od zawsze. Nie powinni zrywać. Są jakby idealną parą.

– Czyżby? – dziwi się Kelley. – Byli razem, ile, dwa lata? A rodzice Aarona

nadal nie mają pojęcia, że chodzili ze sobą. Spotykał się z nią za ich plecami, bo wiedział, że nie poprą tego związku. Podobno poszedł na randkę z jakąś dziewczyną, która jest córką przyjaciela jego ojca, aby ich udobruchać.

– Poważnie? – rzuca z oburzeniem Dee. – To okropne. Biedna Shareese.

– Jasne, nie? – Kelley potrząsa głową. – Idealne pary powinny również być idealnymi przyjaciółmi, a idealni przyjaciele nie okłamują się i nie mają przed sobą tajemnic.

– Nie mają w doskonałym świecie.

Carla spogląda na mnie, lecz nie potrafię jej odczytać. Wina ciężko osiada na moich barkach. Nadal okłamuję ją co do gry, a co najmniej omijam ten temat. Potem zaskakuje mnie, gdy kontynuuje:

– Ale czasem ludzie nie mogą dzielić się wszystkim. Po prostu... nie mogą.

Nawet jeśli poczucie winy nie opuszcza mnie całkowicie, to kurczy się do przyzwoitego rozmiaru.

Mam różowe buty z zielonymi sznurowadłami. Nie są to moje buty treningowe, nigdy takich nie posiadałam, lecz i tak wiem, że są moje. Tak jak zdaję sobie sprawę, że trzeba je zawiązać w jeden konkretny sposób, zanim postawi się krok. Patrzę na buty i przechylam głowę. Połączenie różowego z zielonym każe mi podejrzewać, że śnię jeden z tych snów, kiedy masz świadomość, że to sen, ale nie chcesz się obudzić, tylko poddać jego nurtowi i zobaczyć, dokąd prowadzi.

Zawijam sznurowadła, potem odwiązuję, próbuję jeszcze raz i jeszcze, i znowu, dopóki kokardki nie są wreszcie idealne, węzeł dokładnie na środku i mam poczucie komfortu. To ważne, że wszystko jest dokładnie takie, jak być powinno, pod linijkę i doskonałe, i... jak być powinno.

Prostuję się i odbijam na piętach. Ziemia wydaje się gąbczasta, jakbym stała na pianie pamięci. Z każdym odbiciem zapadam się coraz głębiej, aż wreszcie nie dostrzegam już swoich stóp. Tonę, ziemia mnie pochłania, zamyka się nade mną. Zmieniam pozycję, miotam się, pewna, że jeśli tylko wykonam odpowiedni ruch, to się uwolnię.

Tylko pogorszam sprawę. Tracę kostki nóg, golenie, kolana, znikają kolejne moje części. Jak długo potrwa, zanim nic ze mnie nie zostanie?

Mój dziadek pochyla się i bierze mnie za rękę. To kolejny dowód, że śnię, bo Sofu nie żyje. Odszedł. Nie może go tutaj być.

– Tęsknisz za nimi – bardziej oznajmiam, niż pytam.

Dotykam poźółkłej fotografii rodziców dziadka w prostej drewnianej ramce. Moje palce są malutkie, ręce pulchne, głos dziecinny. Sofu uśmiecha się do mnie, jego włosy są raczej czarne niż siwe, twarz mniej pomarszczona, niż zapamiętałam.

– Tęsknię za nimi, ale ich duch jest zawsze blisko mnie. Chronią mnie. – Dotyka końca mojego nosa. – I ciebie.

Jego ręka staje się zimna w mojej dłoni. Rysy bledną i zaczynają zanikać.

– Sofu!

– Jestem tutaj, Miki. Dokładnie tutaj. Zawsze tu jestem.

Lodowate palce dotykają mojej skóry. Szare. Szare. Szare. Ponownie czuję w swojej ręce dłoń Sofu, ciepłą, przyjazną, bliską, jakby nigdy nie odszedł.

– Cześć – mówi Jackson.

Podnoszę wzrok i widzę go na skraju mojego podjazdu, odzianego w czarne okulary i czarny strój do biegania, który opina długie linie jego mięśni. Nie wiem dlaczego, ale odchyłam głowę do tyłu i zaczynam wirować, śmiejąc się bez końca, aż padam na ziemię.

Ale nie leżę na ziemi. Biegnę, powietrze jest jasne i zimne, niebo błękitne i czyste, a obok mnie biegnie Jackson. Obraca głowę. Uśmiecha się. Nie tylko swoimi ustami, pięknymi ustami, ale również oczami. Oczami koloru rtęci.

Zmieniają się, stają się ciemniejsze, bardziej wyraziste, jak trawa i liście, i szmaragdowe kolczyki mamy.

To nie są oczy Jacksona.

To zieleń Lizzie, zawsze tak było.

– Biegnij – mówi. – Szybciej. Dobiegiesz tam. Znajdziesz to. Szybciej, Miki. No już.

To nie jest głos Jacksona. I to nie Jackson biegnie obok mnie. To dziewczyna, jej miodowobrazowe włosy luźno falują za nią.

– Co ty tu robisz? – pytam.

– Biegnę.

Odpowiedź typowa dla Jacksona. Przewracam oczami.

Nie, nie do niego. Do niej. Rozpoznaję jej twarz i uśmiech, są takie jak na zdjęciu.

– Próbuję pomóc – mówi Lizzie i wygląda na smutną.

– Wiem. – Czuję to wewnątrz. Chce mi coś przekazać. – Czy ty nie żyjesz? – Przełykam ślinę. – Czy z tobą jest moja mama? Zostawiła mnie.

– Nie zostawiła. Nigdy cię nie zostawi.

Potrząsam głową.

– Czy możesz ją znaleźć? Powiedzieć jej, żeby wróciła do domu?

– Nie jesteśmy w tym samym miejscu.

– Co to znaczy?

Nie odpowiada. Jestem sama, biegnę i biegnę, moje nogi pompują, ale biegnę donikąd. Gdybym tylko mogła biec szybciej, mocniej, dotarłabym tam. Zobaczyłabym to, co muszę zobaczyć. Znaleźć to. Naprawić.

Biegnę, dopóki nie uderzam w ścianę, osiągam punkt wyczerpania, punkt, kiedy nie mogę już zrobić ani jednego kroku więcej.

Przebijam ją.

– Możesz na mnie liczyć, Miki – mówi Jackson. – Jestem tu po to, aby ci pomóc zrozumieć rzeczy. – Jackson, który nie jest Jacksonem. Jackson, który jest Lizzie. – To ważne. Musisz to zrozumieć. Oni obserwują. Musisz się spieszyć.

Marcy odrzuca włosy i śmieje się, jej buzia staje się coraz większa i większa, dźwięk wzmaga się, aż jest jedynym, który mogę usłyszeć. Obok niej Kathy kurczy się, aż osiąga wielkość napastrka. To zabawne, lecz to właśnie Kathy, tycią Kathy obserwuję, mimo że Marcy pęcznieje i zasłania moje pole widzenia.

– Nie pojmujesz tego! – mówi Lizzie, patrząc na mnie, oczekując, że to pojmę.

Bięgnę szybciej, mocniej. Muszę dobiec do końca. Nie bięgnę dla samego biegania. Bięgnę do mety. I jest to do mnie tak niepodobne, że z wrażenia przystaję. Po prostu stoję bez ruchu.

– Nie ufaj im. Są jak trucizna. Czy rozumiesz to?

Świat przechyla się i krzywi. Czas spowalnia. Słyszę, jak krew napływa mi do uszu, wszystko się przeciąga i tysiąc lat mija, zanim raz uderza mi serce.

Odradzam się w miejscu, które jaskrawo oślepia, jest tak białe, że mam łzy w oczach. Te wrażenia są już inne. Realne. Jakby nie były częścią snu. Mrugam. Ponownie mrugam. Nie ma podłogi, ścian, jedynie pusty ciemny kwadrat na wprost mnie. Nie chcę przez niego przechodzić, choć wiem, że powinnam. Nie chcę wiedzieć, co jest po drugiej stronie. Boję się. To coś okropnego. Coś, czego bym nie zniosła.

Przechodzę, serce mi bębni, i oto jest Lizzie, spogląda na mnie oczami Drau. Lekko się śmieje z ulgą.

– Jesteś tutaj.

– To znaczy, gdzie?

Trzyma coś metalicznego i gładkiego. Płynnego. Galaretowatego. Zaciska usta. Jej oczy skupiają się na jakimś punkcie powyżej mojego ramienia, podnosi rękę i strzela, posyłając tysiące jasnych punkcików cierpienia w moim kierunku, które parzą moje lewe ramię, gdy pędzą do celu.

Podrywam się rozbudzona, zdezorientowana, przestraszona, serce obija się o żebra jak ptak uwięziony w klatce. Jest ciemno. Jest mi zimno. Trzęsę się. Sięgam po kołdrę.

Słyszę pukanie do drzwi.

– Miki?

Spoglądam na zegar na stoliku nocnym. Właśnie minęła północ.

– Wszystko w porządku?

Tata otwiera drzwi, z korytarza wlewa się światło, które sprawia, że wydaje się ciemną sylwetką w ciemnej ramie, otoczoną przez miękki, żółty blask.

– Koszmar – wychrypuję.

Marszczy brwi i wchodzi do pokoju.

– Czy ten co zawsze?

Zawsze zdarza się ten, w którym jestem pogrzebana, grudy ziemi spadają na wieko mojej trumny. Potrząsam głową.

– Wypadek samochodowy? – Robi kolejny krok.

Chodzi o sen z Lizzie, który śniłam wspólnie z Jacksonem, i o noc, gdy Jackson pierwszy raz został wyciągnięty do gry. Ponownie potrząsam głową.

– Żaden z nich. Po prostu jeden z tych zwyczajnych koszmarów – kłamię.

To na pewno nie był zwyczajny koszmar. A ostatnia jego część, gdy zmaterializowałam się w białym pokoju, była bardzo realna. Tata wycofuje się do korytarza i zamyka drzwi.

– Czekaj...

Wsuwa na powrót głowę.

– Tylko... hmm... zostaw drzwi otwarte, dobrze?

Skinął głową. Jestem wdzięczna, że tego nie komentuje.

Gdy słyszę, że zamyka drzwi do swojego pokoju, luzuję dekolt piżamy, obnażam lewą ramię i gojące się już poparzenia, które znaczą moją skórę.

Rozdział szesnasty

Pokonuję Jacksona w wypracowaniu na temat *Władcy much* dla pana Shompera, dostaję piątkę, on piątkę minus. Nie traci spokoju, ale obiecuje, że następnym razem mnie pobije.

– Naprawdę? Pracowałam nad moim przez wiele tygodni, przygotowałam argumenty, planowałam każdy akapit – mówię. – Ty walnąłeś swoje w noc przed terminem oddania.

– Coś ci się nie podoba? – pyta, krzyżuje ręce na klatce, barkiem opiera się o ramę drzwi klasy do angielskiego, jego czarne okulary przeciwsłoneczne marki Oakleys skrywają oczy.

– Nie. Dostałam przecież lepszy stopień. – Przechodzę dumnie obok niego, lecz moje wielkie wyjście zakłóca cichy gwizd i szept, gdy podchodzi do mnie:

– Uwielbiam obserwować, jak odchodzisz.

– Ja? Czy któraś część mojej anatomii?

– Anatomii – odpowiada, a gdy strzelam w niego spojrzeniem, ciągnie: – Ej, chodzi mi tylko o naukę.

Wkłada swoje palce do mojej tylnej kieszeni, łapie mnie za rękę i prowadzi moje palce do swojej tylnej kieszeni, i tak idziemy korytarzem, doceniając wzajemnie swoje... anatomie.

Jeszcze mu nie opowiedziałam o koszmarze i już wyleczonych oparzeniach, z którymi się obudziłam. Chyba uważam, że to zbyt dziwne, szalone lub osobliwe. Pewnie nie chcę ujawniać mu, że śnię o jego martwej siostrze. Nie wiem, jak by to przyjął, a nie chcę go zranić. Ślady na ramieniu zniknęły, jakby ich nigdy tam nie było, a istnieje przecież milion sposobów, na które mogłam się zranić, nie zdając sobie z tego sprawy, sposobów, które nie mają nic wspólnego z bronią Drau i grą.

Kilka dni później w drodze do stołówki dostrzegam Jacksona, palce ma zaciśnięte wokół drzwi otwartej szafki, głowę pochyloną, gdy rozmawia z Kathy Wynn. Ona wręcza mu złożony kawałek papieru, zamyka swoją szafkę i pospiesznie odchodzi korytarzem tam, gdzie czeka Królowa Pszczół i jej przyjaciółki. Marcy uśmiecha się do jednej z nich i kiwa głową, jej wzrok jest zawieszony nieruchomo na Jacksonie, gdy Kathy coś do niej mówi. Chyba już wiem, dlaczego spotykają się przy stole piknikowym po szkole, gdy Jackson z Luką robią okrążenia.

Marcy przerzuca włosy do tyłu ponad ramieniem. Nie spiesząc się, przebiega palcami przez błyszczące pasma. Zębami przygryza dolną wargę. Jej wzrok ani na sekundę nie odrywa się od twarzy Jacksona.

Na zajęciach z higieny w zeszłym roku podzieliliśmy się na grupy i omawialiśmy kwestię samooceny w relacji do mediów. Marcy była bardzo szczerą w swoich wypowiedziach, utrzymywała, że nie jest szczególnie ładna.

Twierdziła, że jej oczy są zbyt małe i za blisko osadzone, nos zadarty, usta zbyt wąskie. Nie oczekiwała komplementów. Raczej wyjaśniała, dlaczego nie próbuje zrobić kariery modelki, mimo że jej przyjaciele zawsze ją do tego namawiali.

Ładna czy nie, wie, jak się uczesać, nałożyć makijaż i jak się ubrać, wie, o co w tym chodzi, i skutecznie to stosuje – nie pokazuje za dużo ciała, nie nakłada za grubo makijażu. Tylko tyle, ile trzeba.

Poza tym Marcy jest dziewczyną, która wie, czego chce, i zawsze to dostaje. Zachowuje się tak, jak uznaje to za stosowne, szczególnie gdy w grę wchodzi chłopcy. W przeszłości nawet ją trochę podziwiałam za tę determinację i postawę, jakby była najbardziej pewną siebie dziewczyną na świecie.

Sposób, w jaki mijał bez większego powodu każdego, kto stanie jej na drodze, podziwiam jednak znacznie mniej.

Wyznaję pewną filozofię dotyczącą związków, która opiera się na tym, co kiedyś powiedziała mi mama, gdy w ósmej klasie miałam chłopaka na stałe, Sama Pitta: nikt nie może zepsuć związku, chyba że ten związek już ma problemy, bez względu na to, czy je widać, czy nie.

Grupa Marcy zaczyna szeptać i chichotać, gdy Jackson rozwija karteczkę i przebiega ją oczami – wszyscy poza Marcy. Ona tylko patrzy na niego, pewna siebie i opanowana, pełna wyczekiwania. Stoję bez ruchu zaciekawiona. I jeśli mam być szczerą, odrobinę zaniepokojoną. Wiem, czego ona chce. Jestem prawie na sto procent pewna, że od Jacksona tego nie dostanie.

Jednak jakaś maleńka, głupia cząsteczka mnie obawia się, że może jednak jej to dać. Ponieważ Jackson i ja mamy problem lub dwa. Jego obecność w moim życiu obciążona jest wysoką ceną – grą – i on jest tym, który ustanowił tę cenę. Nasz związek jest oparty na zdradzie, kiedy to poświęcił mnie dla własnych celów.

To by sugerowało, że to ja powinnam odejść, nie on. Ale to wszystko nie ma już znaczenia, bo nie zrealizował swojego planu, pozostał w grze, abym ja mogła z niej odejść. Nie umiem do końca mu wybaczyć, wykluczyć możliwości, że znowu mnie zdradzi, choć bardzo się staram. Głupota. Wiem.

Nie umiem wybaczać. Doktor Andrews powtarzał mi milion razy, że muszę nad tym pracować, ale jakaś część mnie kurczowo trzyma się doznanych uraz, jakby były przyklejone superklejem.

Nie jestem z tego dumna, ale tak już jest.

Jackson ponownie składa notatkę i kroczy w kierunku Marcy odwrócony do mnie plecami. Wyciąga swój wskazujący i środkowy palec pomiędzy którymi tkwi notka. Chyba coś mówi. Marcy pąsowieje na twarzy, a jej uśmiech kota, który spija śmietankę, zanika. Chwyta liścik i – przerzucając włosy na drugie ramię – obraca się i odchodzi, jej damy dworu za nią.

Jackson zawraca, widzi, że przyglądam się tej scenie, i zmierza w moim kierunku. Pochylam głowę zawstydzona. Chcę zapytać, o co chodziło, ale nie

pytam, bo przecież Jackson może mieć każdą dziewczynę, którą zechce. Pragnę uwierzyć, że skoro jest ze mną, to znaczy, że ja jestem tą dziewczyną.

Jeżeli nie będziemy sobie ufać, to niewiele nam pozostanie.

Och. W chwilach jak ta, kiedy moja niepewność podnosi brzydką głowę i mnie sprawdza, kiedy jestem dziewczyną, która podczas gdy inni uczyli się randkowania, odbywała żałobę... w takich chwilach najtrudniej mi zaufać. Czy brakuje mi wiary w Jacksona, czy w siebie?

– Sprawdzasz mnie? – pyta Jackson i jednocześnie opiera płasko swoją dłoń na ścianie tuż powyżej mojego lewego ramienia.

Spoglądam na niego spod rzęs, wspinam się na palce i szepczę mu do ucha:

– Jeśli dasz się złapać, to może cię zatrzymać.

Śmieje się. Gdy się cofa, wiem, że studiuje moją twarz zza matowych okularów.

– Nie może mnie złapać, Miki. Wiesz o tym. Liczysz się tylko ty, od czasu Atlantic Beach.

Słyszę rozbijające się fale, czuję wodę na swojej skórze, wspomnienie staje się nagle takie żywe. Moje? Czy Jacksona? Posiada tę dziwną zdolność mówienia w mojej głowie, w kilku przypadkach nawet wepchnął mi swoje wspomnienia, aby się wymieszały z moimi. Smakuję sól na języku, czuję, jak piecze mnie w oczy. Na plaży jest chłopak, jego włosy pobłyskują złościście w słońcu.

Potem już go nie widzę, widzę siebie. Nurkuję, woda zamyka się nade mną, rozpostarte włosy suną za mną, gładkie i ciemne. Wyłaniam się, mrugam rzęsami, aby pozbyć się z nich wody. Nad moim sercem widać tatuaż orła tylko częściowo zakryty przez kostium kąpielowy. Obracam się i patrzę na niego, oczy mam niebieskie. W odcieniu indygo. Wyczuwam jego zdumienie, zainteresowanie.

Jest rozdarty. Nie chce tego zrobić. Nie chce nikogo więcej wciągać do gry. Ale oto jestem, podarunek złożony tuż przed jego nosem, droga wyjścia. Pragnie mnie, choć planuje mnie zdradzić.

Później jego emocje falują i zmieniają się, są już inne. Pułapka świadomości. Pociąg.

Jego.

Mój.

Potężny.

Chce mnie całować, dotykać...

Pstryk. Znowu jestem na szkolnym korytarzu, hałas ze stołówki wylewa się przez otwarte podwójne drzwi.

Zamierzam być pewna siebie. On znowu się śmieje, miękko i cicho.

Na skórze czuję mrowienie. Przez chwilę wydaje mi się, że ma to związek z tym, jak dźwięk jego śmiechu owija się dookoła mojego serca.

Jednak mrowienie nasila się, wyostrza. Nie jest przyjemne. Włosy na moi

karku kłują i się unoszą. Dreszcz skrada się w górę kręgosłupa.

– Co? – pyta Jackson, nagle zaalarmowany.

– Uczucie przyprowadzające o gęsią skórę – mówię. – Jakby ktoś mnie obserwował lub chodził po moim grobie.

– Nienawidzę tego zwrotu. – Jackson kieruje podbródek na lewo ode mnie. – Ten ktoś?

Obracam się, aby spojrzeć na Marcy, wyraz jej twarzy jest kwaśny jak mleko od miesiąca tkwiące w tyle lodówki. Kathy stoi obok niej. Owszem, obie na nas patrzą. Przypominam sobie koszmar, Marcy rośnie bez końca, a Kathy się kurczy. Jestem niemal gotowa mu o tym opowiedzieć, lecz mogę sobie wyobrazić, jak obrzuca mnie zadowolonym spojrzeniem i pyta, czy jestem zazdrosna.

– To nie one – mówię, ostrożnie dobierając słowa.

Nie chodzi też o dzieciaki idące korytarzem. Po mojej pierwszej misji Luka powiedział, że nie rozmawiamy o grze poza nią. Wtedy nie zrozumiałam, o co chodzi. Potem dowiedziałam się, że Drau mogą nas obserwować, korzystając z ludzkiej technologii satelitarnej. Stworzyli armię szkieletów powłok – ludzkich postaci, które mają świadomość Drau. Jak dotąd widziałam tylko nieudane próbki, lecz przecież mogli w końcu odnieść sukces? Powłoki mogą być wszędzie. To może być każdy. Każdy dzieciak, który nas mija.

Marcy. Kathy. Pani Tilson niosąca filiżankę gorącej herbaty. Każdy z chłopaków z drużyny lacrosse'a, którzy poklepują się wzajemnie i śmieją, gdy przechodzą obok nas.

– To nie oni – mówię znowu, ale już nie jestem taka pewna.

– Ktoś inny?

– Coś innego.

Postawa Jacksona nagle się zmienia. Znika drażnienie się i flirtowanie. Niby jest ten sam, lecz nie do końca. Szacuje teren, obserwuje, waży.

– Nadal to czujesz? – pyta.

Zastanawiam się nad tym przez sekundę, potrząsam głową.

– Teraz nie. I nie jestem na sto procent pewna, że w ogóle to czułam. To trwało sekundę. Ty niczego nie wyczułeś?

– Nie.

Jeżeli Drau są tutaj, sądzę, że Jackson by ich zauważył. Spoglądam na Marcy. Nadal się nam przygląda.

– Och, odczep się – mruczę, a potem szepczę do Jacksona: – Może to od początku chodziło o nią. Może jestem poirytowana.

Nieznacznie się uśmiecha i szepcze mi do ucha:

– Może powinniśmy znaleźć sposób, aby znaleźć ujście dla tej irytacji.

– Jesteśmy w szkole – podkreślam.

W odpowiedzi tylko szczyrzy zęby.

Carla i Dee idą korytarzem w stronę stołówki. Carla szybko rozeznaje się w sytuacji i rzuca Marcy spojrzenie, które mówi: „Chyba żartujesz, odczep się natychmiast”. Taka właśnie jest Carla, zawsze nastawiona pokojowo, chyba że ktoś występuje przeciwko jej przyjaciółom. Wtedy Carla staje się trującą nadržewną żabą – piękną, lecz zabójczą.

– Zarezerwuję miejsca – rzuca, gdy nas mija.

Marcy odchodzi sztywnym krokiem, nie mogę się powstrzymać i po raz ostatni rozglądam się, bo nadal czuję, że coś jest nie tak.

– Czy przypadkiem nie umierasz z ciekawości, co było w tym liściku?

Jackson bierze mój plecak i zarzuca sobie na ramię, po czym zaczyna iść korytarzem. Robię cztery kroki na jego dwa i doganiam go.

– Nie.

– Kłamczucha – mówi, a potem po przerwie: – Numer jej telefonu i godzina.

Tego w zasadzie oczekiwałam. Przynajmniej numeru telefonu. Ale godzina? Niezupełnie. Nie wyobrażam sobie, bym kiedykolwiek mogła wskazać Jacksonowi godzinę, o której może do mnie zadzwonić, bo przecież on od nikogo nie przyjmuje rozkazów.

– Pewnie umierasz z ciekawości, żeby usłyszeć, co jej powiedziałem?

– Nie.

Dopiero gdy stoję przed nim w kolejce w stołówce, pochyla się i mówi:

– Powiedziałem jej, że już mam to, czego chcę. I że dziewczyna, która wysłała koleżankę z liścikiem do mnie zamiast przynieść go sama, nie jest dziewczyną dla mnie.

– Okrutne – odpowiadam i ogarnia mnie lekkie współczucie dla Marcy.

Jestem w kuchni, przycinam brukselki, gdy dostrzegam, że blat jest kompletnie pusty. Żadnych butelek. Nawet jednej.

Gdy wrzucam brukselki i pokrojoną w sześciany cukinię do piekarnika, wracam myślami do ostatnich paru dni i dociera do mnie, że tata zaczął sam odkładać swoje brudne naczynia.

Wydaje się, że osiągnęliśmy nowy rodzaj porozumienia. Od dnia, kiedy wspomniałam mu o spotkaniach AA, przestałam liczyć zimne piwa w lodówce i puste butelki pod zlewem. Przynajmniej próbuję przestać. Czasem się zagapię i kiedy liczę, ile butelek wypił tata – pięć, sześć czy dziewięć, dopada mnie pragnienie, aby się „odgapić”.

Nadal pracuję nad wdrożeniem koncepcji „wyluzowania”, pójsia z prądem.

Kiedy kończymy kolację, tata pomaga mi posprzątać, potem bierze kluczyki do samochodu.

– Wychodzisz? – pytam, usiłując zachować obojętny ton. Wychodzi prawie co wieczór, zaraz po kolacji, wraca, gdy już śpię.

– Tak. – Całuje mnie w policzek.

Chciałabym zapytać, dokąd idzie i czy chciałby, abym z nim poszła. Powstrzymuję się jednak, bo nie mogę przejmować roli rodzica, kontrolować jego działań i decyzji, częściowo dlatego że – jeśli chodzi o spotkania – to może nie życzyć sobie, abym w nich uczestniczyła. Nie chcę zrobić niczego, co mogłoby go powstrzymać od tych spotkań.

Jestem w piżamie, zanim wraca do domu – po prysznicu, zęby wyszorowane, praca domowa zrobiona, gotowa na łóżko, ale nie na sen. Leżę w ciemności, czekając na dźwięk jego samochodu, klucz w drzwiach, zdaję sobie sprawę, że takie zachowanie mi nie służy. Nie wiem jednak, jak je zmienić.

Czasami, gdy jestem sama w nocy, rzucam się i kręcę, moje myśli kołują i prowadzą do miejsc niepożądanych. Miejsc, w których często bywałam przez prawie dwa lata. Takich jak negatywne monologi. Jak pełzające palce szarej mgły, które znowu chcą mnie objąć.

Dzisiaj jest właśnie jedna z takich nocy.

Kusi mnie, aby zadzwonić do Jacksona, pozwolić mu podeprzeć swoim ramieniem ciężar mojego nastroju. I dokładnie dlatego nie dzwonię. Nie chcę stać się niczyją kulą u nogi. Przynajmniej tak sobie wmawiam. Ten mały głosik, syczący i okrutny, przypomina mi, że każdy kiedyś odchodzi.

Jedyną osobą, na której mogę polegać, to ja sama. Lepiej nie opuszczać całkowicie broni.

Dzisiaj, jak zawsze takiej nocy, płaczę we śnie. Wiem o tym, bo gdy budzę się rano, mam ślady łez na policzkach.

Rozdział siedemnasty

Cały czas mam wrażenie wyczekiwania, jakby coś złego czaiło się za kulisami. Jakby coś złego miało nastąpić – zwierzam się Jacksonowi później tego samego dnia.

– Kulisy... zło... niezła mieszanka językowa – mówi, odgryzając kawałek swojej kanapki.

Przewracam oczami.

Mimo chłodnej pogody siedzimy na szczycie trybun, dzieląc się drugim śniadaniem, które przygotowałam dla nas obojga. Trzęsę się po części dlatego, że ten temat mnie denerwuje, ale przede wszystkim dlatego, że nie ubrałam się dostatecznie ciepło. Jackson zrzuca swoją kurtkę – brązową skórę, wytartą i spłowiałą do beżu w niektórych miejscach – i układa ją na moich ramionach.

– Będzie ci zimno – mówię.

– Mam jeszcze bluzę z kapturem. – Ostatnie słowo.

Kurtka jest jeszcze ciepła od jego ciała, wtulam się w nią i obserwuję Lukę, Carlę i Dee ścigających się po schodach z góry na dół i z powrotem. Nie zostaliśmy wyciągnięci od czasu, gdy prawie zginęłam – wtedy gdy sądziłam, że uratowała mnie zmarła siostra Jacksona – i przeraża mnie to.

Jackson odgryza połowę kanapki, przeżuwa, przełyka.

– Zdarzyło mi się nie zostać wyciągniętym przez trzy miesiące – mówi. – Kilka tygodni to nic niezwykłego. Ciesz się z tej przerwy.

– Jak radzisz sobie z niepewnością?

– Nie mam na to wpływu. – Wzrusza ramionami. – Zdaję sobie z tego sprawę, więc nawet nie próbuję. Kiedy będzie, to będzie. Nie zamierzam marnować dobrych chwil, spekulując na temat złych. Jak *Bestia w dżungli*, nie?

– Co to jest?

Kończy swoją kanapkę i pożądliwie łypie okiem na moją połowę, której nawet jeszcze nie zaczęłam.

– Zjesz to? – pyta i jednocześnie sięga po nią.

Przesuwam pudełko poza jego zasięg.

– Tak. – Potem grzebię w plecaku i wyciągam kolejne pudełko. – Ale zrobiłam dodatkową. – Wręczam mu drugą kanapkę.

– Jesteś boginią – mówi z pełną buzią.

– Jutro twoja kolej, aby przygotować śniadanie – przypominam mu. – I nie oszukuj, kupując te świństwa w stołówce, tak jak ostatnim razem. Więc... *Bestia w dżungli*?

Wiatr łapie moje włosy, rozwiewając je we wszystkich kierunkach. Sięgam do tyłu i zgarniam je w dłoń, a potem wsuwam pod kołnierz kurtki.

– To opowiadanie Henry’ego Jamesa. – Jackson łapie jedno luźne pasemko

i wsuwa je do innych. – O facecie, który ma obsesję, że przydarzy mu się jakaś katastrofa, jakby to była bestia przyczajona do skoku, więc marnuje całe swoje życie, nie robiąc nic, bo obawia się, że w jakiś sposób ją sprowokuje. Jest przerażony. Czeka na tę katastrofę.

– I co się stało? Jaka to była katastrofa?

– Nic się nie stało. Właśnie o to chodzi. Nic okropnego się nie wydarzyło. Katastrofą jest jego życie, którego tak naprawdę nie przeżył. Za bardzo się bał.

– Wygląda na dodające otuchy czytadło. – I przypomina trochę moje ataki paniki.

Wkładam puste pudełko z powrotem do plecaka i patrzę, jak Carla biegnie w dół schodów, piszcząc i śmiejąc się, a Luka jest o krok za nią.

– Czasem wszystko wydaje się nas przerastać – mówię. – Drau. Zagrożenie. Wiedza, że wyniszczyli już cały jeden gatunek, a teraz próbują dopaść nas. Przyszłość całego świata spoczywająca na naszych barkach. – Carla piszczy, gdy Luka ją chwytą, ale uwalnia się i ucieka. Macham do nich. – Normalne życie szkolne wydaje się nieważne.

– Jest najważniejsze – mówi Jackson.

Przemieszcza nas oboje tak, że teraz dosiadamy jak konia metalową ławeczkę, moje plecy oparte o jego pierś, jego ramiona oplatają mnie od tyłu. Opiera brodę na moim ramieniu.

– Kiedy pobijemy Drau, zostanie nam właśnie to życie, Miki. To się najbardziej liczy. Nasze rodziny. Przyjaciele. O to właśnie walczymy. Za tę chwilę i tysiące podobnych do niej.

Obracam głowę, aby spojrzeć na niego ponad ramieniem.

– Kiedy pobijemy Drau? Mówisz to tak, jakbyś miał dostęp do jakichś poufnych informacji na temat dnia i godziny. Czy wiesz coś, czego ja nie wiem?

Jackson odwraca wzrok, jakby unikał odpowiedzi, i przez chwilę ogarnia mnie zimno, zmieniając krew w lód. Czego mi nie mówi?

Potem podążam za jego wzrokiem i widzę Dee, jak mija biegiem Lukę i przewraca Carlę na ziemię. Luka potyka się o nie i wszyscy troje leżą na kupie, śmiejąc się, zachwyceni swoją zabawą. Luka podnosi głowę, spotyka moje spojrzenie i przez sekundę widać na jego twarzy poczucie winy. Za co? Za zabawę?

Jego wzrok przesuwają się na Jacksona i w trójkę łączymy się wspólną myślą o innej grze, która nie jest zabawą.

– Dwie przeciwko jednemu. To niesprawiedliwe. Obal je! – wrzeszczy Jackson.

Luka łapie Dee za kostkę, gdy ta zaczyna się podnosić z ziemi. Ponownie upada, śmiejąc się. Jej radość jest zaraźliwa, przenika przez moje bariery, wątpliwości i strach, łaskocząc mnie jak promień słońca.

– Masz rację – mówię. – Właśnie o to walczymy. O tę chwilę. Tylko to się liczy. – Skaczę na nogi i rzucam Jacksonowi kurtkę na kolana. – Ścigamy się!

Przeskakuję ławeczkę po ławeczce w dół, w kierunku boiska, a Jackson depta mi po piętach.

Budzi mnie dzwonek telefonu. Przewracam się na bok, nadal myślami jestem przy swoim wspaniałym śnie o mnie i Jacksonie, i jego psie, i plaży. Sprawdzam godzinę – pierwsza w nocy – a potem numer. Carla.

Spowija mnie niepokój, grzechocząc i obnażając trujące kły.

– Cześć – mówię.

Nie odpowiada od razu. Siedzę sztywno wyprostowana, mocniej ściskam telefon i zapalam lampę na stoliku nocnym.

– Carla?

Westchnięcie, a po nim drżący wydech. Mam wizje krwi, śmierci i Drau błyskawicznie przebiegających przez dom Carli jak biali kosiarze.

– Carla, co się dzieje?

Odrzucam kołdrę i skaczę na nogi, gotowa budzić tatę, aby natychmiast do niej pojechać. Sięgam po dżinsy, przyciągam je jedną ręką. Właśnie zmagam się, aby wsunąć drugą nogę, kiedy słyszę stłumione łkanie.

– Miki.

– Jestem tutaj, Carla. Co się stało?

W moim głosie pobrzmiwa żądanie, twarda nuta i ściskający strach. Wciągam do końca dżinsy i przemierzam pokój, czekając na odpowiedź.

– Grammy B – szepcze.

Grammy B jest mamą mamy Carli. Jest zabawna i radosna, mam wspaniałe wspomnienia z czasów, zanim wyprowadziła się na Florydę, aby pomóc ciotce Carli, Melanii, uporać się z jej rozwodem. To było trzy lata temu. Została, aby opiekować się małymi kuzynami Carli, podczas gdy Mel pracuje. Twierdzi, że lubi być potrzebna i pomagała mamie Carli, gdy jej dzieci były małe, więc teraz kolej Melanii.

Wiem, że Carla tęskni za Grammy B, mimo że bardzo często rozmawiają przez telefon. Ale to nie to samo, co kontakty osobiste – wizyty na Gwiazdkę i wspólny tydzień latem nie wystarczą.

– Czy wszystko z nią dobrze? – pytam również szeptem.

Taki odruch, choć pytanie nie jest najmądrzejsze. Jeśli byłoby z nią wszystko w porządku, to Carla nie dzwoniłaby do mnie o tej porze.

Wszyscy odchodzą.

Przyciskam grzbiet dłoni do ust. Carla stała tuż obok mnie na pogrzebie mojej mamy – tata z jednej strony, Carla z drugiej. Trzymała mnie za rękę. Podtrzymywała mnie, gdy uginały się pode mną kolana. Spała w śpiworze na podłodze koło mojego łóżka przez tydzień po pogrzebie, budząc się za każdym

razem, gdy nawiedzały mnie koszmary, siadała po jednej stronie łóżka, a tata po drugiej.

Zrobiłabym dla niej to samo. Pojadę na Florydę, na pogrzeb, chyba że przywiozą ciało Grammy B tutaj...

– Jest w szpitalu – dławi się Carla. – Na oddziale intensywnej opieki. Mówią, że miała zawał mięśnia sercowego.

Szpital. Nie umarła.

Zawał mięśnia sercowego to zawał serca. To źle. Ale ludzie z tego wychodzą. Wiem, że tak jest. Pan Shomper miał łagodny atak serca dwa lata temu i ciągle jest między nami, i nawet uczy.

– To dobrze – mówię, walcząc z łzami. – To wspaniale.

– Co? – Carla się zachłystuje.

Potrząsam głową, zdaję sobie sprawę, że mnie nie widzi, a moje słowa brzmią dla niej absurdalnie.

– To wspaniale, że żyje – mówię, przelewając do swojego głosu płynącą z serca nadzieję. – Ona żyje, Carlo.

– Masz rację – mówi Carla po kilku sekundach. – Żyje. Ma szansę.

– Dużą szansę, prawda? – Proszę, niech ma dużą szansę.

Pociąga nosem.

– Mówią, że jeśli przeżyje dzisiejszą noc, to prognozy są dobre.

Zamykam oczy i po cichu mam nadzieję, że przeżyje tę noc. Że nie umrze we śnie bez przebudzenia, tak jak Sofu.

– Zaopiekują się nią. Poprawią jej stan – mówię.

Co prawda nie jestem przekonana do tego, że poprawią jej stan. Moje doświadczenia szpitalne nie są zbyt budujące. Pragnę jednak, aby Carla miała nadzieję. I bardzo chcę, żeby moje słowa się sprawdziły.

– Czego potrzebujesz? – pytam. – Jak mogę ci pomóc?

– Za dwie godziny jedziemy na lotnisko. Wszyscy. Cała rodzina. Na wszelki wypadek.

Przerywa. Słyszę, jak szlocha mocno, pociągając nosem. Łzy szczypią mnie w powieki, mrugam, aby je przewyciężyć.

– Nie wiem, jak długo tam zostaniemy – mówi.

Będziesz tam tak długo, dopóki ona nie będzie gotowa wrócić do domu. Lub jeśli już nigdy nie będzie mogła wrócić... Ta myśl rozdziera mnie wewnątrz.

– Wezmę twoją pracę domową – mówię, aby coś powiedzieć. – I powiem twoim nauczycielom.

– I Kelley, i Dee. Sarze. Amy. Do nikogo nie dzwoniłam. Tylko do ciebie.

– Powiem im. – Ogarnia mnie współczucie dla niej.

– Czy możesz zaopiekować się moim Daimonem?

Daimon. Jej ryba. To betta – syjamska ryba walcząca. Carla przysięga, że ta

ryba jest inteligentna. Robi sztuczki. Osobiście uważam, że wypływa na powierzchnię, kiedy Carla zanurza palec, bo jest genetycznie zaprogramowana do ataku.

– Wiesz, gdzie mama chowa zapasowy klucz. Czy możesz wpaść, wziąć akwarium i zająć się nią, dopóki nie wrócę?

– Zabiorę ją zaraz z rana.

– Trzeba ją karmić raz dziennie. Robię to zawsze przed wyjściem do szkoły. Nie przekarm jej – mówi szybko, jej słowa się zlewają. – Dawaj jej tylko tyle, ile może zjeść w ciągu dwóch minut. Nie więcej. Albo bakterie zalęgą się w wodzie, a to niedobrze.

– Rozumiem. Jej jedzenie jest w zamrażarce na drzwiach, prawda?

– Tak. Zajmij się nią. Obiecuj.

– Obiecuję.

Obietnica, której nie będę mogła dotrzymać.

Cztery dni później Carla dzwoni ze wspaniałą wiadomością, że Grammy B wyjdzie z tego.

– Musi codziennie brać aspirynę i beta-blokery, i coś jeszcze, co rozrzedza krew... Zaczyna się na P. Na oddziale intensywnej opieki była tylko jedną noc, potem przenieśli ją do zwykłej sali, a dziś ją wypisali. Dzisiaj wieczorem lecimy do domu. – W jej głosie słychać radość i ulgę. – Czy możesz przynieść Daimona? Tęsknię za jego falistymi błękitnymi płetwami.

Spoglądam na akwarium na stoliku.

– Pewnie.

– Jak on się czuje?

– Dobrze.

Niewinne kłamstwo. Wczoraj nic nie jadł. W końcu musiałam wybrać całe jedzenie po kilku minutach, aby nie zanieczyściło wody. Dzisiaj też nie jadł. Podchodzę bliżej do stolika.

– Ma się dobrze.

– Czy zrobiłaś tę sztuczkę, kiedy wkładasz palec do wody, a on skacze na niego?

Stoję nad akwarium i patrzę na rybę. W ogóle się nie rusza. Nawet nie drgnie jej płetwa. Wkładam palec do wody i dotykam małego niebieskiego ciała, lecz jej płetwy zwisają w kierunku dna.

Gównno. Gównno. Gównno.

– Taaa... Trącam rybę w wodzie. Robię to teraz. Kiedy rozmawiamy. – To prawda. No prawie.

Słyszę, jak się śmieje.

– Muszę lecieć. Przyjechała taksówka, żeby nas zabrać na lotnisko. Do zobaczenia wkrótce.

Patrzę na rybę i nakazuję jej, aby się poruszyła.

– Śpisz, prawda?

Jasne. Snem umarłego.

Z westchnieniem wysyłam esemesa do Luki. Dwadzieścia minut później jest przy drzwiach.

– Co się dzieje?

– Chciałabym, abyś coś zobaczył.

– Dobra. – Wchodzi do holu, gdy otwieram drzwi. – Dlaczego zadzwoniłaś do mnie, a nie do Jacksona?

– Dwa powody – mówię.

Parę tygodni temu Luka zachował się kilka razy roszczeniowo w stosunku do mnie w grze. Zastanawiałam się, czy nie czuje do mnie mięty. Ostatnio jednak mam wrażenie, że leci na Carlę. Trudno powiedzieć.

– Po pierwsze, uważam, że jesteś blisko z Carlą.

Brwi strzelają mu do góry.

– Chodzi mi o przyjaźń... że jesteście przyjaciółmi...

– Tak jak ona z Jacksonem. – Rzuca mi dziwne spojrzenie.

– Po drugie – kontynuuję, jakby mi nigdy nie przerwał – Jackson zawiózł mamę na zakupy, bo jej samochód jest w warsztacie – urywam, gdy Luka zaczyna się śmiać. – No co?

– Kiedy go spotkałaś, czy wyobrażałaś sobie, żeby mógł zabierać mamę na zakupy?

– Szczerze? Nigdy nie sądziłam, że ma rodzinę.

– Myślałaś, że pojawił się na tym świecie już wstępnie uformowany. Ze skrzeku.

– Mniej więcej. – Teraz ja się śmieję.

Luka poważnieje.

– Co się dzieje z Carlą? Miałaś wieści od niej? Wszystko u niej okej?

– Wszystko w porządku. – Dopóki nie dowie się o rybę. – Buty – przypominam mu.

Zdejmuje swoje tenisówki. Domowe zasady. Mama nigdy nikomu nie pozwalała na noszenie butów w domu, więc ja również. Tak jak Sofu nie pozwalał nikomu chodzić w butach w sali do ćwiczeń. Tego się po prostu nie robi.

Prowadzę go do pokoju.

– I co? – pytam.

– Co i co? – Rozkłada ręce.

– Nie żyje?

Patrzy na mnie. Rozgląda się. Wreszcie widzi okrągłe akwarium na stole.

– Och...

Spogląda na nie, wkłada rękę, zatacza kółka w wodzie, obserwuje rybę,

a potem wyciąga rękę i szuka czegoś do jej wytarcia. Sięga po afgana udrapowanego na oparciu sofy, tego, który zrobiła mama, gdy była ze mną w ciąży. Rzucam się, aby go uratować przed profanacją.

– Użyj swoich džinsów – mówię.

– Albo nie żyje, albo... – wyciera najpierw wierzch, potem spód dłoni w swoje džinsy – ...nie ma żadnego „albo”. Nie żyje.

– O Boże. – Ukrywam twarz w dłoniach. – Zabiłam rybę Carli.

– Jesteś pewna, że zabiłaś? Jeżeli to ta sama ryba, którą dostała, zanim pojechałam do Seattle, to ma... ile... ponad dwa lata? Może zmarła z przyczyn naturalnych?

– Ale i tak jest martwa. Po tym, jak obiecałam się nią opiekować. Co zrobimy?

– My? – Luka unosi brwi. – Powiedz jej, że jest ci przykro. Nie wiem. Zaoferuj, że zrobisz rybce pogrzeb?

Frontowe drzwi trzaskają.

– Miki?

– Zabiłam rybę Carli! – zawodzę.

Tata wchodzi do pokoju. Luka podaje mu rękę.

– Nie ściskaj mu ręki – ostrzegam tatę. – Przed chwilą włożył ją do wody z martwą rybą.

– Jasne. Tak jakbym nigdy nie wyciągał ryb z jeziora, kiedy wędkuję.

Tata się uśmiecha. To prawda. Jest zapalonym wędkarzem i tak dalej. Niemniej zamiast uścisnąć rękę Luki macha w powitalnym geście. Luka wyciera rękę o udo, po czym chowa ją do kieszeni. Tata badawczo przygląda się rybce.

– Kup jej nową. Upewnij się, że ma takie same czerwone zabarwienie na przednich płetwach.

– Sugeruje pan, żeby jej nie mówić, że ta nie żyje? – pyta Luka. – Po prostu znaleźć następczynię i spróbować podszyć ją pod starą?

Tata wzrusza ramionami.

– Tak zrobiłem z żółwiem Miki, kiedy miała sześć lat.

– Co? – zatyka mnie. – Chodzi o Yurtle’a? Oszukałeś mnie? Jak można to zrobić sześciolatce?

– To lepsze, niż gdybyś miała wariować z powodu martwego żółwia. Nigdy nie dostrzegłaś różnicy. Yurtle numer jeden, dwa i trzy zdechły w odstępie dwóch miesięcy. Numer cztery przetrwał dłużej.

Przyglądam się jego plecom, gdy zmierza do kuchni. Pamiętam, kiedy rodzice powiedzieli, że Yurtle wydostał się z pojemnika i że być może już go nie znajdziemy. I pamiętam, że wariowałam. Następnego ranka Yurtle znowu był w pojemniku. Czy to była wersja druga, trzecia czy czwarta? Czy rzeczywiście było lepiej, abym beztrósko wierzyła, że mam ciągle tego samego żółwia? Czy też

rodzice powinni powiedzieć mi prawdę?

Dręcę się tym rybem problemem godzinami. W istocie Luka i ja wypożyczamy film i dręcę się w chwilach, gdy akcja toczy się powoli. Kiedy pojawiają się końcowe napisy, skręcam się na kanapie twarzą do Luki ze skrzyżowanymi nogami. Szybko oceniam, że taty nie ma nigdzie w pobliżu. Poszedł na górę około godzinę temu i jeszcze nie zszedł na dół. Mimo to ściszam głos do szeptu.

– Czy mogę cię o coś zapytać?

– Zależy o co? – Luka mruży oczy, gdy na mnie patrzy.

– Czy miałeś kiedyś koszmary związane z grą?

– Ostatnio nie, ale z początku tak. Byłem nieźle przerażony, gdy pierwszy raz mnie wyciągnięto. – Powiedział mi to wcześniej, kiedy wreszcie mogliśmy porozmawiać po śmierci Richelle. Obserwuje moją twarz, po czym pyta: – Masz koszmary?

Kiwam głową.

– Trochę. Nie za dużo. Ale jeden był inny niż wszystkie. Był dziwny. Wiem, że powiedziałeś, że nie widziałeś tej dziewczyny, która pomogła mi ostatnim razem – i Komitet twierdził to samo, że nie posłali innych drużyn na tę misję, że byłam sama – ale śniłam o niej. Wyglądała jak Lizzie.

Luka gapi się na mnie beznamiętnie.

– Lizzie – powtarzam. – Siostra Jacksona.

Mijja chiwla, gdy Luka reaguje:

– Jackson nie ma... Czeka! Widzisz ducha martwej siostry swojego chłopaka. To... – Jego brwi unoszą się i potrząsa głową.

– Próbuje mi coś powiedzieć, Luka. Coś o grze. Widziałam Marcy i Kathy, Marcy śmiała się, a Kathy była bardzo mała, mniejsza niż mój mały palec, i... – przerywam, wpatruję się w Lukę, który zaczyna się śmiać. – Co?

– Jesteś pewna, że ten koszmar dotyczył gry? Chodzi o to, że Marcy z całą pewnością... ona i Jackson... – Podnosi rękę do góry, kiedy zdaje sobie sprawę z tego, co powiedział. – To nie jest tak, jak to zabrzmiało. Wiem, że nic jej nie łączy z Jacksonem. Ona po prostu ciągle go obserwuje. Nie kryje się z tym specjalnie. W zasadzie obserwuje was oboje.

– Wiem. Mam wrażenie, że gdzie się nie obrócę, widzę ją z jej paczką, to przerażające.

Luka patrzy na mnie, uśmiech znika z jego twarzy.

– Nie chodzi ci chyba o to, że jest przerażającym natrętem, który cię prześladowa?

Potrząsam głową i szepczę:

– Przerażająca jak Drau.

– Sądzisz, że Marcy Kern jest powłoką?

– Nie. Tak. Może. Nie wiem. – Oddycham bardzo szybko.

– Jej oczy są niebieskie – mówi Luka. – Jasnoniebieskie. Trochę lodowate. A nie szare jak u Drau.

– Czy powłoki mają oczy Drau?

Luka wytrzymuje moje spojrzenie. Mogłabym go zapytać, czy wie, jakiego koloru są oczy Jacksona, czy je widział. Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy. Jackson i ja z nikim się tym nie dzielimy. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Oczy Drau? – Marszczy brwi, wzrusza ramionami. – Nie mam pojęcia. Nadal jednak uważam, że twoje koszmary o Marcy wynikają z tego, że ona chce dobrać się do portek Jacksona... – Widząc moje chłodne spojrzenie, kończy: – Tak sobie tylko gadam.

Rozprostowuję nogi i krzyżuję je ponownie w przeciwną stronę, teraz moja prawa stopa jest na górze lewej.

– Zapomnijmy na chwilę o Marcy. Jest jeszcze coś. Pod koniec koszmaru zostałam wyciągnięta i miałam wrażenie, że to akurat się dzieje naprawdę. W odróżnieniu od reszty tego snu. Było prawdziwe i... ważne. – Próbuję uporządkować w myślach szczegóły. – Czy kiedyś zostałeś wyciągnięty w inne miejsce niż poczekalnia?

– Wiele razy. I ty też.

– Nie, źle postawiłam pytanie. Nie chodzi mi o wyciągnięcie na misję. Chodzi mi o wyciągnięcie takie jak do poczekalni, ale w zupełnie inne miejsce. Białe i zimne, i ... zimne. – Kończę nieudolnie.

Potrzęsa głową.

– Czy kiedyś... wróciłeś z ranami?

– Co? Nie. Jeśli wracamy, to nasze rany są zagojone. Co się z tobą dzieje, Miki? O czym mi nie mówisz?

– Nic. Poważnie, nic. – Pocieram lewe ramię, mimo że nie boli, a ślady już zniknęły. – Nic – powtarzam i pokrywam zmieszanie, ustawiając puste szklanki i oferując Luce ostatni plasterek pokrojonego jabłka na talerzu.

Chwilę później Carla dzwoni z lotniska z informacją, że wylądowali. Sklep zoologiczny będzie jeszcze otwarty przez pół godziny. Zdażyłabym. Mogłabym kupić Daimona 2.0.

W końcu decyduję, że trudna prawda jest lepsza niż łatwe kłamstwo. Wsiadam do eksplorera i wiozę ciało Daimona – które już nie pływa, lecz spoczęło na żwirowym dnie i zaczyna bieleć na krawędziach – do Carli.

– Przykro mi – mówię, wyciągając ku niej akwarium, ledwo mogę wypowiedzieć te słowa, tak mocno zanoszę się płaczem. Przez rybę.

A może wcale nie przez rybę.

Carla jest chyba wdzięczna, że Grammy B wyzdrowieje, lub może jest najlepszą przyjaciółką na świecie, a może chodzi o obie te rzeczy. W każdym razie

obejmuje mnie i płaczemy razem.
Potem mi wybacz.

Rozdział osiemnasty

W dniu halloweenowych tańców zakładam czarne džinsy i czarny golf. Dodaję do tego czarną kamizelkę w stylu wojskowym, którą znalazłam w internecie, i właśnie kończę szczotkować włosy, gdy słyszę dzwonek do drzwi.

Tata znowu wyszedł. Zadzwoił parę minut temu, aby dowiedzieć się, co u mnie.

– Tak, naładowałam telefon, tato. Tak, wrócę przed północą.

Uważam za dziwne, że nie zapytał mnie, z kim idę na zabawę i jak tam dotrę. Wygląda na to, że fazę zatroskanego rodzica przechodzi jedynie powierzchownie.

Nadzieja, którą w sobie rozbudziłam tego dnia, kiedy opowiedziałam mu o spotkaniach AA, spłowiła do matowego odcienia bieli. W zeszłym tygodniu, odkurzając jego gabinet, znalazłam na podłodze pod biurkiem butelkę z przezroczystego szkła z wypukłym niebieskim napisem. Podniosłam ją i postawiłam koło kosza na śmieci. Nigdy o tym nie wspomniał. Ani ja.

Ale tej nocy, kiedy próbowałam nawiązać rozmowę z niewyraźną aluzją do AA, tata uciął ją zdecydowanie. Przerzucił się z piwa na coś mocniejszego. Lub zawsze pił i to, i to.

Dzwonek brzęczy ponownie. Odsuwam te nieprzyjemne myśli na bok. Zamierzam skoncentrować się na tej chwili, chwili, kiedy po raz pierwszy chłopak zabiera mnie na tańce. I to nie byle jaki chłopak. Jackson.

Zbiegam szybko po schodach i otwieram drzwi. Stoi oparty o poręcz na ganku, ręce skrzyżowane na piersi. Jest cały w czerni, podobnie jak ja, ale ma sweter wycięty w serek z długimi rękawami, a jego kamizelka jest większa i obszerniejsza, z okrągłymi naszywkami. Zupełnie jak w „Gears of War”.

Dwie maski do paintballa kołyszą się zawieszane na jego palcach. Chcieliśmy zabrać broń do paintballa jako akcesoria, ale nie udało się. Pani Smith w niekończących się przemówieniach jasno podkreśliła, że na tańcach nie będzie żadnej broni, nawet wyciętej z kartonu. A co dopiero niezaladowanej broni do paintballa.

Więc pójdziemy jako nieuzbrojeni wojownicy. Nie martwi mnie to. Dzięki grze mam broni po uszy.

Jackson odbija się od poręczy, mija mnie i wchodzi do domu, łapie za szlufkę mojego paska i ciągnie mnie do środka. Opuszcza maski paintballowe, zatrzaskuje drzwi i popycha mnie na nie, otacza mnie ramionami, uda przyciska do moich.

– Psikus czy poczęstunek? – pyta.

– Poczęstunek.

Cmokam go w policzek, przechodzę pod jego ramieniem i podnoszę niemal

pusztą misę z czekoladowymi minibatonikami, stojącą na kuchennym krześle, które ustawiłam koło drzwi frontowych.

– Szczęśliwego Halloween! – Wyciągam misę w jego kierunku.

– Miałem nadzieję na coś słodsze. Powiedzmy... twoje usta na moich...

– Musisz zadowolić się czekoladką. Luka czeka. Podwozimy go?

– Spotka się z nami na miejscu. Po drodze zabierze Sarę i Amy. – Jackson przebiera w batonikach i wybiera jeden. – Czy wszystkie z masłem orzechowym już poszły?

– Nie kupuję z masłem orzechowym. Zbyt dużo dzieciaków ma alergię.

Papier szeleści, Jackson pochłania batonika jednym chapssem. Papierek wrzuca z powrotem do misy. Wysuwam rękę dłonią do góry. Z nieznacznym uśmiechem wyszukuje papierek, kładzie na moją dłoń i częstuje się kolejnym batonikiem.

– Masz zamiar rozdawać więcej cukierków?

– Wydaje mi się, że wszystkie maluchy przewinęły się już wcześniej. – Sięgam za niego, aby zgasić światło na zewnątrz. – Dla nich to późna pora.

– Więc mogę jeść ze spokojem.

Bierze kolejny czekoladowy batonik. Przyglądam mu się ukradkiem, kiedy odkładał misę na krzesło.

– Trochę jestem zaskoczona, że tak się wczuwasz w to halloweenowe święto.

Odwraca się w moją stronę, podnosi okulary, jego srebrzyste oczy błyszczą nadnaturalnie w otoczeniu czarnych, prostych rzęs.

– Ty się wczuwasz, więc ja też. – Pochylając się, szepcze mi do ucha: – Chcę, abyś była zadowolona, Miki.

Z powodzeniem imituję Carlę i unoszę łukiem brwi.

– Zachowuj się.

– Nie ma szans.

Wiem. I nawet mi się to podoba. I doceniam, że nigdy nie przekracza granic.

– Skąd u ciebie taka miłość do Halloween? – pyta.

– Jako dziecko uwielbiałam się przebierać. Co roku mama przykładała do Halloween dużą wagę. Rzeźbiłyśmy razem dynie i planowałyśmy mój kostium przez wiele tygodni, a ona kupowała mnóstwo cukierków. Rozdawała je garściami, a nie po jednym czy dwóch.

Pamiętam pierwsze Halloween po śmierci mamy. Nie przebrałam się wtedy. Nie rozdawałam cukierków. A przecież zaledwie kilka tygodni wcześniej stałam koło wielkiego dębu i słuchałam, jak moi przyjaciele omawiają tańce. Czułam się pokonana i złamana, pragnęłam dzielić tę radość. Ale nie byłam w stanie.

Ale teraz znów mogę się cieszyć. Nie wiem dokładnie, co to oznacza.

Jackson pociąga za jedną z klamerek mojej kamizelki.

– Podobają ci się? Nasze kostiumy?

Kiedy on i Luka po raz pierwszy wymyślili, abyśmy w trójkę przebrali się za postaci z gry, byłam niechętna temu pomysłowi. Jackson argumentował, że jedyny kostium, który założę, będzie właśnie taki. Nadal nie byłam przekonana. Potem dołączyły do tego chórkę Amy i Sara i uznałam, że jednak zanosi się na niezłą zabawę.

– Tak. Nie ma sprawy. Poza tym trochę za późno, żeby się wycofać. – Trącam go w ramię. – Dobrze wyglądasz. – Wygląda lepiej niż dobrze. – Skąd masz te buty? – Są czarne, sięgają do kolan i mają dużo klamerek i zatrząsków.

– Zrobiłem je.

Otwiera frontowe drzwi i sięga po coś z werandy, podaje mi. Wzdycham. To druga para butów, takich samych jak jego, a ich rozmiar odpowiada mojemu.

– Zrobiłeś je dla mnie?

– Lepsze niż czekoladki lub róże, prawda?

– Ej, przecież ja dałam ci czekoladkę.

– To się nie liczy. Musiałem siępić na resztkach. A ja ci przecież daję buty.

Śmieję się, obejmuję go i ściskam, zdając sobie sprawę, ile godzin spędził nad tym, aby je zrobić, i że, tak, są dużo lepsze od czekoladek lub róż.

– Skąd wiedziałeś, jaki rozmiar...?

Biorę buty od niego i bliżej się im przyglądam. Opada mi szczęka, gdy zauważam kolor wyściółki i logo wyciśnięte wewnątrz.

– To moje czerwone kalosze – mówię.

– Teraz są czarne.

– Jak?

– Motoryzacyjna farba w spreju. Klamerki wzięłem z pasków, które znalazłem w sklepie z używaną odzieżą.

Potrząsam głową, nie jestem pewna, czy powinnam być pełna podziwu, czy zirytowana.

– Czy musiałeś użyć moich kaloszy?

– W jaki inny sposób miałbym pewność, że będą pasować? – Ma rację.

– Zrobiłeś też parę dla Luki?

– Zrobił sobie sam. Moje są lepsze.

Oczywiście, że tak.

Wsuwam stopy w buty i Jackson wręcza mi jeden z paintballowych daszków. Nakładam go i przeglądam się sobie w lustrze w holu, odbicie Jacksona za mną, po lewej. Dobrze mu w czarnym. Nie widzę jego oczu, ale wiem, że ocenia mnie wzrokiem, a lekkie wygięcie ust wskazuje, że podoba mu się to, co widzi.

– Wyglądasz jak *badass* – mówi. – Chodźmy.

Wsiadamy do jeepa. Zapinam pas bezpieczeństwa, kiedy eksplodują kolory, raniąc oczy, lampy z wydrążonych dyń u sąsiadów są zbyt jaskrawe, lampy uliczne przepalają siatkówki. Chłodne powietrze na skórze razi tysiącem igieł.

Cały świat przechyla się i krzywi wokół mnie, pode mną, siedzenie wylatuje.
Nie, nie, nie. Nie teraz.

– Jackson!

Mój krzyk jest zniekształcony i powolny, jakbym została wciągnięta do filmu w zwolnionym tempie. Sięgam po niego, zajmuje mi to wieki. Moja ręka przecina powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze był. Nie ma go. Już skoczył.

Zdrętwiałymi i niezdarnymi palcami majstruję przy pasie bezpieczeństwa.

Uderzenia pulsu wałą w uszach. Głowa łomocze.

Świat wysuwa się spode mnie, wiruję bez końca.

Odradzam się, siedząc płasko na tyłku. Drzewa. Trawa. Dwa dobrze znane głazy. Poczekalnia. Dostrzegam, że przygotowują się inne drużyny.

– Jackson?

– Tutaj.

Moje serce fika koziołka, kiedy słyszę jego głos. Nie wiedziałam, czy Komitet zostawi nas w tej samej drużynie. Zakładałam, że tak zrobią ze względu na moje nikłe doświadczenie. Z drugiej strony wcale nie musiało tak być, ponieważ dwóch dowódców w jednej drużynie to rozwiązanie, które aż prosi się o kłopoty.

Słyszę chrzęst butów na trawie. Wyciąga do mnie rękę. Chwytam ją, pomaga mi stanąć na nogach. Nosi okulary, daszek paintballowy przypięty do kamizelki. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że swój nadal mam na głowie. Zdejmuję go.

– Czy powinniśmy je ściągnąć? Kamizelki? Zostawić tutaj? – pytam.

Nie jestem pewna, czy uda nam się założyć na nie uprząż i czy nie zagrożą nam w grze. Jackson potrząsa głową.

– Niczego nie możemy tutaj zostawić. Zabieramy je.

Już prawie wychylam się, aby go dotknąć, waham się w ostatniej sekundzie. To nie ten sam Jackson, który przyparł mnie do drzwi, aby ukraść pocałunek. Ten Jackson jest czujny i skoncentrowany, obserwuje każdy kąt, każdy cień.

To jest Jackson z gry. Niedotykalny. Niekwestionowany.

Nie ma sprawy. Ten Jackson wie, jak utrzymać nas przy życiu.

– Nadciągają – oznajmia.

Zajmuje mi sekundę, aby to pojąć. Usłyszał ich – Komitet – ja nie.

– Znowu jesteś dowódcą.

– Rozczarowana?

– Kamień spadł mi z serca. Zadowolona, że nie odbędę kolejnej misji, dźwigając na barkach ciężar życia całej drużyny. – Potrząsam głową. – Nie wiem, jak można kiedykolwiek przyzwyczaić się do odpowiedzialności za czyjeś życie.

– Nie przyzwyczajasz się. – Wyraz jego twarzy jest okrutny, ton kontrolowany. To połączenie wywołuje we mnie dreszcze. – Każdy facet odpowiada za siebie.

– Nie jestem facetem.

– Nie, nie jesteś. Jesteś dziewczyną. Jesteś moją wojowniczką, która skopie wszystkim dupy. Chcę, abyś pilnowała wyłącznie siebie, nikogo innego. Dzisiaj w nocy będzie...

Napinam się. Co? Co on wie? Czego nie chce mi powiedzieć?

Opadają mu kąciki ust.

– Powtórzę to, co powiedziałem, gdy zostałam wyciągnięta po raz pierwszy: przetrwasz to, Miki Jones.

Kiedy pierwszy raz zostałam wyciągnięta, musiał dokonać strasznego wyboru – ja lub Richelle. Nie mógł ocalić nas obu. I choć wmawia mi, żebym nie troszczyła się o innych, to sam zawsze pilnuje każdego członka drużyny.

– Przykro mi – szepczę. – Przykro mi, że musisz być odpowiedzialny. Przykro mi, że...

– Nie przepraszaj. Robię to od dawna, Miki.

Od tak dawna, że rozpaczliwie próbował znaleźć drogę wyjścia. To ja byłam tą drogą, strategią ucieczki, a teraz przeze mnie tkwi w tym na dobre.

– Chodzi o to... Richelle... nie mogłeś ocalić nas obu. Co się stanie, jeśli teraz padnie na Luke? – Jackson sztywnieje. – Lub Tyrone'a?

Lub Lien, lub Kendrę? Czuję mdłości na samą myśl o takiej sytuacji.

Z burknięciem podsuwa okulary i podchodzi na tyle blisko, że widzę każdą z jego rzęs osobno, widzę źrenice, ciemne i rozszerzone, otoczone cienką obwódką w kolorze rtęci.

– Wiem, o czym myślisz. Masz to wypisane na twarzy – mówi niskim i twardym głosem. – Nie myśl o tym. Nie spekuluj na temat swoich i moich wyborów. – Przyciąga mnie do siebie, całuje krótko i mocno. – Znasz zasady. Trzymaj się mnie na tyle blisko, żebym słyszał twój oddech.

– Koniec rozmowy? Tak po prostu?

– Koniec rozmowy.

Lecz to nie jest koniec.

– Jackson, nie chodzi tylko o to. Chodzi o Komitet. Oszukali cię. Oszukali mnie. Ja po prostu nie...

Wyrzucam ręce do góry sfrustrowana, niepewna, co chcę powiedzieć, nie mówiąc nawet o tym, jak powinnam to powiedzieć. Przypominam sobie ten szalony koszmar, w którym Lizzie ostrzegała: „Nie ufaj im. Są jak trucizna”. Mówiła o Drau – przynajmniej tak zakładałam. A jeśli miała na myśli Komitet? Wiem, że nie powinnam nawet dopuszczać do siebie takiej myśli, ale przez sekundę wydaje mi się to całkiem możliwe.

– A jeśli oni nie są tymi dobrymi? – szepczę.

– Tu nie ma żadnego „a jeśli”. Nie są. Ale nie w taki sposób, jak myślisz. – Pociera mój policzek kciukiem. – Miki, być może nie są grzeczni i łagodni – mówi

Jackson – ale są po właściwej stronie. To Drau są powodem do zmartwienia.

– Wiem. Chodzi o to... ostatni raz, gdy ich spotkałam, grozili, że cię zabiją. Lub mnie. – Wzdycham i kładę rękę na jego ramieniu. – Przepraszam, Jackson. Przepraszam, że twoja droga wyjścia się skończyła – wskazuję niejasno na poczekalnię – w ten sposób.

Robi dziwną minę. Żal? Być może.

– Co się dzieje? – pytam. – Dlaczego jesteś niezadowolony? O czym mi nie mówisz? – Ogarnia mnie upiorny chłód. – Powiedz mi.

Pociera dłonią delikatny zarost na szczęce.

– Dokładnie wiedziałem, co robię, gdy oznajmiłem Komitetowi, że zostaję. Chcesz poznać prawdę, Miki? Podam ci ją prosto z mostu, tak abyś już więcej nie zawracała sobie tym głowy. Wiedziałem, o co się proszę. Jakaś część mnie tego pragnie. Bardzo. – Jego palce wplatają się w moje włosy i mówi bardzo cicho: – Jakaś część mnie to lubi.

Sposób, w jaki to mówi, wywołuje we mnie dreszcze. Ponieważ mówi prawdę. Czuję to instynktownie. Lubi walkę, przyływ adrenaliny. Może nawet to kocha. Ale istnieje jeszcze inna prawda, którą ukrywa, i nie wiem, co to jest ani dlaczego. Naciskam więc mocniej.

– I...?

Puszcza mnie, cofa się o krok.

– Dla wyjaśnienia, wyliczę kilka punktów. Pierwszy: zaciągnąłem się z pełną świadomością. Drugi: jeżeli jestem w grze, to dowodzę, a nie podlegam. – Srebro w jego oczach wiruje i ciemnieje do sztormowej szarości. – Trzeci i najważniejszy: ty jesteś w grze, Miki, będę przy tobie, będę pilnował twoich pleców. Koniec dyskusji. Już nie będziemy na ten temat rozmawiać.

Wierzę w każde jego słowo. Lecz również wiem, że coś przemilcza. Znowu to robi. Coś ukrywa.

– To właśnie jest Jackson, którego kocham. Humorzasty, władczy, pewny siebie...

– ...duppek – kończy za mnie.

Unoszę podbródek. Wytrzymuję jego wzrok mimo bliskości. Prawie stykamy się nosami. Między nami panuje wyczuwalne napięcie.

– Ty. Nie jesteś. Moim. Władcą. – Celowo rozdzielam wyrazy i macham w powietrzu wskazującym palcem, aby podkreślić wypowiedź w słowach i czynach.

Przygląda mi się. Mruga. Obnaża białe, białe zęby. Uśmiech nie jest miły: ani ciepły, ani przyjazny. Mroczny. Dziki.

Pociągający.

– Czasem – mówi łagodnie – myślę, że to ty jesteś moim władcą.

Rozpływam się wewnątrz. Jak to się stało, że Miki, dziewczyna, która nigdy

w życiu nie straciłaby głowy dla takiego chłopaka jak Jackson Tate, w rezultacie traci dla niego głowę?

Być może dlatego, że nie ma innych takich chłopaków. Jest tylko on.

– Akurat – odpowiadam równie łagodnie.

Obracam się, gdy słyszę stłumiony kaszel. Na drugim krańcu polany jest Luka, ręce trzyma w kieszeniach spodni. Nie wiem, od jak dawna tam stoi. Nie wiem, co słyszał z naszej rozmowy. I nie sędzę, żebym chciała to wiedzieć.

Jackson zsuwa okulary i zasłania oczy.

Czy Luka zdążył je zobaczyć po przybyciu do poczekalni? Staram się odtworzyć w myślach, jak wtedy wszyscy staliśmy, jak przebiegała linia wzroku. Jeżeli nawet coś dostrzegł, to tego nie komentuje.

– Poważnie? – pyta, podchodząc do nas. Ma na sobie strój bardzo podobny do Jacksona i mojego, daszek paintballowy zepchnięty na czubek głowy. – Czy my naprawdę będziemy to robić dzisiaj w nocy? Kiedy mam nie jedną, a dwie atrakcyjne i trochę podchmielone damy czekające na mnie w samochodzie?

– Trochę podchmielone? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Wygląda na to, że brat Sary dostarczył jej i Amy kilka butelek piwa.

Przyglądam się jego twarzy, martwię się, że stanie do walki w nienajlepszej formie.

– Czy ty też jesteś lekko podpity?

Rozluźnienie znika z jego twarzy.

– Nie piję, gdy prowadzę.

Kiwam głową.

– Przepraszam.

Trąca mnie ramieniem na zgodę.

– Należy nam się misja – mówi Jackson. – Minęły tygodnie, odkąd nas wyciągnięto. Równie dobrze może być dzisiaj.

Lub każdej innej nocy. Lub żadnej innej nocy? Już nigdy.

– Zrobmy to – mówi Luka, spoglądając najpierw na Jacksona, potem na mnie, zanim odpina swój paintballowy daszek i przyczepia go do kamizelki. – Nie najlepszy strój do polowania na obcych.

– Radź sobie – mówi Jackson i rzuca mi uprząż.

Tyrone pojawia się kilka sekund później.

– Cześć – Jackson kiwa do niego głową, a Tyrone odpowiada mu tym samym.

– Co jest grane?

– Jak leci? – pytaniem odpowiada Jackson.

– Dobrze. – Tyrone podbródkiem wskazuje Jacksona. – A tobie?

– Też.

Ta rozwlekła konwersacja upewnia mnie, że zwyczajnie cieszą się, że się widzą. Kocham tych chłopaków.

Pamiętam jednak Tyrone'a z czasów, zanim zginęła Richelle. Drażniła się z nim, że jest zbyt gadatliwy i spowalnia drużynę. Zmienił się.

Chyba wszyscy się zmieniliśmy.

– Zanim się tutaj pojawią, muszę coś zasygnalizować. – Tyrone szybko obrzuca spojrzeniem poczekalnię. – Mamy jednego lub dwóch.

– Dwóch? – pytam.

– Problematycznych graczy – mówi Tyrone.

– Kendra jest mocno przestraszona – zgadzam się. – Zdecydowanie się boi. Nie sądzę jednak, że stanowi problem. Zrobiła, co do niej należy w dwóch ostatnich misjach.

– Więcej, niż należało – potwierdza Tyrone.

Dlaczego odnoszę wrażenie, że mówi to z odcieniem negatywnym? Że przekazuje w zaufaniu Jacksonowi jakąś informację, ale nie mnie?

– Tyrone, czy ty masz jakieś wątpliwości w stosunku do mnie?

– Nie, Miki. – Wyras jego twarzy łagodnieje. – Czuję do ciebie wyłącznie szacunek. Wykazałaś się w naprawdę trudnych chwilach. Trochę niepokoję się o nie.

– One to Kendra i Lien? – Kiedy nie odpowiada, zwracam się do Luki. – A ty? Coś ci się nie podoba?

– Nie. – Luka wzrusza ramionami. – W sumie uważam, że Lien jest interesująca. Ale nie jestem przekonany, czy któregoś z nich powierzyłbym swoje życie.

Rozdział dziewiętnasty

Nadchodzą – mówi Jackson.

Jego postawa jest ostrożna i czujna. To uzasadnione. Nie zna nowych członków drużyny i nie jest osobą, która komukolwiek zaufa bez osobistego poznania. Szczególnie po tym, kiedy Tyrone wyraził swoje obawy.

Kendra ma na sobie czerwone tenisówki, dżinsowe szorty, żółtą koszulkę i czerwone szelki. Jasne włosy przefarbowała na jaskrawy pomarańcz, wyprostowała je i spięła w koński ogon po jednej stronie. Lien ma dżinsy i niebieskie tenisówki, czarny podkoszulek, niebieską koszulkę do kręgli z krótkimi białymi rękawami i białym kołnierzykiem, czerwoną czapkę z daszkiem i zielone rękawiczki bez palców. Do szlufki jej paska jest przypięta siatkowa czarna torebka z czerwono-białą piłeczką.

– Fajne kostiumy. Misty i Ash? – pytam Lien.

– *Pokemon* rządzi. – Obdarza mnie uśmiechem, co nieczęsto jej się zdarza.

– Jesteśmy cosplayerkami – dodaje Kendra. – Zrobiliśmy te kostiumy na Anime Expo w zeszłym roku.

– Pojechałyście tam razem?

– Tak.

Jestem zaskoczona. Oczywiście ludzie z gry znają się również poza grą, tak jak Jackson, Luka i ja. Jestem zdziwiona, że dowiaduję się o tym dopiero teraz, po trzeciej wspólnej misji. Moje spojrzenie krzyżuje się ze wzrokiem Kendry. Obserwuje mnie, kiedy ja obserwuję je obie. Nie wiem, co sobie myśli.

– Spotkałyście się w grze? Czy też znałyście się, zanim zostałyście wyciągnięte? – pytam w tym samym czasie, gdy Luka mówi: – Pikachu, wybieram ciebie. – Puszczą oko do Lien, udając rzut znad głowy.

– Pikachu? Chyba raczej Charizard – mówi Lien, pociągając nosem, i nie odpowiada na moje pytanie.

– Racja. Jaszczur plujący ogniem z negatywnym nastawieniem? – Luka unosi brwi. – Pasuje do ciebie.

Lien posyła mu mroczne spojrzenie. Luka odwzajemnia się tym samym i wydaje się być... zainteresowany. O rany. Jestem aż taka tępa? On i ja musimy uciąć sobie pogawędkę.

– Czy naprawdę będziemy dyskutować o pokemonach? – pyta z obrzydzeniem Tyrone.

– Nie prowadzimy tutaj rozmów – ucina Jackson. – To nie spotkanie towarzyskie. Nie nawiązujemy tutaj przyjaźni.

– Ćwiczyłeś to przemówienie? – pytam. – Bardzo przypomina to, które wygłosiłeś, gdy zostałam pierwszy raz wyciągnięta.

– A ty, do diabła, kim jesteś? – pyta Lien.

Sądząc po wyrazie twarzy jej i Kendry, czeka nas interesujący rozwój sytuacji. Jackson, co dla niego typowe, nie jest przyjazny.

– Jackson Tate – przedstawia się.

– Lien. A to Kendra. – Jest ledwo, ledwo grzeczna.

– Wiem.

Luka pytająco unosi brwi. Później mu opowiem o tym, jak Komitet przekazuje informacje do głowy Jacksona. Mam już dosyć zasady, że nie rozmawiamy o grze poza grą. Jestem święcie przekonana, że wiedza to siła, im więcej wiemy, tym lepiej wykonujemy swoją pracę.

– Przygotować się – rozkazuje Jackson.

Aż cofam się, gdy widzę wojowniczą minę Lien. Nie jest dobrze.

– Jakim prawem... – Kendra krzyżuje ręce na piersi, wysuwa biodro.

Jackson raptem wyskakuje tuż przed nią, choć nawet nie zauważyłam, aby się ruszył. Lien próbuje stanąć między nimi, ale Jackson zręcznie ją omija.

– Moja drużyna. Moje zasady – ucina. – To nie jest demokracja. Słuchacie się mnie. Robicie to, co każę, a wtedy wyprowadzę was stamtąd żywe.

Lien szybko rzuca okiem na nóż przymocowany do uda Jacksona. Jej twarz wyraża bunt, ale to Kendra mu odpowiada.

– Kto umarł i zrobił cię królem? Miki nadal żyje i ciągle jest w grze. A to znaczy, że nadal jest dowódcą. Jesteś tym nowym chłopakiem. Nie możesz tak po prostu tu wparować i przejąć władzę, zachowując się jak macho.

Potem Kendra przechodzi, staje obok mnie, ramię w ramię. Tyrone cicho gwizdże.

– Bunt. – Krzyżuje ramiona i ustawia się tak, że jego tyłek i podeszwa jednego buta opierają się o większy z dwóch gładów. – Kurtyna w górę.

Lien obdarza go nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Chyba cię nie lubię – mówi do Jacksona.

Jednocześnie ustawia się po mojej drugiej stronie. Jestem lekko zaskoczona tym pokazem solidarności. Ani ona, ani Kendra jak dotąd nie były moimi największymi fankami.

– Nie musisz mnie lubić – rzuca Jackson. – Masz słuchać moich rozkazów.

Lien, tuż obok mnie, spina się. Czy istnieje jakiś inny chłopak z równie wielkim talentem do antagonizowania ludzi?

– Prawdę mówiąc – wtrącam, bo sytuacja coraz bardziej przypomina topnienie rdzenia reaktora nuklearnego – Jackson jest dowódcą naszej słodkiej małej grupki. Ja tylko zastępowałam go w czasie ostatnich dwóch misji. Teraz wrócił. I wiercie mi, ma znacznie większe doświadczenie niż ja.

– Taa? – Lien przysuwa się tuż do jego twarzy. Jacksonowi nawet nie drgnie mięsień. – Jak duże doświadczenie?

– Pięć lat.

Lien opada szczęka, Kendra wzdycha.

– Nigdy nie... – Lien zamyka buzię i potrząsa głową. – Pięć lat? Słyszałam, że najdłuższy okres to dwa lata. Pięć lat i nadal nie zdobyłeś tysiąca punktów. Musisz być do niczego.

Tysiąc. Magiczna liczba punktów, która gwarantuje wyjście z gry. Zgodnie z naszymi ostatnimi wynikami każdy z nas ma długą drogę do tego celu. I nikt z nas nie spotkał jeszcze nikogo, kto osiągnął tysiąc i wyszedł z gry. Kiedy zapytałam Komitet o tę pogłoskę: „zdobądź tysiąc punktów i jesteś wolny”, nie otrzymałam jasnej odpowiedzi. Kręcili się wokół, podkreślając, że nikt na tej planecie nigdy nie będzie wolny, dopóki nie pozbedziemy się Drau.

Patrzę na Jacksona. Z punktu widzenia dowódców tysiąc nie ma znaczenia. Jedyne wyjście to znalezienie następcy, a tę opcję i ja, i Jackson już straciliśmy. Utknęliśmy w grze na całe życie, zawarliśmy z nią małżeństwo, dopóki śmierć nas nie rozłączy – czyli albo Drau będą martwi, albo my.

– Zostaw to na później – mówi Jackson do Lien, jego ton jest twardszy niż kiedykolwiek przedtem. – Zachowaj tę złość na Drau. – Na chwilę przerywa i ciągnie dalej. – Oto moja strategia. Zastosujcie ją, a przeżyjecie. Każdy odpowiada za siebie. Pilnujcie własnego tyłka. Twój kom zabarwi się na pomarańczowo? Wycofujecie się do linii obrony. Żadnego bohaterstwa. Żadnych głupot. Zrozumiano?

– To nie ma sensu. Jesteśmy drużyną – mówi Kendra, rzucając mi ostrożne spojrzenie, podczas gdy razem z Lien wciągają uprzęż i się zbroją. – O co ci chodzi, że każdy dba o siebie?

– Jesteś jakimś dupkiem – rzuca Lien w tym samym czasie.

– Nie jakimś. – Tyrone chichocze. – Dupkiem doskonałym.

– Świetny sposób na zdobycie przyjaciół, Jack. – Luka poklepuje Jacksona po ramieniu.

Wszystko to brzmi znajomo. Jackson powiedział wiele z tych rzeczy, kiedy pierwszy raz zostałam wyciągnięta. Wtedy nic z tego nie pojęłam. Nie rozumiałam go. Teraz rozumiem. Chce, aby każdy z nas był samolubny, pilnował własnego, a nie cudzych tyłków, w tym czasie on będzie zupełnie niesamolubny, będzie nas wszystkich chronił, nie oczekując, że ktoś ochroni jego.

Rozważam, czy nie wyjaśnić tego Lien i Kendrze, ale się rozmyślam. Nawet jeśli mi uwierzą, a wcale nie mam pewności co do tego, to Jackson wszystkiemu zaprzeczy. Po co tracić oddech? Same wkrótce się przekonają.

Zamiast tego wyjaśniam jego strategię, ponieważ uważam, że jeśli ją zrozumieją, to będą w jej myśl postępować. A to może okazać się pomocne w przyszłości.

– Zdaniem Jacksona, jeśli próbujecie uważać na kogoś innego, to się dekoncentrujecie. W efekcie obie możecie zginąć.

– Nie jest to odosobnione zdanie – mówi Tyrone, jego wzrok nieruchomieje na mnie, kiedy osiągamy wzajemne porozumienie.

Richelle zginęła, bo pilnowała Tyrone’a. Przynajmniej w to wierzy Tyrone. Sądzi, że to była jego wina.

– Punktacja – oznajmia Jackson.

Kendra łapie moje spojrzenie i głową pokazuje Jacksona.

– O co chodzi z tymi okularami?

– Wydaje mu się, że jest odjazdowy. – Uśmiecham się leciutko, mimo że ponoszą mnie nerwy.

Tyrone i Luka wybuchają śmiechem.

– Nie rozumiem dowcipu. – Lien nadal jest opryskliwa i bezczelna, negatywnie nastawiona.

– Zrozumiesz. Cierpliwości, koniku polny – mówi Luka z prowokującym uśmiechem.

Lien wali go w bark. Z całej siły. Podchodzi blisko do Kendry i bierze ją za rękę. Wymieniają spojrzenia, których nie potrafię rozczytać, a kiedy Lien spogląda na mnie i widzi, że je obserwuję, wyraz jej twarzy staje się obojętny.

Potem wszyscy obracamy się twarzą do ekranu wiszącego nad środkiem polany. Pojawia się trójwymiarowy cyfrowy Jackson, zupełnie jak z gry wideo. Ma na sobie te same ciuchy, które nosił w Detroit. Mam wrażenie, że to migawka z ostatnich sekund jego ostatniej misji. Krzywię się, kiedy patrzę na to zdjęcie. Leży na plecach, twarz biała jak kreda. Jego oczy zamknięte.

Emocje, które wtedy czułam – bezsilność, desperacja, pólszaleństwo – wracają. Tępię je, nie pozwalam, aby uwolniły się z łańcuchów. Muszę zachować spokój. Muszę się skupić. Jeden błąd może kosztować życia i mimo mantry Jacksona, dbam nie tylko o siebie. Będę pilnować każdego w drużynie. Wrócimy wszyscy razem.

Zdjęcie Jacksona wiruje wokół osi i ląduje w górnym lewym rogu ekranu.

Luka jest następny. Ma na obrazie te same rzeczy, które nosił w czasie ostatniej misji. Klęczy na jednym kolanie, pochyla się nad czymś, jego ręce brudne od krwi. Domyślam się, że to moja krew ponieważ jasno widać moje ramię i kom, prawie cały czerwony.

– Zapomniałaś mi o czymś powiedzieć? – pyta Jackson tuż przy moim uchu, jego głos jest niski i surowy. Wyraźny znak, że jest wyjątkowo wkurzony.

– Nic mi nie jest – mruczę.

– Ale niewiele brakowało.

Co mam na to odpowiedzieć?

Zdjęcie Luki skacze i skacze, i zastyga w lewym górnym rogu, strącając o jeden poziom Jacksona. Następny jest Tyrone. Biegnie, twarz skupiona, pełna koncentracja. Zdjęcie przesuwa się do góry i w bok, potem wskakuje pod Lukę, ale

ponad Jacksona. Kolejna jest Kendra. Formuje się czarna ramka, w którą migotliwie wsuwa się jej obraz. Oczy ma zamknięte, buzię wykrzywioną, ramiona uniesione ponad głową, czarna maź z jej broni przesłania połowę zdjęcia. Dziwne ujęcie. Nie pierwszy raz zastanawiam się, skąd Komitet bierze te zdjęcia i jak tworzy te obrazy. Potem pojawia się Lien. Wycofuje się, jakby miała strzelić, ale w końcu nie robi tego.

Moje zdjęcie sprawia, że Jackson syczy przez zęby. Jestem na ziemi, mam na sobie sportowy stanik, wszędzie krew. Wspaniale. Podnoszę głowę i zerkam na niego, zanim ponownie przenoszę wzrok na ekran.

Pojawiają się dwa rzędy liczb.

– Co z twoją punktacją? – pyta Lien. – Wiem, że straciłaś punkty, bo byłaś ranna, ale...

Biegnę wzrokiem na koniec listy. Moje zdjęcie jest na przedostatniej pozycji. Ostatnie jest Jacksona. Nasze wyniki pokazują zero.

– Zostaliśmy zresetowani – mówi Jackson.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – dziwi się Luka, a Lien żąda wyjaśnień: – Co to znaczy?

– Dowództwo w sytuacji beznadziejnej – odpowiada Jackson głosem jednoznacznie wskazującym, że dyskusja na ten temat została zamknięta.

Tyrone ściska moje ramię. Kendra przestępuje z nogi na nogę, obejmuje się, dłonie przesuwają po ramionach w dół i w górę, dopóki Lien jej nie uspokaja. Nikt już nic więcej nie mówi. Jak Jacksonowi się to udaje?

– Skaczymy za trzydzieści sekund – oznajmia Jackson.

– Jeśli on jest dowódcą, to dlaczego ty masz miecz? – pyta Kendra, wskazując na moją broń.

Podążam wzrokiem za jej palcem i widzę swój miecz kendo starannie ułożony koło pudełka z bronią. Rzucam okiem na Jacksona. Wzrusza ramionami.

Nie powinno go tu być. Tylko dowódca może posiadać dodatkową broń. Jackson ma czarny nóż z długim ostrzem przymocowany do uda. Przeszedł szkolenie w zakresie technik walki w Fort Worth i stosuje tę wiedzę w grze.

– Weź go – mówi Jackson, podnosząc miecz.

Rzuca go w moją stronę. Łapię miecz w powietrzu i odliczam w myślach sekundy pozostałe do skoku. Tyrone pomaga mi umocować broń na plecach, rękojeść równo pomiędzy łopatkami, idealna pozycja, aby sięgnąć do tyłu i chwycić.

Kiedy się obracam, moją uwagę przyciąga ekran. Przyglądam się punktacji. Kendra jest teraz druga od góry. To znaczy, że jej skumulowany wynik jest drugim najwyższym. Marszczę czoło, próbując sobie przypomnieć, jak przedstawiała się punktacja przed naszą ostatnią misją, zanim odrodziliśmy się w windzie. Byłam tak zaabsorbowana Jacksonem, znalezieniem go, ocaleniem, że w ogóle nie zwracałam

na to uwagi. Czy Kendra była wtedy również tak blisko szczytu? Z jakiegoś powodu jestem przekonana, że najwyżej znajdował się Tyrone, potem Luka, potem Lien i wreszcie Kendra. Więc albo się mylę, albo zdobyła tony punktów w tylko jednej misji.

Luka wydaje dziwny odgłos. Zerkam na niego. Uważnie przygląda się Kendrze, ale nic nie można z tego spojrzenia wyczytać. Żołądek mi się skręca. Coś jest nie tak. Dzieje się coś złego.

A potem wykonujemy skok i wywracam się z wewnątrz na zewnątrz.

Rozdział dwudziesty

Materializujemy się w szerokim korytarzu. Po jednej stronie stoi rząd beżowych szafek. Wielka szafa ze szklanym frontem, pełna zdjęć, trofeów i plaketek, zajmuje przeciwną ścianę. Tematy sportowe. Jesteśmy w szkole średniej. Spoglądam na nazwę, ale nie rozpoznaję jej.

Spodziewam się jakiegoś wewnętrznego sygnału, że w pobliżu są Drau, ale nic się nie dzieje. Wygląda na to, że spóźniają się na przyjęcie.

Dobiegają mnie dźwięki gitary basowej. Odbywają się tańce, niezbyt niedaleko. Patrzę na Jacksona.

– Nie jest dobrze. W pobliżu są cywile.

– Cywile? – pyta Luka, jego brwi unoszą się ku górze. – Kim jesteśmy? Siłami specjalnymi?

Lien prycha.

– Vegas – odpowiada Jackson.

W typowy dla siebie lakoniczny sposób przypomina, że już byliśmy w takiej sytuacji. Kiedy szliśmy za Drau w Vegas, znaleźliśmy ich w magazynie w bardzo zaludnionej części miasta. Pamiętam, gdy biegłam zatłoczoną ulicą, ludzie rozdzielali się, aby nas przepuścić, bo choć nas nie widzieli, wyczuwali nas.

Pamięć o tym trochę łagodzi moje poddenerwowanie.

– Więc kiedy kogoś spotkamy, to nas nie zobaczy, prawda?

– Jak dotąd zawsze tak było – mówi Tyrone.

Nie rozprasza wszystkich moich obaw, ale lepszego wyjaśnienia na razie nie otrzymam. Jestem więcej niż ciekawa, jak to wszystko działa. Inny wymiar? Inna płaszczyzna rzeczywistości? Może uda mi się coś wyciągnąć z Komitetu, kiedy następnym razem się z nimi spotkam.

No to szczęścia.

Spoglądam na Jacksona w oczekiwaniu na jego potwierdzenie. Nic więcej nie mówi, co nie jest znowu takie niezwykle w trakcie misji. Dlaczego więc jego milczenie budzi we mnie niepokój?

Lien i Kendra trzymają się z tyłu, blisko siebie, ich ramiona stykają się, dłonie na walcach. Idea jednej wielkiej rodziny, którą zamierzałam zrealizować w czasie ostatniej misji, okazała się fiaskiem.

Nagle Jackson przykłada palec do ust, potem prawą dłoń kreśli poprzeczny ruch na gardle. Nie muszę znać gier w stylu militarnym, aby właściwie odczytać ten gest: niebezpieczeństwo. Drau są w pobliżu. Wyczuwa ich.

Ja również.

Zawsze wyczuwam ich obecność, widocznie jakaś prymitywna część mojej duszy reaguje na zagrożenie. Puls przyspiesza.

Wróg.

Wszyscy to czujemy. Pamięć genetyczna. Instynkt. Pragnienie, aby uciec Drau, jest wpisane w nasze DNA.

Ale my nie uciekamy. Wychodzimy im naprzeciw, przełykając obawę i strach, które kłębią się wewnątrz. Przeraza mnie, że polem bitwy jest szkoła średnia, gdzie nieświadome niczego dzieciaki tańczą gdzieś w pobliżu. Samolubna część mnie jest wdzięczna, że to nie jest moja szkoła.

Jackson puka w swój kom. Sprawdzam swój. Cały zielony. Innych też. W jego komie wbudowane są monitoring życia, mapa i poruszające się trójkąty. To oznacza, że Komitet chce, abyśmy trzymali się razem pod dowództwem Jacksona.

Walce wyciągnięte, przemieszczamy się korytarzem w kolumnie. Jackson sygnalizuje postój i wraz z Luką sprawdzają drzwi. Zamknięte. Idziemy dalej. Coś jest nie tak. Czuję alarm nie tylko z powodu Drau. Chodzi jeszcze o coś innego. Coś, czego nigdy wcześniej nie wyczuwałam.

Łapię spojrzenie Tyrone'a. Lekko wzrusza ramionami i mam wrażenie, że też odbiera te dziwne vibracje.

Koncentruję się na tym. Roztrząsam ten problem. Nie mogę rozgryźć, co nie daje mi spokoju. Nie czuję się sobą, jakbym nie odrodziła się w pełni, jakby moje cząsteczki nie były zsynchronizowane. Przypomina mi się awaria transportera z jednego ze starych odcinków *Star Treka*. „Zabierz mnie stąd, Scotty!”. To wspomnienie sprawia, że zupełnie nieodpowiednio do sytuacji mam ochotę wybuchnąć śmiechem. Jestem ciasno zwiniętym kłębkim nerwów i wystarczy lekko przekręcić śrubę, abym pękła.

Jackson i Luka sprawdzają inne drzwi. Nic. Idziemy dalej korytarzem, Lien i Kendra trzymają się z tyłu. Wszystkie drzwi, które mijamy, są zamknięte. Pokoje za drzwiami są ciemne. Z każdym krokiem muzyka staje się głośniejsza.

Skrećam za róg i dopadają mnie ostre zawroty głowy, niemal uginają się pode mną kolana. Opieram rękę o ścianę i zamykam oczy. Nic nie pomaga. Nadal mam wrażenie, że wszystko wiruje lub że to ja wiruję. Mocniej opieram się o ścianę, koncentrując się na chropowatej fakturze cegły pod palcami. Kiedy otwieram oczy, widzę, że to, co dopadło mnie, dopadło również innych. Chyba za wyjątkiem Jacksona. Zresztą trudno powiedzieć. Zawsze ma minę twardziela.

Robię krok do przodu, dłoń płasko na ścianie dla równowagi przeslizguje się z cegły na chłodne metalowe szafki.

Zaraz... te szafki mają inny kolor. Były beżowe. Teraz są ciemnoniebieskie.

Zmiana koloru nie powinna mnie martwić, ale martwi.

Mój żołądek fika małego dziwnego koziołka.

Rzucam kolejne spojrzenie w kierunku Jacksona. Szczękę ma ściśniętą, jest skupiony. Mimo że nie widzę jego oczu za okularami, wiem, że rozpoznaje otoczenie, zawsze czujny. Cokolwiek to jest, co wytrąca mnie z równowagi, on również wyczuwa.

Lub... może już wie, co to jest. Czy Komitet ostrzegł go, zasygnalizował, czego oczekiwać? Jeżeli tak, to dlaczego mi nie powiedział?

Jackson wskazuje na Lukę i Tyrone'a. Wysuwają się do przodu, sprawdzają kilka następnych drzwi, podążamy za nimi.

Muzyka jest teraz głośniejsza, znacznie bliższa. Słyszę głosy i śmiech. Ludzie. Taniec. Audytorium. Tylko jeszcze kawałek korytarzem i w lewo.

Skąd to wiem?

Zamykam oczy, nie chcąc przyznać się sama przed sobą, do jakich doszłam wniosków. Dokładnie wiem, gdzie odbywają się tańce, bo przecież byłam w tym audytorium setki razy, przemierzam te korytarze prawie codziennie.

Nie jesteśmy w szkole, w której się odrodziliśmy. Jesteśmy w Glenbrook. Drau są w Glenbrook. Na mojej zabawie. Z moimi przyjaciółmi. Ludźmi, których kocham. Nie powinni tutaj być. To istota gry. Trzymać ich z daleka.

Czuję ciarki na całej skórze i ogładam się za siebie pewna, że znajdę tam Drau, tuzin Drau, setki. Ale widzę jedynie Kendrę i Lien.

Potrząsam głową i ponownie się obracam, gotowa do sprintu. Jackson chwyta mnie za ramię i zatrzymuje, gdy chcę zrobić krok do przodu.

Wzdycham. Nie mam pojęcia, co sobie myślałam. Że ot tak pobiegnę na zabawę, broń gotowa i pałaca, miecz kendo wyciągnięty? Reflektuję się, trzymam się faktów, które mówią, że choć moja szkoła jest miejscem zrztu, to moi przyjaciele i nauczyciele są przecież bezpieczni. Niby tu jesteśmy, ale tak naprawdę to nas tu nie ma. Tak samo Drau. Miniemy gromady ludzi, lecz nas nie zobaczą. Nie będą celem Drau. Podobnie jak ludzie, których mijaliśmy w Vegas. Napięcie, które zwinęło w węzły moje mięśnie, lekko puszcza.

– Luka – mówi Jackson, nie przejmując się już zachowywaniem ciszy. – Sprawdź tańce.

– Oni wiedzą, że tu jesteśmy?

– Tak jak my wiemy, że oni są tutaj. – Jackson łapie daszek od paintballa przymocowany do kamizelki Luki. – Zostaw to.

Luka wykręca rękę dłonią do góry w geście: „co się dzieje?”. Jackson wskazuje głową w kierunku Tyrone'a i mówi:

– Tyrone może go potrzebować. Zasada: tylko dla uczniów.

Zasada, którą wprowadziła pani Smith, mówi, że tylko uczniowie Glenbrook mogą uczestniczyć w zabawie. Kendra i Lien prawdopodobnie przejdą dzięki swoim kostiumom. Wejścia pilnują dzieciaki, nie nauczyciele. Nikt nie sprawdza legitymacji. Ale Tyrone nosi zwykłe ubranie i wygląda na starszego niż szkoła średnia. Na pewno by go zatrzymali przy drzwiach.

Bierze daszek i zakłada go, na razie na czubek głowy. Trudno to nazwać przebraniem, ale lepsze to niż nic. Potem do mnie dociera: po co mu kostium? Nikt go przecież nie zobaczy. Żadnego z nas.

– Nie musi mieć przebrania – podkreślam. – Jest tak samo jak w Vegas, prawda? Wszyscy płyniemy przez tłum. – Niewidzialni. Niezauważeni. W alternatywnej scenerii Glenbrook High. – Niepotrzebny mu kostium – powtarzam niskim, pełnym napięcia głosem.

Jackson zaciska usta, gdy sięga do kabury Luki i przekłada jego broń do jednej ze swoich przepastnych kieszeni z przodu kamizelki, którą ma na sobie.

– Idź – mówi Jackson. A potem do mnie: – Jest potrzebny.

Zostajemy w tyle i patrzymy, jak Luka zamaszyście zmierza do drzwi audytorium. Maylene George zasiada przy stoliku z biletami, wraz z Kathy i Marcy. Obserwuję Marcy i zastanawiam się, czy ona wie, czy jest jedną z nich. Liczę, że Luka minie je niewidoczny. Jak w Vegas.

Ale tak się nie dzieje.

Prawdę mówiąc, to wcale nie oczekuję, że tak będzie. Już nie. Wyczuwam zmianę. Stało się coś bardzo, bardzo złego.

Maylene unosi głowę i uśmiecha się, gdy on podchodzi.

– Cześć, Luka. Myślałam, że przyjdiesz z Sarą i Amy.

Maylene widzi Lukę. Wie, że on tu jest. To znaczy, że jest w tej samej rzeczywistości co ona.

I Drau.

Nie są w miejscu równoległym, w którym ci poza grą nie ucierpią. Są tutaj. Naprawdę tutaj.

Teraz.

Dźgam palcami ramię Jacksona. Mam zawroty głowy, czuję się chora, złość i zagubienie zamulają mi myśli i jestem gotowa zwymiotować. Patrzę na znajome ściany, góra pomalowana na biało, dwie trzecie od dołu na beżowo. Patrzę na prostokątne lampy fluorescencyjne. Na kasetony na suficie. Rzędy szafek pod ścianami.

To moja szkoła, a oni w niej są. W moim świecie. W moim prawdziwym świecie. Granice padły.

Drau się przedarli.

Przerażenie ma smak popiołu, wytrawny i suchy. Robię krok do przodu. Jackson chwyta moją rękę, powstrzymuje mnie. Ciągnę. On ciągnie z powrotem. Zdrowy rozsądek bierze górę i ustępuję.

Luka objaśnia coś Maylene, że Sara i Amy są już w drodze. Wręcza pieniądze i Kathy podaje mu bilet, jej palce muskają jego, gdy patrzy na niego spod rzęs. On albo nie zauważa jej spojrzenia, albo nie zwraca na nie uwagi. Rusza w kierunku tańczących.

Sekundy mijają. Dziesięć. Trzydzieści. Dziewięćdziesiąt.

Wtem Luka pojawia się koło drzwi audytorium i daje sygnał. Nie ma Drau. Jeszcze nie ma.

Moje serce wali tak głośno, że nic innego nie słyszę. Chwilę mi zajmuje, żeby się zorientować, że Jackson rozmawia z Tyrone'em.

– ...zasada, że mogą tylko uczniowie. Nie chcę ryzykować i zwracać uwagi. Idź naokoło. Znajdź tylne drzwi. Otworzę je od wewnątrz. Bądź ostrożny, nie spiesz się i nie podejmuj żadnego ryzyka.

– Nie spiesz się? To może nas kosztować dodatkowe punkty za czas – żartuje Lien.

Chodzi o bonus za wykonanie misji z prędkością nadświetlną. Zaczyna się od potrojenia punktów i stopniowo spada o pół punktu. Istnieje mnóstwo możliwości zdobycia dodatkowych punktów w grze. Za uderzenie z ukrycia. Za wielokrotne uderzenie. Za strzał w głowę. Tyrone wyjaśnił mi wszystko, gdy pierwszy raz zostałam wyciągnięta. Rzadko jednak myślę o punktach i punktacji, a w ferworze walki nigdy o nich nie pamiętam. Myślę tylko o tym, aby wyjść z niej żywa.

– Mówisz poważnie? – pytam, całe moje ciało wibruje napięciem. – Rozumiem, że chcesz zdobywać punkty, dojść do tysiąca i wyjść z gry. Lecz mówienie o punktach, gdy wokół są ludzie, prawdziwi ludzie, moi przyjaciele...

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, zaskoczona. Nie rozumie. Nie wie.

I nagle już wie. Widzę w niej zmianę w tej sekundzie, w której to do niej dociera. Wznosi obie ręce przed sobą, jakby mnie odpychała. Jej twarz odzwierciedla moją troskę i zaniepokojenie. Nie zna moich przyjaciół, ale rozumie konsekwencje: jeśli Drau mogą wdrzeć się do mojego rzeczywistego świata, to mogą i do jej.

– Przepraszam. Między nami już okej? – pyta.

– W porządku. – Kiwam głową, zdaję sobie sprawę, że jestem bliska kresu wytrzymałości.

Kendra jest zdumiewająco cicha, trzyma się parę metrów z tyłu, blada, drżąca, jakby skulona w sobie. Niedobrze. Obawiam się, że znowu będzie wariować, tak jak przed ostatnią misją. Zatrzymuję wzrok na Lien i wskazuję głową Kendrę. Lien przygryza zębami dolną wargę, podchodzi do Kendry i szepcze jej coś do ucha.

Spoglądam na Tyrone'a. Obserwuje je zwięzionymi oczami, a potem patrzy na Jacksona. Wypowiada bezdźwięcznie jakieś słowo, ale stoję pod złym kątem i nie łapię jakie. Milczeniem osiągają porozumienie, lecz nie wiem, czego ono dotyczy.

Podchodzę do Kendry i Lien i biorę je obie za ręce, tworzymy małe koło.

– Wszyscy wracamy. Pamiętacie?

Kendra podnosi oczy i szepcze:

– Pamiętam. – Ma jednak nieobecny wyraz twarzy.

– Jackson...

Chcę mu powiedzieć, że z nią nie jest dobrze. I że w jej obecnym stanie może dać się zabić lub narazić kogoś innego.

„Zajmuję się tym” – słyszę Jacksona. Wzdycham. Zapomniałam, jak to jest, gdy przekazuje swoje myśli do mojej głowy, jego głos staje się częścią mnie.

– Idź. Zabierz je na zewnątrz. Tyłne drzwi – mówi Jackson do Tyrone’a.

Lien rzuca mi gniewne spojrzenie, ale nie spiera się i mam wrażenie, że to ze względu na Kendrę. Kiedy w trójkę truchtają korytarzem w stronę, z której przyszliśmy, zdaję sobie sprawę, że Jackson wiedział o problemie Kendry przede mną. Stąd pomysł z tylnymi drzwiami. Posłał Tyrone’a w roli niańki. A to oznacza, że zostaliśmy ja, Jackson i Luka. Troje przeciwko nie wiadomo ilu Drau.

Super.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Byłeś kiedyś w takiej sytuacji? – Łapię Jacksona za ramię.

– Jakiej?

– Że gra wkracza do rzeczywistego świata?

– Widziałaś moje lewe ramię? – Wyszczersza zęby w uśmiechu, który nie jest uśmiechem.

Przełykam ślinę. Oczywiście, że widział Drau w realu. Jeden z nich go zaatakował. Naznaczył go na całe życie.

Zastanawiające, co powiedział swoim rodzicom o pochodzeniu tej blizny. Czy Komitet nafaszerował ich głowy jakimiś fałszywymi informacjami? Czy są w stanie to zrobić? Wiem, że mogą odebrać wspomnienia. Czy mogą je również dodać?

Ta opcja jest przerażająca.

Potem nachodzi mnie kolejna myśl. Czy Jackson wiedział? Czy wiedział, że przyjdziemy do Glenbrook? Czy wiedział, że padną ściany pomiędzy naszymi dwoma światami? Czy świadomie mi o tym nie powiedział?

Jackson strzela palcami. Moje spojrzenie przenosi się z jego ramienia na twarz.

– Nie odpływaj, Miki. Gdziekolwiek byłaś wewnątrz swojej głowy, nie idź tam ponownie. Aż do chwili, gdy stąd wyjdziemy.

Odpina swój nóż z biodra i wrzuca do jednej z licznych kieszeni swojej kamizelki, potem robi to samo z walcem. Idę za jego przykładem i wkładam walec do kieszeni swojej kamizelki. Kieszeń nie jest tak duża i obszerna jak Jacksona i Luki, i wyraźnie widać zarys broni. Ugniatam ją, aby jej kształt był mniej widoczny.

– Nie martwię się tym – mówi. – Bardziej mnie niepokoi twój miecz.

– Cholera. Zapomniałam o nim. Co robimy?

Staje za mną i czuję, jak odpina pochwę, potem znika cały ciężar, który dźwigałam na plecach.

– Nie odwracaj się – mówi.

Słyszę szum, jakby pasek przesunął się szybko przez szlufkę. Obracam się. Jackson stoi z odpiętymi spodniami, które opadają mu nisko na biodra, odsłaniając większą część ciemnoszarych bokserów. Wsuwa pochwę z mieczem w nogawkę. Podtrzymuje dół swojej koszulki i widzę gładką, złotawą skórę, napięte mięśnie i cienką linię jasnobrązowych włosów, schodzącą w dół brzucha. Odwracam się ze stłumionym okrzykiem.

– Mówiłem, żebyś się nie obracała.

Słyszę w jego głosie śmiech. Docierają do mnie delikatne odgłosy, kiedy kończy swoją robotę – domyślam się, że przypina miecz do swojego biodra –

a potem:

– Już jestem ubrany. Koszulka bezpiecznie na swoim miejscu.

Przypomina mi się, co powiedział tej nocy, gdy wspiął się przez okno do mojej sypialni, aby udowodnić, że nie jest powłoką. Tygodnie temu. Miliony lat temu.

Mam wrażenie, że znam go całe swoje życie.

– Mamy szczęście, że w Glenbrook nie ma wykrywaczy metalu, bo byłoby po nas – mówi Jackson.

– Jeśli zostaniemy złapani z bronią, pani Smith się wkurzy. Zawiesi nas. Albo wydali.

– Czy to jest twoje największe zmartwienie w tej chwili? – pyta i krótko się śmieje.

– Nie – szepczę, myśląc o tych wszystkich rzeczach, które mogą się nie udać. Ale one są zbyt wielkie, zbyt okropne, aby je teraz rozważać, więc koncentruję się na drobiazgach.

– Zapomnij o tym koszmarze, Miki. Oczyść umysł. Udawaj, że to konkurs kendo. Idziemy. Walczymy. Wygrywamy. Nie ma znaczenia, że jesteś dziewczyną, a oni chłopakami, szybszymi, silniejszymi. Nie liczy się, że patrzą na ciebie tak, jakbyś nie powinna tu być, jakbyś nie miała prawa. Walczysz. Wygrywasz.

Ma rację. Nie liczy się, że Drau są szybsi, brutalniejsi, zabójczy. Liczy się to, że ja też jestem zabójcza. Fakt, że jestem ciągle żywa, najlepiej tego dowodzi. Więc robię to, co mówi. Koncentruję się. Wyobrażam sobie.

– Co teraz? – pytam. – Powiedziałeś, że wchodzimy... ale Luka zasygnalizował, że jest czysto. Nie ma Drau w sali z tańcami.

– Jeszcze nie ma.

Jego twarz jest bezwzględnie obojętna. Ta odpowiedź wywołuje u mnie mdłości.

– Może pójdą gdzie indziej. Do klasy fizyki. Na dach. Do siłowni. Do...

– Nie pójdą. Wiesz o tym. Czujesz to tutaj – rozkłada palce na moim brzuchu – i tutaj. – Przesuwa rękę na moją klatkę piersiową, przez moje serce i tatuaż z orłem. – Odwaga – szepcze. – Masz jej tyle, żeby wypełnić nią ocean, Miki.

– Dlaczego tutaj? Dlaczego Drau są w Glenbrook?

Jackson wzrusza ramionami.

– Może to zwykły przypadek. A może chcą czegoś, co jest dla nas istotne.

Przełykam i z trudem wydobywam słowa z przesuszonego gardła.

– Może Komitet wybrał to pole bitwy. Może chcą coś udowodnić. Trzymać nas w ryzach.

Rozpaczliwie pragnę, aby odrzucił tę możliwość, lecz on tylko przechyla głowę w stronę otwartych podwójnych drzwi wiodących na zabawę.

– Zapewnimy im bezpieczeństwo.

Przy kolejnym wydechu wydaję drżące westchnienie, ale następny jest już spokojniejszy. Kiwam głową.

Przystajemy przy stole z biletami i Jackson jakoś zdobywa się na uśmiech do Maylene, jakby za chwilę nie miał się rozpaść świat, jakby Drau nie mieli zwiększyć stawki w grze. A moje serce nie waliło o żebra, dłonie nie były wilgotne. Ucina sobie z nią pogawędkę i bierze bilety.

I pomimo zdenerwowania misją zauważam, że Marcy intensywnie się mu przygląda. Spoglądam na Jacksona. Jego głowa jest zwrócona w jej stronę. Ma obojętny wyraz twarzy. Nie wiem, o czym myśli. To i tak nie ma znaczenia. Marcy pozerająca wzrokiem Jacksona nie jest obecnie wysoko na liście moich priorytetów, co najwyżej może zetrzeć błoto z moich butów.

Dlaczego więc przyprawia mnie o dreszcze?

Moje spojrzenie spoczywa na Kathy, siedzącej koło Marcy. Głowę ma opuszczoną, liczy banknoty z pudełka, a potem spina je klipsem w mały stosik. Jest cieniem przysłoniętym przez światło Marcy.

Przyglądam się im obu, rozważając niewiarygodne scenariusze. Że Marcy jest powłoką. Że prowadzi rozpoznanie szkoły na zlecenie swoich szefów Drau.

Nie mam okazji opowiedzieć Jacksonowi o tych pomysłach, gdyż zmierzamy do sali. Nie jestem pewna, czy powiedziałabym mu o tym nawet wtedy, gdyby nie przygniatał nas hałas i tłum ciał. Te pomysły są bezsensowne. Szalone. Teraz powinniśmy się skupić na faktach i namacalnych groźbach, a nie na dzikich podejrzeniach.

Muzyka gra głośno. Parkiet jest napakowany. Ludzie stoją w grupkach, miejsce zabierają nie tylko ciała, ale i kostiumy.

Rozpoznaje niektóre twarze, inne są ukryte za makijażem lub maskami. Przebijamy się przez tłum, szukając Luki. Znajdujemy go i Jackson wskazuje na w miarę odosobniony kąt. Bierze mnie za rękę, ciągnie za sobą, torując drogę wśród tej masy. Nie protestuję, bo jest większy i silniejszy, i ma w sobie coś, co sprawia, że ludzie ustępują mu z drogi.

Słyszę znajomy śmiech i się odwracam. To Carla z Kelley i Dee. Mają na sobie jednakowe, ściśle przylegające do ciała kombinezony i pasujące do nich peruki – Carla żółtą, Dee czerwoną, a Kelley zieloną. Każda ma przyklejoną nalepkę na brzuchu: Carla – musztardy Dijon, Dee – keczupu, Kelley – słodkiej marynaty. Kiedy mi wyjawily, w co się ubiorą, byłam przekonana, że obcisłe kombinezony mało kojarzą się z przyprawami. Miałam rację. Wyglądają jak trzy dziewczyny w kombinezonach z lycry z tekturowymi wycinankami na brzuchu. Wydają się szczęśliwe.

Już zamierzam wyciągnąć rękę i im pomachać, ale zdaję sobie sprawę, że nie chcę zwracać ich uwagi. Nie chcę, aby były w pobliżu, gdy zaatakują Drau. Pragnę im powiedzieć, aby wyszły, poszły do domu, gdzie będą bezpieczne. Ale nie mogę.

Reguły.

Nie wiem, co zrobi Komitet, gdy je złamię. Nie mogę ryzykować i dzielić się z nimi informacjami nieprzeznaczonymi dla ich uszu – jeśli w ogóle by mi uwierzyły – i nie wyobrażam sobie, aby mnie posłuchały i wyszły, chyba że jakoś im to wynagrodzę.

Podążam za Jacksonem w głąb parkietu. Nagle słyszemy okrzyk głośniejszy niż muzyka, pobrzmiewają w nim zachwyt, zdziwienie i podniecenie. Jackson gwałtownie się zatrzymuje. Ludzie odwracają się i przechodzą, tłum faluje.

Przez prześwity między ciałami dostrzegam blask światła, niewiarygodnie jasnego, rozdzierającego parkiet. W moim umyśle cały świat zwalnia, jakbym oglądała oddzielne kadry w filmie. Pojedyncze pasmo światła jest piękne i przerażające. To pojedynczy Drau, zapowiedź nadchodzącego ataku.

Trzy dziewczyny, z pewnością podpite, piszczą z zachwytem. Z ich gestów wnioskuję, że uważają ten lśniący człowieczy kształt za wspaniały kostium. Sięgają do Drau, nie trafiają, potykają się. Jedna z nich pada na kolana. Wszystkie się śmieją, choć nie mogę ich słyszeć przez zagłuszającą muzykę, widzę ich twarze, wykrzywione usta, pobłyskujące zęby, zmarszczki w kącikach oczu. Światła stroboskopowe dodatkowo grają na ich twarzach, zmieniając cienie i niuanse, i nie można być pewnym, czy się cieszą, czy przeżywają chwile grozy.

Kolejny Drau przedziera się wśród tancerzy. I trzeci. Idą przez tłum zygzakiem: w prawo, w lewo, w prawo. Jedna z osób przestaje tańczyć, patrzy, marszczy brwi. Potem kolejne.

Sięgam po mój walec. Jackson wstrzymuje moją rękę. Ma rację. Za dużo wokół ludzi, zbyt wielkie ryzyko obustronnych strat. Musimy znaleźć sposób, aby odciągnąć Drau.

Tłum rusza gwałtownie wielką falą ciał, ściskając wszystkich razem jak sardynki w konserwie.

Jackson wyciąga nóż z kieszeni kamizelki, doskonale kryty przez tłum, i wbija go w brzuch Drau. Ten potyka się, lecz nie pada. Potem oddala się i mknie, masa rozdziela się, aby zrobić mu przejście. Jackson płasko przykłada nóż do biodra, czarne ostrze prawie niewidoczne na tle czarnych spodni.

Inny Drau śmiga, wcale nie unikając zlepku ciał. Ktoś krzyczy, ale nie widzę kto i dlaczego. Ludzie się cofają, schodzą z drogi, już wyczuwają, że pojawiło się zagrożenie, a to pasmo światła nie jest fajną rozrywką lub mającym wprawieć w zdumienie kostiumem.

To coś innego. Coś strasznego.

– Zmierzają na tyły – mówi mi do ucha Jackson.

Potakuję i idę za nim, nasza droga blokowana przez ludzi, niektórzy z nich jeszcze tańczą, inni zamarli, kiedy dociera do nich, że coś jest nie w porządku.

Kilka osób krzyczy, gdy kolejny Drau przebija się i przecina tłum na dwie

części. Unosi rękę, jego galaretowata broń gładka i elegancka. Pryszyńc jasnych perełek wygina się w dół jak fajerwerki, spada na każdego w promieniu prawie dwóch metrów.

Staram się przebić przez tę masę, aby dostać się do Drau. Zbyt dużo ciał na mojej drodze.

Drau strzela ponownie.

Pada dziewczyna, jej buzia okrągła z szoku, ręce przyciśnięte do piersi. Odrywa je i spogląda na swoje dłonie, krew z ran ciemna na tle jej jasnej skóry. Krzyczy, wciąga powietrze, znowu krzyczy.

Słyszę ją ponad muzyką.

Musi stąd wyjść. Wszyscy muszą opuścić to miejsce.

Jackson jest o krok przede mną. Chowa do kieszeni nóż. Wskazuje w lewo, tam, gdzie poszedł Drau, dając mi do zrozumienia, że mam za nim iść.

Na tyłach audytorium są drzwi wychodzące na korytarz, który prowadzi do sali gimnastycznej. Tam właśnie wydaje się zmierzać. Nie mam pojęcia dlaczego i nie mam okazji zapytać.

Jackson zawraca i przepycha się przez tłum w stronę, z której przyszliśmy, do podwójnych drzwi. Otwiera je i podpira gumowymi klinami. Zatrzymuje najbliższą dziewczynę i coś jej tłumaczy, ale jestem za daleko, żeby usłyszeć. On słucha i zatrzymuje kolejne dziewczyny. Jackson wypycha je przez otwarte drzwi i przemieszcza się do kolejnej grupki. Organizuje, dowodzi. Oczywiście. Tym właśnie się zajmuje.

Jestem rozdarta pomiędzy ściganiem Drau a pomaganiem w ewakuacji. Decyduję się robić i jedno, i drugie, wskazując ludziom drzwi, podczas gdy przemieszczam się w kierunku, w którym posłał mnie Jackson. Jeżeli nie wyprowadzimy tych ludzi, to nastąpi masakra.

Łapię za ramię jakiegoś chłopaka, krzyczę, aby dodać sobie rezonu. Nie wiem dokładnie, co mówię, ale on łapie, o co mi chodzi, i rusza do drzwi.

Ludzie pchają się i potykają, niektórzy chcą się przedostać do wyjścia, inni w odległych kątach nadal tańczą, niepomni na niebezpieczeństwo.

Muzyka przestaje grać i przez sekundę zalega względna cisza, zanim pani Smith podchodzi do mikrofonu i każe wszystkim wyjść, zachować spokój, jak w wypadku pożaru. Potem tę pustkę wypełniają głosy, kroki, krzyki, wrzaski. Nauczyciele zaczynają kierować ruchem, podprowadzają uczniów do wyjścia.

Wspinam się na stół oparty o ścianę, wypatrując Drau. Odeszli. Zniknęli. Jednak... tam... błysk światła koło innych drzwi wyjściowych na korytarz, prowadzący do sali gimnastycznej, dokładnie tam, gdzie wskazał Jackson.

Widzę Carłę, Dee i Kelley daleko ode mnie, po drugiej stronie sali, za to blisko wyjścia. Nie mogę poświęcić im wiele uwagi. Po prostu jestem wdzięczna, że się stąd wynoszą.

Przeszukuję tłum, wypatrując Luki. Po kilku nerwowych sekundach lokalizuję go i ściągam na siebie jego spojrzenie.

Przesuwa się pod prąd, przez masę ciał, dopóki nie znajduje się obok mnie. Zeskakuję ze stołu, biorę go za rękę i przesuwamy się wzdłuż ściany, unikając głównego nurtu tłumu przemieszczającego się w naszym kierunku.

– Jackson? – pyta Luka, jego głos jest wysoki, aby pokonać hałas.

– Znajdzie nas. Wie, dokąd zmierzamy.

– Czyli?

– Tam, dokąd biegną Drau! – odkrzykuję.

– Co z Tyrone'em?

Mijamy jakieś drzwi w chwili, gdy dzieciaki otwierają je na oścież i uciekają na zewnątrz. Za nimi następne, a potem cała masa. Nie ma mowy, aby komuś udało się wejść przez te drzwi. Gdybyśmy byli choć o drobinę wolniejsi, ten *exodus* wyniosłby nas na zewnątrz.

Wskazuję na kolejne drzwi, Luka chwyta, o co mi chodzi. Teraz szybciej przebijamy się przez tłum, próbując je otworzyć i wpuścić resztę naszej drużyny. Ktoś uderza mnie w ramię, walę w ścianę, lekko tracę oddech. Chwieję się, odzyskuję równowagę, nadal mocno trzymając Lukę za rękę.

Idziemy dalej. Za późno. Zanim docieramy, drzwi są otwarte i dzieciaki pchają się na zewnątrz. Tyrone, Lien i Kendra tędy nie wejdą.

Jestem pchana i przepychana. Moja dłoń wysuwa się z ręki Luki. Tracę go z oczu. W kierunku drzwi ciągnie mnie olbrzymia siła impetu grupy. Poddaję się temu, aby utrzymać się na nogach i nie zostać stratowana. Kiedy jestem blisko drzwi chwytam metalową poręcz i trzymam się jej z całej mocy. Centymetr po centymetrze przeciągam się na skraj tego roju. Ramię się buntuje. Ręce ślizgają się po metalu.

Jedna z nich puszcza poręcz.

Zaciskam silniej drugą, starając się utrzymać. Gdy mnie wyciągną na zewnątrz, nie mam pojęcia, jak zdołam wrócić. Nie mogę pozostawić Jacksona i Luki samych przeciwko całej armii.

Bolą mnie knykcie, gdy ciągną za moje palce... ciągną... nie utrzymam się. Krzyczę, gdy druga ręka puszcza poręcz.

Luka chwyta mnie za nadgarstek i holuje na bok.

– Blisko – mówi.

– Zbyt blisko – odpowiadam, dysząc jakbym przebiegła piętnaście kilometrów.

Luka odwraca głowę i napotyka moje spojrzenie, w milczącym porozumieniu przebijamy się dalej, w kierunku, gdzie ostatnio widziałam Drau. Chwytny się za nadgarstki, aby zmniejszyć prawdopodobieństwo, że zostaniemy rozdzieleni.

Ludzie wrzeszczą i pchają. Zorganizowana ewakuacja przerodziła się w paniczną ucieczkę, a sytuację jeszcze pogarszają wybuchające w różnych miejscach błyski światła. To Drau celowo tworzą chaos.

Myślę o dziewczynie, którą poraził strumień światła, jej klatka piersiowa ponacinana, ręce zakrwawione. Wiem, co to za uczucie, gdy dostanie się bronią Drau. Czy wszystko z nią w porządku? Czy wyszła z tego? Czy Drau już zabili kogoś, wyskali komuś energię z oczu, zostawiając wysuszone łupiny?

Proszę, żeby Carla wyszła z tego cało. I Kelley, i Dee, i Maylene. Wszyscy.

Jest wśród nich pani Smith, próbująca uspokoić ludzi. I pan Shomper, szurający nogami i kierujący uczniami. Martwię się o niego. Jest bardzo stary i kruchy. Choć wymiętoszony i zgarbiony, zachowuje pełen spokój, a dzieciaki słuchają go, gdy wskazuje im wyjście. Jest upragnioną wyspą w czasie sztormu.

Do tej ogólnej kakofonii dołącza kolejny wybuch dźwięku. Ktoś włączył alarm przeciwpożarowy. Wspaniale.

Moją uwagę zwracają wybuchy jasnego światła. Obracam się i widzę kolejny błysk. Ponownie się obracam i zdaję sobie sprawę, że Drau biegają wokół nas z niesamowitą prędkością. Jakby zapędzali bydło do zagrody.

Ogarnia mnie przerażenie. Nie mogę mu pozwolić, aby mnie spowolniło.

Luka i ja wybiegamy przez podwójne drzwi na odległym krańcu audytorium. Zamykają się za nami z trzaskiem.

Przystajemy, ciężko oddychamy. Drzwi gwałtownie otwierają się, wpada Jackson, lekko utykając na prawą nogę.

– Zostałeś trafiony?

– Nie. Luka pomóż mi – mówi i łapie za rozporek.

Zaczynam rozumieć. Mój miecz utrudnia mu chodzenie.

– Co ty, do diabła, robisz, brachu? – pyta Luka.

Gdy Jacksonowi opadają spodnie, widzi jednak mój miecz i pomaga Jacksonowi go odpiąć. Wraz z Luką umieszczamy pochwę na moich plecach pomiędzy łopatkami, podczas gdy Jackson zapina spodnie.

– Broń – mówi Jackson, nóż w jednej ręce, walec w drugiej.

Chwytam za mój walec, czując, jak się wpasowuje w kształt ręki, miecz zostawiam na razie w pochwie.

– Co z Tyrone'em? – pyta Luka.

Jackson sprawdza swój kom. Pokazuje trzy trójkąty – nas i kolejne trzy gdzieś na południowy wschód od nas, przesuujące się wzdłuż krawędzi budynku.

– Szukają drogi do środka. Jakies pomysły, jak możemy się z nimi skontaktować? – pyta Jackson, bez sarkazmu, zupełnie poważnie.

– W tym pandemonium? – Luka potrząsa głową. – Nie ma szans. Co robimy?

– Nie możemy czekać – mówię, gdyż intensywnie, niemal z bólem

wyczuwam obecność Drau, od której skręcam się w środku.

– Zgadzam się – przytakuje Jackson.

Luka wciąga powietrze.

– Tęsknię za Tyrone’em kryjącym moje plecy, ale nie jestem pewien, czy walka bez Kendry i Lien to wielka strata. Nie ufam im. Cóż, jednej z nich, Kendrze. Jest grieferem.

To pojęcie z gier. Luka już mi to wyjaśnił. Griefer kradnie punkty, pozwala, aby inni gracze wymęczyli cel, a potem dobija go i przypisuje sobie zwycięstwo. Potrząsam głową. Nie mogę uwierzyć, że Kendra zalicza się do tej kategorii. Ale jej punktacja...

Przypominam sobie swoje zdziwienie, bo była zdumiewająco wysoka. I pamiętam inne sygnały. Ulotne wrażenia, które wyłapywałam na twarzach Luki lub Tyrone’a. I Tyrone’a mówiącego coś do Jacksona, zanim wyprowadził Kendrę i Lien na zewnątrz. Musieli ją podejrzewać już od jakiegoś czasu.

Luka spogląda na mnie.

– Myślę, że Lien jej pomaga. – Przerzywa. – Z miłości. Chce, aby Kendra wyszła z gry, zanim dopadnie ją szaleństwo i zginie lub przez nią zginie ktoś inny. Zauważyłem, że przekazuje Kendrze swoje ofiary, nie tylko pomaga jej kraść nasze.

– Ten problem będziemy musieli rozwiązać, gdy rozprawimy się z Drau – mówi Jackson. – Jeżeli uda im się do nas dołączyć, pilnujcie pleców, nie dobrze jest mieć griefera w drużynie.

Wymieniają z Luką spojrzenia i domyślam się, że już mieli do czynienia z grieferem – tym chłopakiem, którego zastąpiłam.

– Idziemy – mówi Jackson.

Zmierza korytarzem w kierunku podwójnych drzwi na końcu, a potem przez kolejne drzwi do schodów. Luka i ja podążamy za nim.

Rozdział dwudziesty drugi

Moje zmysły wyostrajają się, wyczuwam ostro i wyraźnie poręcz pod swoją dłonią, stukot stóp na schodach jest rażące i mocny. Przyspiesza bicie serca. Oddech jest płytki i szybki. Czuję przyływ adrenaliny.

Narasta we mnie bolesna świadomość Drau, jakby było to gniazdo węży. Są gdzieś przed nami. Nie widzę ich, ale wiem, że tam są. Wyczuwam ich każdą komórką ciała.

A przeciwko nim jesteśmy tylko my – ja, Luka i Jackson.

Zmierzamy za Jacksonem do drzwi, potem schodami do piwnicy. Byłam tu już w zeszłym roku, kiedy nauczyciel teatrologii poprosił mnie i Carlę o pomoc w przeglądaniu pudeł z kostiumami.

Ściany po obu stronach są pomalowane na biało, schody wąskie i strome. Na końcu jest długi korytarz, ciemny i pusty, cienie drzwi odznaczają się na ścianach. Drau mogą być wszędzie, w każdym z pomieszczeń w piwnicy.

– Pułapka? – pytam szeptem.

– Być może – odpowiada Luka.

– Co robimy?

– Wchodzimy – mówi Jackson.

Otwieram buzię i natychmiast ją zamykam. Wiem, co powie: „Dlaczego uważasz, że mamy wybór?”.

Ma rację. Z drugiej strony przecucie mi mówi, że to zły pomysł, że Drau z nami pogrywają, prowadzą w pułapkę. Dlaczego pojawili się na zabawie? Dlaczego wywołali chaos, a potem się tutaj ukryli? I dlaczego w ogóle tutaj są? W Glenbrook High?

Znowu nabieram brzydkiego podejrzenia, że to wszystko zaplanował Komitet, że w ten sposób dają ostrzeżenie mnie i Jacksonowi.

To nie ma znaczenia. Muszę iść dalej. Razem musimy iść naprzód. Nie tylko z tego powodu, że takie instrukcje wydał Jacksonowi Komitet.

Przede wszystkim dlatego, że Drau przebili się do mojego świata, tego prawdziwego. Zagrażają moim przyjaciołom. Muszę ich zatrzymać.

Jackson wyciąga rękę w geście zatrzymania, kiedy podchodzimy do pierwszych drzwi. Są otwarte. Pokój za nimi jest słabo oświetlony, lecz nie całkiem ciemny, z sufitu zwisa pojedyncza żarówka. Ten pokój to w zasadzie taka większa szafa i jest pusty.

Ruszamy do kolejnych drzwi. Jackson sygnalizuje do Luki, potem do mnie. Ustawiamy się po obu stronach wejścia, broń w pogotowiu. Wytrzymuję spojrzenie Luki, czuję się przedziwnie spokojna mimo walącego tętna i przyływu energii popychającej mnie do działania.

Jackson sygnalizuje.

Wraz z Luką przechodzimy przez ościeżnicę, broń wycelowana. I nagle to czuję: walenie serca, głębię oddechu, całkowite skupienie, oczy wyłapujące każdy szczegół, uszy odbierające dźwięki. Wczułam się w rolę. Przerazona. Podniecona. Radosna. Wczułam się w rolę całą sobą.

Rozpoczęła się gra.

Nic tu nie ma. Żadnego ruchu. Żadnego zagrożenia.

Ale Drau mogą się gdzieś tu ukrywać.

Wchodzimy, ja po prawej, Luka po lewej, Jackson na wprost. Betonowa podłoga jest szara i odbarwiona. Z najdalszej ściany wystają cztery grube, czarne rury. Na środku jest stos związanych liną poplamionych i wytartych kremowych poduszek. Nigdzie nie ma Drau.

Jackson kciukiem daje znać, że jest czysto. Dalej idziemy korytarzem, sprawdzając kolejne pokoje, napięcie rośnie.

Otwierają się następne drzwi prowadzące do ogromnego pokoju z dwoma czarnymi metalowymi bojlerami i tysiącami grubych rur wystających ze ścian, z podłogi, oplatających sufit. Dużo kryjówek dla Drau.

Ustawiamy się jak w innych pomieszczeniach. Luka z lewej. Ja z prawej. Jackson na wprost.

Sprawdzam za bojlerami, za trzema grubymi rurami. Nic.

Jackson znowu podnosi kciuki.

Odwracamy się.

Uderza we mnie fala strachu i głęboka do kości odraza, gwałtowna, szokująca, jak lód w żyłach. Nadchodzi znikąd, intensywna i bardzo mocna.

Drau. Tutaj.

Obracam się. I ponownie.

Gdzie oni są?

„Pułapka! Ruszaj się!” – słyszę w głowie głos Jacksona, gdy rzucamy się biegiem do drzwi.

Światło uderza w nas z obu stron korytarza. Drau są wszędzie.

Ożywa walcowata broń, posłuszna mojej woli, ciemny, zabójczy strumień uderza Drau w pierś. Przerzucam ją do lewej ręki, jej kształt subtelnie zmienia się, aby dobrze się wpasować. Strzelam. Znowu strzelam. Nie zadaję sobie nawet trudu, aby celować.

Przerzucam ciężar ciała na lewą nogę, wykopuję do tyłu prawą, piętą uderzam w koniec pochwy zwisającej pomiędzy łopatkami. Rękojeść miecza wylatuje, chwytam ją, wysuwam z pochwy i ustawiam ostrze w gotowości. Wymierzam je prosto w czoło Drau, wysuwam i uderzam drugi raz.

Hiraki-ashi: piwot.

Rozprawiam się z dwoma Drau, którzy pojawiają się na flankach. Skóra mnie pali w miejscach, gdzie trafiają ich pociski, krople bólu wsiąkają w każdą

część ciała.

Strzelam. Strzelam ponownie. Walec sprawia wrażenie, że żyje, że jest przedłużeniem mojego ramienia. Instynktownie pojmuję, że Luka, Jackson i ja stworzyliśmy małą, ścisłą grupkę ustawioną plecami do ścian.

Jesteśmy otoczeni. Jest ich tak wielu. Zagrożają nie tylko nam. Zagrożają wszystkim, którzy nie ewakuowali się z sali tanecznej zaledwie piętro nad nami.

Nie mają pojęcia, jakiej sile się tutaj przeciwstawiamy. Nie chcę, żeby wiedzieli. Po prostu modlę się za Carlę, Kelley i Dee, aby udało im się wyjść. Za Maylene. Aarona. Shareese. Za wiele dzieciaków, które znam przez prawie całe swoje życie.

Muszę zwyciężyć. Pokonać wroga.

Ode mnie zależy ich życie.

Wysuwam się do przodu, ostrze zmiata atakujących. Odłamki światła padają na mnie, penetrują skórę i mięśnie, ból jest wyraźny i ostry aż do kości. Czarna maź pulsuje z mojej broni, tworząc silny strumień, który pożera Drau, głową do przodu. Już znam dźwięk ich krzyków. Krzywię się, ale blokuję przyływ współczucia.

Oni albo ja.

Z lewej wyczuwam poruszenie. Nie widzę jednak, co się dzieje.

– Posiłki! – wrzeszczy Luka, ale jestem od niego niższa i nie mogę zobaczyć tego, co on.

Jackson rusza do przodu i niesamowitym ruchem od spodu podcina gardło Drau, aż głowa napastnika zwisa na plecach. Dostrzegam tylko biel kości i bardzo ciemną krew, potem Drau znika wchłonięty przez walec Jacksona.

Ten Drau był zaledwie centymetry ode mnie.

– Skup się – burczy Jackson.

Szarpię walec do góry i strzelam ponad jego ramieniem, zdejmując Drau, który zakradał się za jego plecami.

– Skup się – odpowiadam burknięciem.

Robię wypad, nacieram, wymyślam po drodze ciosy. To, co robię, nie ma nic wspólnego z kendo. Jesteśmy w przygnębiającej, cholernej rzeźni, gdzie siekam kończyny, piersi i głowy, dźgam tułowia – robię wszystko, aby tylko ich zatrzymać.

Pot spływa mi wzdłuż kręgosłupa. Ramię zachowuje się tak, jakby ciągnął je w dół półtonowy ciężar. Nie mogę przestać. Nie mogę odpoczywać. Podnoszę miecz. Przypominam sobie wszystko, czego się kiedykolwiek nauczyłam, i przelewam tę wiedzę w każdy ruch. Odmierzam uderzenia, korzystając z tego, że Drau posuwają się do przodu, koncentrują na atakowaniu.

Ale odczuwam zmęczenie. Słabnę. Jak my wszyscy. Jak długo to już trwa? Jak długo zdołamy się utrzymać?

– Teraz jest dobry moment, aby coś zaplanować! – krzyczy Luka.

Plan. Nie możemy się ruszyć ani w prawo, ani w lewo korytarza. Drau nacierają z obu stron jak zbiegające się roje szarańczy. Jedyne miejsce, do którego możemy się cofnąć, to pomieszczenie z bojlerami.

Na ułamek sekundy odwracam głowę w tamtą stronę. Nie ma szans. Odpędzili nas od drzwi i przycisnęli do ściany, tworzymy małą wysepkę w płonącym morzu Drau.

– Te posiłki... czy to Tyrone?

– Nie sędzę. – Luka potrząsa głową. – Nie jestem pewien. Mignęła mi ludzka głowa, ale nie wiem czyja.

Więc jest tu również inna drużyna. Może uda nam się jakoś skoordynować działania, wzmocnić naszą pozycję.

– Czy nadal ich widzisz? – pyta Jackson, co oznacza, że mimo przewagi wzrostu nie dostrzegł ich.

Luka ponownie potrząsa głową, niwecząc moje nadzieje na skoordynowany wysiłek.

Jackson robi krok do przodu i obraca się tak, że jest ustawiony pod kątem prostym do ściany i strzela do Drau przed sobą, jednocześnie podrzuca ostrze swojego noża i wysuwa rękę do tyłu, jakby posypywał solą, uderzając inego Drau między oczy. Wyraz jego twarzy jest okrutny. Wydaje się szczuplejszy i twardszy niż kiedykolwiek przedtem, ma zapadnięte policzki, zaciśniętą szczękę. Lekko rozchylone usta obnażają zęby, kiedy wystawia swoje plecy pod strumień płynący z broni Drau, chroniąc mnie przed najgorszym.

– Każdy odpowiada za siebie – przypominam mu, rzucając się i siekąc atakującego go Drau.

Jackson nie odpowiada i nie spodziewałam się, aby to uczynił.

Walczymy tak długo, że mózg mi się lasuje. Cała moja istota składa się wyłącznie z rąk, miecza i walca. Drau nadal nacierają, tworzą rozdzielający nas klin. Torpedują wszelkie próby, które podejmujemy, aby trzymać się razem. Odslonięci, narażeni na atak przez przeważające siły wroga, nie mamy wielkiej szansy w tym boju. Myślę o moich przyjaciółach, nauczycielach... i nie tylko. Cała społeczność jest narażona, jeśli nie powstrzymamy tutaj Drau. Cały cholerny świat.

Wydaje się idiotyczne, że garstka nastolatków odpiera inwazję potworów.

Takie przekonanie może sprowadzić na mnie śmierć.

Więc nie myślę. Opieram się o ścianę, nie martwiąc się o pracę nóg. Są jak z gumy, więc się nie liczą. Całe ciało płonie, przeszywa mnie ból tysięcy szpilek, gdy Drau strzelają kroplami światła – cierpienia – w naszą stronę. Oddycham zbyt szybko, zbyt mocno i nie mogę zwolnić. Moje ruchy stają się ociężałe, pot spływa do oczu, przesłania pole widzenia. Nie śmiem spojrzeć na mój kom.

Nie wiem, gdzie podziewa się Jackson. Nigdzie go nie widzę. Rozdzielili

nas. Wiem, że żyje. Musi żyć.

Luka chrząka i się szarpie. Naciska na mnie bardzo mocno. Najpierw zakładam, że chce mnie chronić. Potem zdaję sobie sprawę, że to mu pomaga utrzymać się na nogach.

Jest w kiepskim stanie. Mamy kłopoty.

Siekam więcej ciał.

Czuję ruch z lewej i przekręcam się, celuję, lecz przesuwam broń, dostrzegając w ostatniej sekundzie ludzką głowę za morzem Drau. Postać zbyt niska, aby był to Jackson. To ktoś inny. Posiłki, które wcześniej zauważył Luka. Musieli walczyć po jednej stronie masy Drau, podczas gdy my obstawialiśmy drugą.

Prawie krzyczę z ulgi.

Czuję wyjątkowo jasny prysznic światła, przed oczami mam plamy. Igiełki bólu wybuchają po jednej stronie twarzy, na szyi, na ramionach. Luka leci na mnie, potyka się i prawie upada, niemal pociągając mnie za sobą.

Podsuwam swoje ramię pod jego, ogarnia mnie panika.

– Mam go – mówi Jackson, podchodząc z drugiej strony Luki.

Zanim podnosi Lukę, obraca się szybko i rzuca nożem. Trafia bezbłędnie między oczy Drau. Jackson pochyla się i uwalnia ostrze, wraca i wsuwa rękę pod ramię Luki.

– Pokój z bojlerem – mówi i zauważam, że w ciągu ostatnich kilku minut udało nam się do niego bardzo zbliżyć.

– Będziemy w pułapce.

– Możemy ich wyłapywać w drzwiach.

W połowie ciągnie, w połowie niesie Lukę tyłem przez drzwi. Jestem przed nimi, kryjąc ich, strzelając, tnąc, krok za krokiem, dopóki nie jesteśmy w pokoju.

W pułapce.

Sprawdzam kom Luki. Ciemny pomarańcz zabarwiony czerwienią. Jego oczy są zamknięte, oddech płytki. Gdzie dostał? Skąd płynie krew?

Zewsząd.

Jackson stoi przed nami i kryje nas, kiedy odpinam kamizelkę Luki i sprawdzam jego klatkę piersiową, brzuch. Rany, lecz żadna z nich za bardzo nie krwawi. Potem dostrzegam błysk na jego czarnych spodniach w górnej części uda.

– Tam jest tętnica – mówi Jackson, rzucając mi swój nóż, rękojeścią do góry.

– Przetnij jego spodnie. Jeżeli krew tryska, to jesteśmy po uszy w gównie. Jeśli wypływa, to nie jest tak źle.

Przecinam spodnie Luki, przerażona, co zobaczę, oczekując rwącego strumienia krwi.

Zamiast tego widzę strużkę.

Oddycham głośno z ulgą. Potem odcinam kawałek jego koszuli, formuję

opatrunek, odcinam kolejny kawałek i przewiążuję.

Powieki Luki mrugają. Jego wzrok wyostrza się. Spogląda na położenie moich rąk.

– Ejże – mówi. – Jeśli tak bardzo mnie pragnęłaś, wystarczyło poprosić.

Parskam.

Podnosi rękę i strzela, kładąc Drau, który szarżował na drzwi.

– Ciut bliżej i ten strzał trafiłby w moje biodro – mówi Jackson.

– Nie ma za co – mówi Luka, próbując podnieść się do pozycji siedzącej i oprzeć o stos zniszczonych poduszek. Udaje mu się za trzecim razem. Dysząc, posyła mi pełne bólu spojrzenie.

Zostawiam go tam i przesuwam do boku Jacksona, mój walec buczy, kiedy kładziemy Drau, który przekroczył ramę drzwi. Być może jest to pułapka, ale też niezła szansa, aby ich zatrzymać, przynajmniej przez jakiś czas.

Impas. Nie narzekam. Na razie.

– Musimy zlokalizować ten drugi zespół – mówi Jackson. – Dobrze byłoby wiedzieć, ilu ich jest i w którym miejscu nas wspierają.

– Komitet nie przekazuje ci informacji?

– Nie.

Kryję Jacksona, gdy wygląda przez ramę drzwi. Wychodzi i sygnalizuje, żebym poszła za nim.

Zaraz na prawo od drzwi jest dziewczyna. Odwrócona do nas tyłem, jasnobrązowe włosy opadają jej na ramiona. Zabija Drau strumieniem światła, broń w jej ręce jest gładka, metaliczna i galaretowata.

– To ta dziewczyna, która pomogła mi w czasie ostatniej misji – mówię, rozpoznając jej postawę, sposób poruszania się, układ ramion.

– Idź – rozkazuje. – Będę cię stąd krył z Luką.

Rzucam się naprzód i już jestem z nią, bok przy boku.

Rusza na mnie Drau, stanowczo zbyt szybko. Czuję szpony strachu. Strzelam. Ból wybucha w całym moim ramieniu. Palce mi drętwieją i wiotczeją, miecz uderza z trzaskiem o podłogę.

Unoszę walec, ale Drau już uciekł.

Punkt dla Miki.

Przykucam, odzyskuję ostrze i zdaję sobie sprawę, że korytarz prawie się opróżnił. Trzech Drau zmyka na drugi jego koniec. Dziewczyna biegnie za nimi. Jest już wystarczająco blisko, aby strzelić, ale nie robi tego. Nie spieszy się.

Ból w ramieniu sprawia, że czuję się otumaniona. Zmuszam swoje niereagujące palce do objęcia rękojeści miecza. Z jękiem podnoszę go, lecz nie będę mogła go użyć, nie tą ręką, nie w najbliższej przyszłości.

– Miki – mówi Jackson, łapiąc mnie za zdrowe ramię i ciągnąc z powrotem do pokoju, gdzie przyczaił się Luka.

– Czy to koniec? – szepczę. – Czy zaraz skoczemy?

Kręci przecząco głową.

Więc gdzieś tam jest więcej Drau. Musimy ich wykurzyć.

Jackson zatrzymuje się w drzwiach i celuje broń w dół korytarza, w uciekających Drau. Są już prawie na końcu. Nie strzela jednak. Na linii strzału ma dziewczynę.

Przeklina pod nosem.

Ona staje jak wryta, odwraca się w naszą stronę. Włosy przesłaniają jej twarz, potem opadają na ramiona.

– Nie – mówi ze znajomą modulacją.

Widziałam zbliżenie tej twarzy w ramce z patynowanego niklu. Widziałam dokładnie te same rysy na nieskończonych rzędach klonów, kiedy wyciągałam rurki i wyłączałam maszyny.

Mówiłam do niej w moich snach.

Widziałam te oczy. Zielone. Zielenią Lizzy.

Z Jacksona wydobywa się zdławiony, przerażający dźwięk.

– Miki! Miki! – słyszę z tyłu głos Carli, tuż za sobą.

Obracam się jak na komendę. Jackson wraz ze mną.

– Musicie opuścić budynek.

Carla stoi na końcu korytarza koło schodów, którymi tu przysliśmy. Jej ciało jest spięte, twarz blada. Patrzę na nią z przerażeniem, słowa więzną mi w gardle. Idź stąd. Teraz. Odejdź. Idź!

– Ewakuuj nas – mówi nieświadoma strachu, który we mnie wzbudziła, przychodząc tutaj. – Wszyscy są na zewnątrz. Nie słyszeliście alarmu przeciwpożarowego? Macie szczęście, że widziałam, jak szliście w tę stronę.

Carla szła za mną. Aby mnie chronić.

– Chodźcie! – Macha ręką gorączkowo i zapraszająco. – Musimy iść.

Nie może tu przebywać. Nie chcę, aby tu była. Nie chcę jej w pobliżu Drau.

Teraz rozumiem, co czuł Jackson, gdy zobaczył mnie za swoim oknem. Chciał, żebym odeszła. Wyszła z gry. Żebym była bezpieczna. Tego samego pragnę dla Carli. Ale ona przyszła tutaj.

Ponieważ chce mojego bezpieczeństwa. Choć nie ma pojęcia, jakie potwory czają się za rogiem.

– Odejdź – krzyczę, wreszcie odzyskując głos. – Carla, uciekaj stąd. Już!

Słowa brzmią dziwnie w moich uszach. Powoli. Ciężko. Jakbym była pod wodą. Potrząsam głową zupełnie dezorientowana. Cała scena sprawia wrażenie, jakby rozgrywała się w zwolnionym tempie. Ale chodzi nie tylko o to. Wydaje się, że czas inaczej biegnie w różnych przedziałach tej samej rzeczywistości.

Ile czasu zabrało Carli dotarcie tutaj?

Wydaje się, że walczyliśmy z Drau całymi godzinami. A Carla zachowuje się

tak, jakby przybiegła tu przed chwilą.

Słyszę jakiś dźwięk za sobą. Biegających stóp. Odwracam głowę, tułów, patrzę ponad ramieniem. Ten ruch trwa całą wieczność.

Zielonooka dziewczyna zniknęła. Jackson jest w połowie korytarza, podążając za nią. Ponownie dopada mnie wrażenie, że czas jest zniekształcony. Korytarz ma długość chyba trzech boisk, skoro on nadal biegnie.

– Miki! Chodź! – krzyczy Carla.

Odwracam się ponownie w jej stronę. Widzę za nią błysk światła.

Światła w kształcie ludzkiej postaci.

Czerwony kwiat zakwita na jej żółtym spandeksowym kombinezonie, tuż pod etykietką musztardy dijon, którą przyczepiła do tkaniny.

Otwiera szeroko oczy. Unosi brwi. Jej usta formują O. Wygląda na zakłopotaną, zaskoczoną, przestraszoną.

Ta chwila trwa w zawieszeniu.

Nie pada na ziemię od razu. Jej upadek przypomina długie, powolne, harmonijkowe załamywanie się, jak wtedy gdy płaszcz ześlizguje się z wieszaka.

Lub ostatni wydech.

Rozdział dwudziesty trzeci

Ruszam się, zanim zdaję sobie sprawę, że ten potworny, ryczący dźwięk wydarł się z mojego gardła.

Unoszę ramię. Mój miecz ponad głową, czubek w tyle, ostrze u góry. Pędzę na Drau z całą mocą. Gdy go dopadam, czuję lekki opór, jak wtedy gdy odcina się udo od nóżki kurczaka. Potem głowa Drau leci w górę, wysoko, jego ciało zwala się jak worek, głowa upada z plaśnięciem na ziemię. Strumień ciemnej krwi znaczy ścianę, podłogę. Mnie.

Odrzucam miecz. Ze stukotem toczy się po podłodze w jedną stronę, podczas gdy ja padam na kolana i ślizgam się w drugą, do Carli.

Nie rusza się. Leży tam, połamana lalka w jaskrawożółtym spandeksie i radosnej żółtej peruce.

– Carla! – krzyczę. – Nie-nie-nie-nie-nie-nie-nie-nie!

Chwytam ją za ramię, potrząsam nią. Słyszę za sobą czyjeś kroki. Skręcam talię, walec w ręce, gotowa zniszczyć wszystko, co nadchodzi.

To Jackson.

Z płaczem odrzucam broń. Przez ułamek sekundy odnotowuję w myślach, że nie pobiegł za tą zielonooką dziewczyną. Za dziewczyną, która wygląda jak Lizzie.

Wrócił do mnie.

– Sprawdź jej tętno – mówi. Usta ma ściśnięte, całą sylwetkę napiętą, kiedy pada na kolana koło Carli.

Łzy ciekną mi po policzkach, przesłaniają pole widzenia. Ręka trzęsie mi się tak bardzo, że ledwo mogę przystawić palce do jej szyi, a co dopiero zbadać tętno.

– Daj, ja to zrobię – mówi Jackson.

Chwyta mnie za nadgarstek, odciąga moją rękę z drogi i płasko przykładając palce do szyi Carli. Jej twarz jest szarobiała, oczy zamknięte, czerwona krew zbiera się przy niej na podłodze. Rozpościeram dłoń na jej brzuchu, naciskając na ranę. Krew przecieka mi przez palce.

Jackson trzyma palce na jej pulsie tak długo, jakby trwało to wieczność. Pochyliła się i przykładając ucho do jej klatki piersiowej.

Czekam, serce mi wali o żebra. Jedna sekunda dłuży się w nieskończoność.

Proszę-proszę-proszę-proszę.

Jackson podnosi się, ramiona mu zwisają, głowa pochylona.

– Nie!

Rzucam się na Carlę, przykładam ucho do jej serca. Nic nie słyszę. W ogóle nic. Jest klatka nie rusza się, nawet odrobinę. Nie oddycha.

Odychłam jej głowę i próbuję oddechować za nią.

Jackson układa dłoń na dłoni i uciska jej serce, jakby już kiedyś to robił – jedna rzecz więcej, której o nim nie wiedziałam. Krew wytryskuje łukiem z rany.

Za każdym razem, gdy uciska, ona krwawi.

– Przestań. – Łzy mnie dławią. – Zabijamy ją.

Ale wcale jej nie zabijamy. Już jest martwa.

Odskakuję, łapię ją za ramię, potrząsam.

– Carla! – krzyczę. – Carla!

Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć. To moja wina. Przyszła tutaj po mnie. Aby mnie ocalić. Nawet nie wiedziała przed czym.

– Carla! Dzwon pod 911! – krzyczę do Jacksona. – Dzwon pod 911! Zadzwoń do nich. Zadzwoń.

Nie sięga po swój telefon. Nie rusza się, ponieważ nie możemy do nikogo zadzwonić, dopóki jesteśmy w grze.

Ścieram łzy z policzków, patrzę na swoje ręce. Czerwone. Krew. Krew Carli. Cały przód jej żółtego spandeksowego kombinezonu pociemniał.

Luka wrzeszczy z pokoju w korytarzu, gdzie go zostawiliśmy. Pyta, co się stało. Wykrzykuje imię Carli. Jacksona. Moje.

Umieram. Umiera moja dusza, ponieważ Carla odeszła. Nie mogła odejść.

– Napraw to! – krzyczę na Jacksona. – Napraw to!

On jednak nie może tego naprawić. Nikt nie może.

Ja to zrobiłam. Zabiłam swoją najlepszą przyjaciółkę.

Powinnam była z nią zostać. Upewnić się, że wyszła. Powinnam była ją obronić przed inwazją Drau. Po to właśnie jestem w grze. Aby zapewnić bezpieczeństwo mojemu światu.

Zawiodłam. Zawiodłam.

– Jackson – szlocham, opadając na pierś Carli.

– Zejdź z niej, Miki – mówi Jackson, lodowaty i spokojny.

Ten ton przyciąga moją uwagę. Patrzę na niego, gdy ściąga swoje okulary.

– Co robisz?

– Wstań.

Nie protestuję, posłuszna surowemu oczekiwaniu w jego głosie. Przysiadam na piętach, całe ciało mi drży. Znajduję się po jednej stronie Carli, on po drugiej. Jego spojrzenie spoczywa na moim, jego oczy, szare jak u Drau, wirują nieskończenie, jaskrawo jak rtęć. Takie piękne. Nie mogę przestać w nie patrzeć.

Wygląda, jakby myślami był daleko, garbi się nad Carlą, jego ręce spoczęły na jej policzkach. Przez sekundę po prostu przyglądam mu się oszołomiona i odrętwiała.

– Co robisz?

Chwytam go za ramię, zaskoczenie przeradza się w nieufność. Nie unosi głowy, nie strąca mojej ręki. Ale napięcie jego mięśni rośnie, gdy mówi:

– Sprawdzam, czy to działa w obie strony.

Patrzę na jego pochyloną głowę. Wzdycham z przerażeniem, gdy zdaję sobie

sprawę, co ma na myśli. Chce ożywić Carłę. Zrobi to, co zrobił Lizzie i mnie, ale w drugą stronę. Zamiast wziąć przekaże jej energię elektryczną.

Przyglądam się czubkowi jego głowy. Jego kciuki zsuwają się na powieki Carli, spoczywają na nich przez chwilę.

– Co...?

– Jeżeli mogę ją utrzymać przy życiu, dopóki nie skoczemy, to może gdy się odrodzimy, będzie z nią wszystko w porządku. Będzie żyła.

Ocali ją tak, jak my ocaliliśmy jego.

I zapłacę cenę.

– Nie możesz. – Moje palce mocniej wciskają się w jego ramię. – Nie pozwolę ci.

Rzuca mi spojrzenie.

– To mój wybór, Miki. A nie twój.

– Zabiją cię. Komitet. Nie pozwolą na to.

Unosi głowę, usta kształtują się w mroczny, drapieżny uśmiech.

– Niech spróbują.

Nie będą musieli za bardzo się wysilać. To Komitet. Wykrzywiają czas, przemieszczają nas pomiędzy rzeczywistościami. Nie dorównuje im. Ta myśl powoduje, że cierpienie wybucha we mnie jak pęknięta rura.

– Nie mogę stracić również ciebie. A stracę, jeśli to zrobisz. Komitet cię pojmie. Zabiją cię. Tym razem nie będzie ułaskawienia. Będziesz martwy. Jeśli to, co chcesz zrobić, nie powiedzie się, to Carla nadal będzie martwa. Oboje odejdziecie.

Nie mogę stracić obojga.

– Więc muszę postarać się, aby to się udało.

Jackson unosi powieki Carli, jej martwe oczy są skierowane na sufit.

Jestem rozdarta, chora, przerażona. Nie mogę pozwolić, aby to zrobił.

I nie mogę mu zabronić.

Luka ciągle krzyczy, abyśmy mu powiedzieli, co się dzieje. Słyszę odgłos szurania, jakby włókł się po podłodze.

– Jackson – szepczę.

Proszę nie rób tego.

Proszę zrób to.

Uratuj ją.

Uratuj siebie.

– Ty... – Dławię się słowami, mam wrażenie, że moje wnętrze to sieczka.

Jackson ignoruje mnie. Przysuwa się bliżej do twarzy Carli.

Dzisiaj w nocy stracę kogoś, kogo kocham. Tutaj. Teraz. Albo umrze Carla, albo jeśli Jackson ją uratuje, zabierze go Komitet. I zabije.

Nie przeżyję, gdy stracę jedno z nich.

Drzę tak bardzo, że stukają mi zęby.

– Ja-Ja-Ja-Jackson...

Spogląda na mnie, jego oczy to wirujące srebro.

– Jeśli ona umrze, umrze część ciebie, Miki. Nie mogę na to pozwolić – mówi. – Wolę podjąć ryzyko starcia z Komitetem.

Ale oboje wiemy, że jego szanse są nikłe. Nie mogę wydobyć z siebie głosu. Potrząsam głową.

– Dlaczego sądzisz, że możesz wybierać? – pyta.

Jeden z kącików jego ust unosi się w ledwo widocznym uśmiechu, który łamie mi serce. Jego oczy wirują i wciągają mnie. Wzdycham, czując tę wciągającą siłę i ból. Odrywa ode mnie wzrok i koncentruje się na Carli.

– Proszę, Jackson, proszę...

Proszę, niech to się odstanie, niech będzie lepiej. Nie mogę jej stracić. Nie mogę stracić ciebie...

– O mój Boże. Co się stało?

Podrzucam głowę w górę. Lien, Kendra i Tyrone stoją na końcu korytarza, przyglądają się tej scenie i jednakowy wyraz przerażenia ściąga ich twarze.

Kiedy tu przyszli? W czasie, gdy trwała walka, zgaduję, widząc krew na ich ubraniach.

Tyrone patrzy gdzieś za mnie, unosi swój walec, z lufy wylatuje oleisty, czarny strumień. Nie muszę się oglądać, żeby wiedzieć, że to kolejni Drau wypływają ze swoich kryjówek. Czuję ich. Wroga.

Skąd się tu wzięli? Myślałam, że dopadliśmy wszystkich. Ale nie... nie mogliśmy, bo by nas już wyciągnęli.

Tyrone leci na nich, okrąża nas, strzela. Lien jest tuż za nim, Kendra za nią. Jackson się nie rusza. Nadal pochyla się nad Carlą, jego wzrok nieruchomo spoczywa na jej oczach.

Poświęcam im tysięczną sekundy. Nikomu się nie przydam, klęcząc na podłodze, kwiląc. Jackson poświęca swoje życie dla Carli, dla mnie. Przynajmniej mogę mu ofiarować więcej czasu, utrzymać go wystarczająco długo przy życiu, aby dokończył dzieła.

Mam tylko jedno ramię sprawne. Drugie wisi bezużytecznie z boku, wir bólu dzięki Drau, który w nie uderzył. Chwytam za miecz, podnoszę się na nogi, podążam za moją drużyną.

Światło pędzi korytarzem w moją stronę.

Nie myślę, nie mogę myśleć. Poruszam się na autopilocie, pozwalam, aby prowadził mnie instynkt. Wkładam w cios całą swoją siłę, przepoławiając czaszkę Drau jak melona.

Druga fala Drau wypływa z pokoju na końcu korytarza. Lien omija jednego, mimo że mogła oddać czysty strzał, żeby go zdjąć. Ustępuje miejsca Kendrze,

która go przejmuje i zabija strzałem w głowę.

Dowód na to, że Luka miał rację.

Tyrone przygląda się im i krzywi, potem rzuca się do przodu, strzela. Drau wystrzeliwiają w niego deszcz, trafiając tysiącem maleńkich igiełek bólu. Szarpie się, ale idzie dalej.

– Miki! – krzyczy Jackson. – Padnij.

Ale jego ostrzeżenie przychodzi za późno.

Rozdział dwudziesty czwarty

Następuje eksplozja światła i wstrząsająca detonacja dźwięku. Moje siatkówki płoną, jaskrawy blask rozdziera mi czaszkę, hałas miażdży drobniutkie kości w moich uszach.

Jestem oślepią, równowagę mam zachwianą. Czuję, że podłoga ucieka. Ręka chwyta za moje ramię i prowadzi mnie, zanim upadnę. Lien? Kendra?

Słowa docierają do mnie jako pomieszane fragmenty dźwięków, niektóre daje się rozczytać jak podczas zakłóceń radiowych.

– Ja... ma... ją.

Poznaję ten głos. To ta dziewczyna. Ta sama dziewczyna.

– Lizzie? – szepczę. Albo krzyczę. Mój słuch jest tak popaprany, że nie czuję różnicy.

Bez odpowiedzi.

Drau... gdzie oni są?

Nie widzę, nie słyszę. Nie mogę się bronić. Ani Jacksona. Ani Carli. Zamierzam śmigać mieczem dziko, na oślep, może kogoś zabiję, lecz co, jeśli to będzie Tyrone, Lien lub Kendra?

W końcu siedzę na podłodze, pierś mi faluje, w pułapce samej siebie, a jedynym moim towarzyszem jest strach.

Drau? Gdzie oni są?

Liczę na swój instynkt, który zawsze mnie alarmuje, gdy są w pobliżu. Ale nic się nie dzieje. Cisza radiowa.

Zagraża mi panika. Wpycham ją do środka, kładę przykrywkę na garnku, ale bulgoce i drga, próbuje się uwolnić.

Nie mogę tak tu beczynnie siedzieć. Podnoszę się na kolana, odpycham się dłońmi od podłogi z jednej strony, potem z drugiej, mam nadzieję, że natknę się na Jacksona... Carlę... kogoś.

Nie wiem, ile upłynęło czasu. Sekunda. Rok.

Huk w uszach słabnie do poziomu buczenia, potem do nikłego syku.

Boję się krzyżeć. Zamiast tego posuwam się po podłodze w stronę, która – jak sądzę – doprowadzi mnie do Jacksona.

Ila czasu to już trwa? Wydaje się, że godzinę, lub całą udrekę czekania na powrót wzroku, na osłabienie tego buczenia czy wrzasku w uszach. Jestem przerażona, że Drau nas dopadną, że mojej drużyny już nie ma.

Uderzam w coś. W bark.

Wyczuwam kamizelkę z kieszeniami, lecz nie dużymi okrągłymi kólkami. To nie Jackson. To Luka. Odnajduję jego rękę. Ściskam ją. Oddaje uścisk.

Co teraz? Przeczekać? Iść dalej?

Przeczესuję teren wokół siebie, dopóki nie uderzam w ramę drzwi – dotąd

podciągnął się Luka. Rysuję w wyobraźni mapę, aby ustalić, gdzie znajdował się Luka w relacji do Jacksona i Carli.

Czołgam się dalej, używając łokci jak żołnierz, przede wszystkim na jednym ramieniu, bo drugie nadal jest słabe i zdrętwiałe.

Tuż przede sobą widzę mały poruszający się cień na tle jasnej podłogi. Nieruchomieję. On też. Ruszam się. On też.

Moja ręka. Widzę swoją rękę, gdy czołgam się na brzuchu. To nie wiele, ale zawsze coś.

Czuję napływającą słabym strumieniem ulgę. Koncentruję się na rękach, zmuszam się, aby dostrzec poszczególne palce.

Widzę. Widzę je.

Podnoszę głowę i udaje mi się zlokalizować drzwi dzięki subtelniej różnicy światła. Wystarczy, abym zobaczyła czarny prostokąt.

Próbuję wypatrzeć jasne wybuchy światła na ciemnym tle, znak Drau.

Nic.

Staję na nogi, kołyszę się, niedobrze mi. Robię krok, potykam się, prawie upadam, ale w porę uderzam w coś solidnego ramieniem. Ściana.

Mrugam, stoję tam, wściekła z powodu bezsilności, zdesperowana, aby odzyskać kontrolę.

– Miki?

To głos Jacksona zakamuflowany przez buczenie tysięcy pszczoł. Odwracam się w kierunku dźwięku, do niego. Jego ramiona wokół mnie, twarde, bezpieczne. Zamykam oczy.

– Carla? – pytam chrapliwie.

– Nie wiem. Nie skończyłem tego, co zacząłem.

– Drau?

– Czy gdyby jacyś tutaj jeszcze byli, to nadal byśmy oddychali?

Ma rację.

– Czy widzisz ją? – pytam.

– Tylko cienie.

– To tak, jak ja. Gdzie jest... – Przełykam ślinę pomimo guli w gardle. – ...gdzie jest Carla?

– Tu z tyłu.

Jackson przesuwa mnie o parę kroków do przodu, ale nie ma tu Carli. W każdym razie ja jej nie widzę.

– Jesteś pewien, że jest z tej strony?

– Tak.

– Gdzie?

– Nie wiem – mówi po chwili zawahania.

Opuszczam się na kolana i ruszam do przodu, ręce wyciągnięte. Skręcam

w prawo. Lewo. Nie mogę jej znaleźć. Ślepa nie może jej znaleźć.

– Czekaj – mówi Jackson. – Nie ruszaj się. Pozwól, aby dostosowały się twoje oczy. Znajdziemy ją. Poczekaj minutkę.

Jest tak zdenerwowany i spięty, że może się złamać. Nie chodzi tylko o Carlę. Chodzi o zielonooką dziewczynę. Lizzie.

Boże, jak on musi teraz się czuć.

– Czy – sięgam po jego rękę, znajduję ją i splatam swoje palce z jego – widziałeś ją? Tę dziewczynę? Lizzie? – szepczę.

Nie odpowiada od razu, a kiedy zdobywa się na odpowiedź, jego głos jest tak cichy, że muszę się mocno wyęczać, aby go usłyszeć.

– Moją siostrę wzięli Drau. Utrzymywali jej ciało przy życiu, podłączone do maszyny. Chcieli stworzyć armię powłok na jej wzór. Poszedłem tam trzy razy i zabijałem Lizzie od nowa. Odłączyłem maszyny. Wyciągnąłem rurki z armii klonów, którą stworzyli Drau z jej DNA. – Przerzywa. – Wygląda na to, że muszę zrobić to po raz czwarty.

Mocniej ściskam jego rękę, czuję mdłości.

– Uratowała mi życie – mówię. – Może...

– Nie mów tego. Nie mów tego, Miki. Lizzie odeszła. Pięć lat temu. Ta rzecz nie była moją siostrą.

Kiwam głową, przytulam się do niego, serce mnie boli, jestem zmieszana i przestraszona. Pamiętam, jaką miała broń. Broń Drau. Pamiętam, jak pobiegła za Drau, lecz nie strzelała, mimo że miała ich w zasięgu. Jakby nie chciała zabijać swoich.

Ale przecież zabiła, nieprawdaż? W czasie ostatniej misji, kiedy krwawiłam, przysięgłabym, że strzelała do Drau, gdy do nas podchodzili.

– Jeżeli ta dziewczyna była powłoką, to dlaczego mnie ocaliła?

– Tak właśnie robią. Trzymają ludzi przy życiu wystarczająco długo, aby wyciągnąć ich DNA, zmienić ich w armię powłok.

Drzę przerażona.

Gdy unoszę głowę, widzę wyraźniej cienie i światło. Znowu widzę wszystko wyraźnie.

Carla.

Otaczam ciasno ramionami swoją talię, przyciskam je do brzucha. Nie chcę patrzeć, nie chcę jej widzieć w takim stanie, połamanej i zakrwawionej.

Jackson ma na sobie okulary, chowa oczy. Swoje oczy Drau. Czy się udało? Czy uratował ją?

Przełykam mimo osadzającej się w tyle gardła żółci. Drżąc, odwracam się tam, gdzie zostawiłam Carlę leżącą na podłodze.

Wzrok mi się wyostrza i kieruje na ciemną plamę krwi na jasnej podłodze, na etykietkę od musztardy leżącą na brzegu czerwonego rozlewiska, na żółtą

perukę Carli pół metra dalej.

Ale nie ma Carli.

Nie ma jej tutaj.

– Carla! – krzyczę.

Czy ona po prostu wstała i sobie poszła? Skaczę na równe nogi i biegam wzdłuż korytarza, zaglądając przez drzwi. Jackson łapie mnie od tyłu.

– Skaczymy za trzydzieści sekund – mówi. – Jej tu nie ma, Miki. Możemy tylko mieć nadzieję, że odrodzi się razem z nami.

– Ale... – Potrząsam głową. To nie ma sensu. Nic już nie ma sensu. – Od początku wszystko szło nie tak w tej misji. – Patrzę na Jacksona. – Jak możesz być taki spokojny? – szepczę. – Jak możesz przyjmować to bez mrugnienia okiem?

– Miki?

To nie głos Carli. To głos Luki, bardzo słaby. Odwracam głowę, siedzi oparty o ramę drzwi, jego twarz jest tak biała, jakby zanurzyli ją w wosku.

– Człowieku, tak jakbym patrzył prosto w słońce – mówi Tyrone, idąc w naszym kierunku korytarzem. Przesuwał jedną ręką po ścianie, nadal wyczuwając drogę dotykiem. – Co to było?

– Flashbang – odpowiada Jackson.

Tyrone kiwa głową.

– Granat ogłuszający. Ma obezwładniać, a nie zabijać. Ktokolwiek go użył, chciał, abyśmy wypadli z obrotu na kilka minut, ale nie chciał nas zranić ani zabić. Dlaczego? Kto?

Obraca się. Zwęża oczy, gdy przygląda się Lien i Kendrze. Opierają się o ścianę, Kendra ma opuszczoną głowę, ukrytą w dłoniach. Lien obejmuje ją ramieniem.

– Uważasz, że to my? Serio? – pyta Lien. – Dlaczego miałybyśmy to zrobić?

– Żeby ukraść punkty – krzywi się Tyrone. – Sądzicie, że nie wiemy, że jesteście grierferami?

Lien obrzuca go spojrzeniem, lecz jest zupełnie spokojna.

– Jak mogliśmy kraść punkty, skoro byliśmy również oślepieni? Nadal ledwo cię widzę. I zauważ, że nie miałyśmy okazji wnieść flashbanga, czy jak to nazwałś, do gry.

– Ściema – mówi Luka. – Nie można niczego wynieść z gry, ale można przynieść każde gówno. Dowód: nasze ciuchy.

– Nie zrobiłyśmy tego – mówi Lien. Patrzy na Tyrone'a. – Natomiast jesteśmy grierferami. – Podciąga odrobinę podbródek, jakby wyzywała go na słowny pojedynek. – Stwarzam tyle okazji, ile mogę, aby Kendra zdobywała punkty. Musi wyjść z gry. – Przetyka ślinę i ku mojemu przerażeniu jej oczy wypełniają się łzami, nie ma śladu po jej brawurze. – Nie wytrzyma. Muszę ją wyprowadzić, zanim ta gra ją złamie. Lub zanim przyczyni się do śmierci kogoś

innego. – Wyciąga rękę do Tyrone’a. – Nie rozumiesz. Ta gra ją zabije.

– Tak – mówi Tyrone – rozumiem. Rozumiem więcej, niż myślisz.

Lien patrzy na Lukę, potem na mnie i na Jacksona. Łzy kapią jej po policzkach, trzyma Kendrę, jej podbródek spoczywa na czubku głowy niższej koleżanki.

– Nie rozumiesz – mówi Lien. – Nie rozumiesz.

Ale to nieprawda. Wszyscy rozumiemy.

Odradzamy się w jeepie na moim podjeździe. Jestem zdezorientowana, martwię się.

Wydaje mi się, że samochód kręci się w kółko, wymykając się spod kontroli. Za wyjątkiem tego, że nie jest w ruchu.

Wybieram sobie stały punkt przez boczne okno – lampę w połowie ulicy – i patrzę na niego tak długo, dopóki nie skończy się wirowanie. Dwoje starszych dzieciaków mija mój dom, szukając poczęstunku w domach, które nie zapaliły świateł. Poruszają się niemożliwie powoli, każdy krok przerysowany, jakby wdepnęli w galaretkę. Tak się dzieje, gdy materializujemy się w prawdziwym życiu. Chwilowe zagubienie. Brak synchronizacji pomiędzy dwoma światami.

W siedzeniu obok mnie Jackson wyciąga rękę w kierunku stacyjki. Jedyne on i ja poruszamy się z normalną szybkością.

Tępy ból narasta za moimi oczami. Rwie mnie szczeka. Potem pękają mi uszy i – pstryk – wszystko przyspiesza. Mijający nas samochód jedzie już z normalną prędkością. Dzieciaki przyspieszają i idą normalnym krokiem.

– Zadzwoń do Carli – mówi Jackson, jego nadgarstki spoczywają na kierownicy, ramiona ma rozluźnione.

Jak może być taki spokojny? Jak w ogóle może myśleć? Mój mózg zachowuje się tak, jakby wyrósł mu zielony meszek, jak na chlebie sprzed trzech tygodni.

Wyciągam telefon. Wykręcam. Brak odpowiedzi.

– Carlo, zadzwoń do mnie. – Ledwie mogę wymówić te słowa zdławionym głosem.

Czuję, że mam przebite serce. Rękę mi się trzęsą, wykręcę numer Dee, potem Kelley.

– Nie odpowiadają. – Myślę ociężale. Jedyne, na czym mogę się skupić, to obraz Carli pokrytej krwią. – Spróbuję Amy. Shareese, Maylene, Sarę...

Jackson przykrywa moją rękę swoją, kojąc moje gorączkowe działania.

– Jeżeli są na tańcach, to nie usłyszą telefonu, a nawet jeśli usłyszą, to mogą nie odbierać – mówi.

– Mogły ustawić telefony na wibracje. Mogły.

Zaciskam usta i obracam głowę do okna, wyglądam przez nie, ale nic nie widzę. Jackson wycofuje samochód z podjazdu. Po paru minutach pytam:

– Dokąd jedziemy?

– Na zabawę.

Jego głos jest taki zimny. Taki odległy. Wydaje mi się, że gdy spróbuję go dotknąć, to uderzę w niewidoczną barierę, tak jak to miało miejsce w amfiteatrze przed Komitetem.

Cierpię, ale on również cierpi. Nie jestem jedyną osobą, która została dzisiaj rozdartą i obdartą ze skóry.

– Czy chciałbyś porozmawiać o Lizzie?

Odwraca głowę w moją stronę, jego twarz pozostaje bez wyrazu, oczy ukryte pod nieprzejrzystymi szklami.

– Nie.

– Czy chciałbyś porozmawiać o tym, ile wiedziałeś? – Gdy nic nie mówi, wyjaśniam: – Zanim poszliśmy na tańce? Zanim reszta z nas dowiedziała się, że Drau wdarli się do naszego świata?

– Nie.

Część mnie odczuwa ulgę. Nie wiem, czy wytrzymam tak trudną rozmowę, kiedy najważniejszą rzeczą dla mnie w tej chwili jest znalezienie Carli i przekonanie się, że wszystko z nią w porządku. Konwersacja na pewno byłaby trudna, bo jestem prawie pewna, że Jackson wiedział więcej, niż wyjawiał, i nie podoba mi się, że celowo utrzymywał mnie w nieświadomości.

Resztę drogi pokonujemy w milczeniu.

Zaledwie zaparkował, a już wybiegam z jeepa i lecę w kierunku drzwi szkoły. Dogania mnie, obejmuje w talii, wstrzymuje. Biję go po rękach i walczę, żeby się uwolnić.

– Carla. Muszę...

– Wiem. Uspokój się. Nie zwracaj uwagi. Miejmy nadzieję, że wejdziemy tam i ujrzymy ją na parkiecie w całej swojej oślepiającej żółtej wspaniałości.

Ma rację. Nie chcę o to pytać. Jednak muszę.

– A jeśli jej tam nie będzie?

– To coś wymyślimy, Miki.

Nie mam pojęcia, jak może być tak pewny siebie. Co wymyślimy, jeśli okaże się, że ona nie żyje?

Idziemy w stronę drzwi frontowych, Jackson obejmuje mnie i narzuca tempo.

– Czy już kiedyś słyszałeś o takim przypadku? – pytam. – O cywilu wciągniętym do gry? Rannym? Zabitym w czasie misji?

Mięśnie szczęki Jacksona się zaciskają.

– Nie.

Wracam myślami do pierwszego razu, gdy mnie wyciągnięto, do młodszej siostry Janice Harper, która prawie zginęła pod kołami ciężarówki. Mogła wtedy

zginąć. A Jackson... miał zaledwie dwanaście lat, kiedy on i Lizzie mieli wypadek samochodowy...

– Byłeś ranny w wypadku samochodowym. Niemal zginąłeś – mówię.

– To się nie stało w czasie misji.

– Nie, ale byłeś cywilem, gdy to się stało i wyciągnęli cię do gry. Zrobili dla ciebie wyjątek. Mogliby zrobić wyjątek dla Carli. Mogłaby zostać wyciągnięta. Do gry. Moglibyśmy ją wyszkolić. Pilnować jej. Moglibyśmy...

Jackson ściska mi ramię.

– Tak, zrobili wyjątek, lecz wiele zyskali, utrzymując mnie przy życiu, rzucając do walki. Oferowałem szczególny kod genetyczny, który bardzo im się podoba. – Palcem wskazującym podsuwa okulary na mostek nosa, delikatne przypomnienie tego, co wniósł do rozmów, gdy Komitet zdecydował się go zaciągnąć. – Carla jest człowiekiem.

– Tak jak my – mówię opryskliwie.

– W większej części. Ale jesteśmy także czymś innym.

Przez sekundę jestem na niego wściekła. Ale ma rację. I to nie jego wina, że ma rację.

– Czy chciałabym dla niej takiego rozwiązania, gdybym miała wybór? – pytam.

Chciałabym? Czy chciałabym, aby weszła do gry, stawiała twarzą w twarz z tym, przed czym ja stoję za każdym razem, gdy zostaję wyciągnięta?

– Lepsze to niż śmierć – mówi łagodnie Jackson. – I nie do ciebie należy wybór, Miki. Jeżeli to w ogóle jest możliwe, zdecyduje o tym Carla.

Tak jak decyzja należała do Jacksona, kiedy zrobił to, co zrobił, ryzykując, aby ją ocalić. Złamał dla niej wszystkie zasady. Zaryzykował dla niej życie i gniew Komitetu.

Nie, nie dla niej. Dla mnie.

– Miejmy nadzieję, że nie trzeba będzie podejmować żadnych decyzji – mówi. – Miejmy nadzieję, że odrodziła się w pełni zdrowa.

Razem pochodzimy do drzwi audytorium. Wszystko sprawia wrażenie *déjà vu*. Marcy mierzy wzrokiem Jacksona, a Maylene gawędzi z nim i się uśmiecha. Jackson wymienia gotówkę na bilety. Kathy patrzy na swoje ręce, gdy liczy banknoty.

Wchodzimy do środka. Parkiet jest pełen, muzyka huczy, światła migocą, dokładnie jak wtedy, gdy przybyliśmy wcześniej. Obracam się w kierunku, gdzie ostatni raz widziałam Carlę. Jest Kelley i... jest Dee. Wraz z Jacksonem przebijamy się przez tłum w ich stronę.

Zanim mam okazję zapytać, Dee wrzeszczy mi do ucha:

– Widziałas Carlę? Spóźnia się i nie mogę się do niej dodzwonić!

– Nie ma jej tutaj? – Żebra mi pękają pod uciskiem metalowej obręczy,

zamykając dostęp do powietrza.

Dee przecząco potrząsa głową.

– Kiedy ostatnio z nią rozmawiałaś? – pyta Jackson.

Spogląda na niego, marszczy czoło.

– Nie wiem. Godzinę temu?

Osaczam Kelley, starając się nie pokazać, jak bardzo jestem rozgorączkowana.

– A ty?

Wrzeszczymy, żeby przekrzyczeć muzykę.

– Nie rozmawiałam z nią, od kiedy tutaj jestem. Co się stało, Miki?

Zanim wymyślam, co odpowiedzieć, Jackson łapie mnie za ramię i używając swego ciała jak klina, przepycha nas z powrotem do drzwi wejściowych. Praktycznie zderzamy się z Luką, gdy wychodzimy.

Przez ułamek sekundy ogarnia mnie czysta radość, że widzę go całego, nieuszkodzonego, jego poważne rany pozostały za nami w grze.

– Carla? – pyta.

Ma udrękę wypisaną na twarzy i szybko sprowadza mnie do rzeczywistości, w której moja najlepsza przyjaciółka może być martwa, bo pobiegła za mną. Ostrzec mnie. Uratować mi życie.

Moja wina.

– Tutaj jej nie ma – mówi Jackson. – I nikt nie miał od niej wiadomości od początku zabawy.

Luka spogląda na mnie i pyta:

– Jakież pomysły?

Mam wrażenie, że mój mózg jest ołowianą cegłą.

– Sprawdzimy u niej w domu – mówi Jackson.

To jest jakiś pomysł. Luka kiwa głową.

– Ty prowadzisz – mówi ponurym głosem, gdy idziemy do jeepa.

Kiedy Jackson podjeżdża pod dom Carli, nie czekam na chłopaków, wyskakuję z samochodu, gdy jeszcze jest w ruchu. Przedzieram się przez podjazd i dzwonię do drzwi. Słyszę, jak ktoś wewnątrz chodzi, drzwi się otwierają.

Słowa stają mi w gardle, zatykają tchawicę, zatrzymują oddech.

Na progu stoi mama Carli, ramiona jej zwisają, twarz ma ponurą.

Rozdział dwudziesty piąty

Wyraz twarzy pani Conner posyła strzały cierpienia wprost do mojego serca. Gdyby nie Jackson, który podszedł z tyłu i chwycił mnie za łokcie, aby mnie podtrzymać, mogłabym upaść.

– Miki – mówi mama Carli. – Czy ona do ciebie dzwoniła?

Nie jestem w stanie mówić. Potrząsam tylko głową.

– Myślałam, że już to mamy za sobą. – Wzdycha. – Minęły lata, odkąd ostatnio miała jeden z tych napadów. Może ty przemówisz jej do rozsądku. – Unosi ręce do góry. – Brakuje mi pomysłów.

Próbuję usystematyzować swoje myśli i oczekiwania w nawiązaniu do postawy pani Conner. Nie cierpi. Nie uległa panice. Jest zmartwiona, tak, ale wydaje się być raczej... rozdrażniona. Potem jej słowa docierają do mnie przez warstwę strachu.

– Czy Carla... ma się dobrze? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Na ile to możliwe, gdy zamyka się na godzinę w łazience, wypłakując wszystkie łzy, nie chce ze mną rozmawiać i otworzyć.

Ulga jest tak przeszywająca, że uginają się pode mną nogi. Jackson naciska na moje plecy, dzięki czemu stoję wyprostowana.

– Nie jest... – Martwa.

Carla nie jest martwa. Zamknęła się w łazience. Cokolwiek jest nie tak, możemy to naprawić.

Pani Conner mruży oczy, przyglądając się Jacksonowi i Luce, którzy za mną stoją.

– Czy to przez jednego z was? Któryś złamał jej serce?

Wstydlive pytanie mamy. Ogarnia mnie przenikliwa tęsknota, chciałabym, aby moja mama tutaj była i zadała mi najbardziej wstydlive pytanie pod słońcem.

– Nie – mówię. – Tu nie chodzi o nich. Może jest zmartwiona z powodu kostiumu. Czy coś mówiła? Cokolwiek?

Pani Conner potrząsa głową.

– Coś poza: „idź sobie”? Nie. Płacze tam już ponad godzinę. Nie wychodzi. Nie chce ze mną rozmawiać. Słyszę, że płacze. Postraszyłam ją, że poproszę jednego z jej braci, aby wyłamał drzwi. Ale powiedziała, żeby pod żadnym pozorem tam nie wchodziła. Teraz wszyscy wyszli, zostałyśmy tylko we dwie, a ona od dwudziestu minut nie wydała z siebie głosu. – Wzdycha. – To nie tak, że cały czas stoję pod drzwiami i nasłuchuję. Po prostu od czasu do czasu sprawdzam.

– Ja... – wydobywam z siebie jakiś rechot. Zwilżam wargi i próbuję jeszcze raz. – Proszę pozwolić mi z nią porozmawiać.

Otwierając szerzej drzwi, pani Conner zaprasza nas do środka.

– Zrób wszystko, na co cię stać, Miki.

Zsuwam palcami buty. Jackson i Luka robią to samo i całą trójką idziemy w kierunku łazienki. Pani Conner ostrożnie nas obserwuje. Jasne, że to dziwaczne. Ja, Jackson i Luka ścigamy Carlę w łazience. Pukam do drzwi.

– Carla? – Nie ma odpowiedzi. – Carla? Otwórz. Jestem tu z Jacksonem i Luką. Martwimy się o ciebie. – Muszę ją zobaczyć. Wiedzieć, że ma się dobrze. – A Kelley i Dee chcą, abys przyszła na tańce. Ketchup i marynata bez musztardy to nie to samo.

Nie ma odpowiedzi.

Luka sięga do klamki i porusza nią. Zamknięte na klucz.

Wymieniamy spojrzenia: co teraz zrobimy? Spoglądam ponad ramieniem na Jacksona, aby sprawdzić, czy coś mu świta, ale go tu nie ma. Stoi na szczycie schodów i rozmawia z mamą Carli.

Ponownie odwracam się do drzwi i pukam w nie.

– Carla? Słuchaj, nie musisz otwierać, jeśli nie chcesz. Po prostu odpowiedz mi. Powiedz, że nic ci nie jest. W innym wypadku...

Staram się wymyśleć jakiegoś straszaka. Spoglądam na Jacksona. Stoi tam, patrząc na mnie, ramiona skrzyżowane na piersiach. Pani Conner zostawiła nas samych, więc z jej strony nie można oczekiwać pomocy. Wzdycham i odwracam się do zamkniętych drzwi.

– W innym wypadku twoja mama mówi, że zadzwoni pod 911. Naprawdę się martwi. Wszyscy się martwimy.

Przyciskam ucho do drzwi. Cisza. Kombinuję, co jeszcze powiedzieć, minuty mijają, mój wyczerpany mózg jest pusty.

– Pozwól mi – mówi Jackson.

Odwracam się i widzę, że wróciła pani Conner. Wręcza coś Jacksonowi. Nie wyobrażam sobie, aby Carla wykazała więcej chęci do współpracy z Jacksonem niż z mamą i ze mną. Jednak przesuwam się na bok, mam nadzieję, że nie mam racji.

Oczywiście Jackson stosuje zupełnie inne podejście. Rozwija spinacz, który prawdopodobnie dała mu pani Conner. Kuca, aby mieć na linii oczu klamkę, i wsuwa końcówkę spinacza w dziurkę do klucza. Rusza nim kilka razy, po czym przekreśla klamkę. Drzwi uchylają się.

Jackson podnosi się i cofa. Gdy Luka sięga do klamki, Jackson łapie go za nadgarstek.

– Pozwól Miki – mówi.

Spoglądam na panią Conner, która teraz stoi na szczycie schodów. Ręce założyła na piersiach, brwi zmarszczone. Mimo że bardzo starała się przekonać nas, że jest tylko rozdrażniona, wygląda na naprawdę zmartwioną.

Posyłam jej – mam nadzieję – dodający otuchy uśmiech, wsuwam się do łazienki i zamykam za sobą drzwi. Jest ciemno, przez żaluzję na oknie wpada

jedynie wąski strumień światła.

– Carla? – odzywam się, gdy włączam lampę, która jednocześnie uruchamia sufitowy wiatrak.

Mają wspólne kable prowadzące do jednego przełącznika. Razem z Carłą powtarzamy ciągle ten sam dowcip o tym, że ten wiatrak jest głośniejszy od odrzutowca, więc zawsze wiemy, kiedy jeden z jej braci siedzi na sraczu.

Gdy wiatrak budzi się do życia i oślepia ją nagły strumień światła, Carla wydaje pisk i przesłania ramieniem oczy. Leży zwinięta na podłodze w kącie łazienki, ubrana w żółty kombinezon. Nigdzie nie widać żółtej peruki i musztardowej etykiety, która była przyczepiona do kostiumu.

Kucam koło niej i pochylam się, próbując ją uściskać. W tej pozycji wygląda to bardziej jak blokowanie typu cross-body w profesjonalnym wrestlingu.

Wierci się i mówi:

– Co robisz? – Jej słowa są wytłumione przez moje ramię.

– Ja? Co ty robisz? Cholernie nas przestraszyłaś.

– Co?

Jakby się skręca do pozycji siedzącej i odpycha ode mnie, przesuwa się tak długo, dopóki jej plecy nie opierają się o ścianę, a nogi nie są wyciągnięte z przodu. Jej oczy są zapuchnięte i czerwone, obrzmiałe i prawie całkowicie zamknięte. Na policzkach widać ślady łez.

Rozgląda się wokół, chowa twarz w dłoniach.

– O mój Boże. Czy ułożyłam się do snu na podłodze w łazience, kiedy płakałam? Czy mogę być jeszcze bardziej żałosna?

Siadam na podłodze obok niej, przypominam sobie czasy, gdy miała dwanaście lat i przechodziła poważne wahania nastroju, zamykała się wtedy w łazience na wiele godzin i po prostu płakała. Czasem pozwalała mi wejść. Czasem nie. Ale nie ma już dwunastu lat i chodzi tu o coś zupełnie innego.

– Czy... hm... wypięłaś coś? – pytam.

– Nie.

– Paliłaś coś?

– Nie!

– Masz okres?

Uderza w moje ramię.

– Zamknij się.

Siedzimy tak, ramię w ramię, moje plecy do ściany, nogi wyciągnięte wzdłuż jej nóg. Moje są w czarnym. Jej w żółtym. Wyglądamy jak trzmiel. W końcu mówi:

– Przyśnił mi się koszmar. Wydawał się taki realny.

– Chciałabyś... opowiedzieć mi o tym?

– Umarłam.

Żołądek zwija mi się w węzeł i czekam na ciąg dalszy. Na języku mam milion pytań. Nie chcę wywierać na nią presji, ale muszę wiedzieć. Gra przenosi się do prawdziwego życia i teraz, gdy widzę, że Carli nic się nie stało, że wyszła z tego, powinnam zacząć myśleć strategicznie. Każda informacja, którą mi przekaże, może okazać się cenna w pokonaniu Drau.

Przejaśnia mi się w głowie, implikacje iskrzą zabójczo jasno. Drau byli na zabawie w mojej szkole. Prawie zabili Carlę. Następnym razem z tego zdania słówko „prawie” może zniknąć. A liczby ofiar nie da się wyrazić pojedynczymi cyframi. Liczba zabitych może osiągnąć setki... tysiące...

– Myślałam, że nie umiera się we własnych snach – mówi Carla właśnie wtedy, gdy zamierzam zadać jej pytanie lub dwa – bo jeśli umiera się we śnie, to umiera się naprawdę.

– Sądzę, że to mit. Opowiedz mi o swoim śnie.

Zabiera ręce od twarzy i patrzy na podłogę, ciągnąc za naprzemienne nitki puchatej maty kąpielowej.

– Byłam na zabawie. Robiliśmy „The Time Warp”. Błyskały światła, bardzo jasne, w centrum tego wszystkiego. Światła w kształcie ludzi. Pomyślałam, że ktoś wymyślił naprawdę fajny kostium. Potem pojawiło się mnóstwo małych światełek, jak lądujące gwiazdki, a kiedy lądowały wypalały dziury w ludzkiej skórze. Wszyscy zaczęli krzyczeć. Biec. Wszyscy oszaleli. – Ciągnie za nitkę z dywanika, puszcza ją, ciągnie inną. – Ty tam byłeś. Ty i Luka, i Jackson. Ktoś włączył alarm przeciwpożarowy. Ty pobiegłaś w kierunku sali gimnastycznej zamiast uciekać na zewnątrz. Bałam się, że zostaniesz ranna. Zabita. – Wzrusza ramionami, nadal wpatruje się w dywan i ciągnie kolejne nitki. – Wiedziałam, że muszę pójść za tobą, ocalić cię. Coś jakby pchało mnie do tego. Zeszłaś do piwnicy i wiedziałam, że jeśli nie pójde za tobą, to stanie ci się coś strasznego. – Przerzywa. – To było takie realne. Nie przypominało żadnego z moich innych snów.

Kładę rękę na jej dłoni i ściskam ją. Przestaje ciągnąć dywanik, siedzi tam, spięta i sztywna.

– Znalazłam cię – mówi. – Prosiłam, abys stamtąd wyszła. A potem umarłam.

Moje palce zaciskają się na jej. Spogląda w dół i rozkłada rękę na swoim brzuchu.

– To nie bolało. Takie tępe uczucie. Odrętwienia. Ale było dużo krwi. – Bierze głęboki, wstrząsający oddech. – Naprawdę dużo krwi.

Pozwala, aby ręka jej opadła. Unosi głowę, opiera ją o ścianę, oczy zamknięte.

– Wiesz, że nienawidzę widoku krwi.

Czekam, aż będzie kontynuować, i już zamierzam ją przynaglić, gdy znowu zaczyna mówić.

– Potem był tam Jackson, pochylał się nade mną, patrzył mi w oczy. Ale był dziewczyną. A potem taki laserowy promień wszedł mi przez oczy prosto do mózgu. Bardzo bolało. Jakby oczy miały eksplodować. Szary laser, srebrzysty, naprawdę przerażający. To był...

Pochyliła głowę do przodu i ponownie ciągnie za dywan. Nie wiem, co mam myśleć, co powiedzieć. Pamięta wszystko, co zdarzyło się w grze. Ale nie wie, że pamięta. Uważa, że to był sen, naprawdę zły sen.

Chcę jej o wszystkim opowiedzieć. O Drau. O Komitecie.

O niczym nie chcę jej mówić. Mam nadzieję, że nadal będzie przekonana, że to był koszmar, i w zasadzie z jej opisu wynika, że jest to mieszanka kosmaru z pamięcią.

– To rzeczywiście szalone – mówię w końcu. – Jackson dziewczyną?

Śmieję się, bo jestem tak spięta, że jeśli nie będę się śmiać, to się załamie. A ponadto pomyśl, że Jackson jest dziewczyną, jest dość zabawny. Najbardziej jednak cieszy mnie, że Carla jest cała. Jakoś wyszła z tego bez szwanku i za to jestem wdzięczna.

– Chodź. – Splatam palce z jej palcami. – Wyjdźmy z łazienki. Twoja mama się martwi. Luka i Jackson się martwią. A Dee i Kelley muszą już szaleć z niepokoju. Chodź.

Lekko ciągnę ją za rękę, ale nie rusza się z miejsca. Siedzi nadal na podłodze w łazience i gapi się na dywanik.

– Ten koszmar był okropny. Ale wiesz, co było jeszcze gorsze?

Przestaję ciągnąć. Nie ma zamiaru się ruszyć, to jeszcze nie koniec opowieści. Niepokój pełźnie po mojej skórze, wywołując gęsią skórkę.

– Powiedz mi.

– Kiedy spojrzałam w lustro... – Uwalnia swoją rękę z mojej. – Kiedy spojrzałam w lustro, ten koszmar nadal trwał. Moje oczy...

Wzdycham. Nie mogę się powstrzymać. Wiem, co zamierza powiedzieć.

– Moje oczy były takie jak ich. – Wstrząsa się. – Szare i straszne. Z przeciętymi źrenicami zamiast okrągłych. Nie były ludzkie. Były takie jak ich.

Teraz ja drzę.

Carla opisuje rozcięte źrenice Drau, ale przecież nigdy nie widziała tego Drau, który ją zabił. Uderzył ją od tyłu. Widziała źrenice Jacksona, gdy robił swoją sztuczkę w stylu Drau, ale jego źrenice są ludzkie, okrągłe.

Moje myśli przeskakują, gdy próbuję na nowo uporządkować kawałki tej układanki. Patrzę na czubek jej pochylonej głowy, jestem bardziej niż przestraszona, próbuję znaleźć jakiś sens w tej opowieści.

Powiedziała, że usnęła, płacząc, na podłodze w łazience...

– Czekał, kiedy miałaś ten koszmar? Tutaj, na podłodze? Po tym jak się zamknęłaś w łazience?

– Zasnęłam w łóżku. – Potrząsa głową. – To było takie dziwne. – Znowu ciągnie za dywanik. Szybciej. Mocniej. Wyciąga jedną z nitek, odrzuca ją i ciągnie kolejne. – W jednej sekundzie przygotowuję się do zabawy. – Przerzywa, jej ciało całkiem nieruchomieje, znowu zaczyna wyciągać nitki, jeszcze szybciej. – Obudziłam się w łóżku. Nie pamiętam nawet, że się kładłam. Przyszłam tutaj. Opłukałam twarz. Spojrzałam w lustro i...

Muszę zobaczyć jej oczy.

– Spójrz na mnie – rozkazuję.

Kiedy mnie nie słucha, niepokój przeradza się w ekstremalny strach.

A jeśli to nie jest Carla? Moja Carla. A jeśli to jest inna Carla? Powłoka?

Nie. To niemożliwe.

Czy zdążyliby sklonować ją i zrobić powłokę tak szybko?

A może wcale nie było tak szybko. Może przeskakiwanie czasu działa na ich korzyść. Czas mija inaczej w grze i poza nią.

Z drugiej strony zachowuje się dokładnie tak, jak Carla, gdy jest zmartwiona. Czy Drau wiedzieliby o tym? Czy mogliby zaprogramować to w klonach?

Adrenalina zwyżkuje, uwrażliwia moją skórę, sprawia, że tętno galopuje, oddech jest chrapliwy. Carla zaciska rękę w pięść i przyciska do żołądka, jakby poczuła się chora.

To moje pięć minut. Jest jeden sposób, aby się upewnić.

– Masz mdłości? – pytam, kładąc swoją rękę tuż pod jej.

Muszę wiedzieć, czy Carla jest powłoką. Lekko podkręcam palce, szukam dowodu. Mój palec wskazujący wyczuwa jej pępek.

Uderza mnie w rękę.

– Dlaczego mi grzebiesz w pępku?

– Przepraszam – mruczę.

Szczerzę zęby jak kot z Cheshire, ponieważ lycra opina ją ciasno i widzę lekkie wgłębienie. Powłoki nie mają pępowiny, więc nie mają pępków. Znalazłam odpowiedź na jedno z pytań.

– Dziwaczka – komentuje Carla bez złośliwości.

Potakuje i pociąga nosem, potem wyciera go grzbietem dłoni. Odwijam kilka kawałków papieru toaletowego i podaję jej.

– Boję się spojrzeć w swoje oczy – mówi.

Tak... to byłoby trudniej wytłumaczyć. Muszę je zobaczyć. Ocenić, na ile są problemem. Nie chcę nawet zaczynać spekulacji, dlaczego i w jaki sposób jej oczy są szare jak oczy Drau.

Czy dlatego że to Jackson ją uzdrowił? Naprawił ją? I teraz są jakoś powiązani? W takim razie dlaczego moje oczy nie stały się szare, gdy go uzdrowiłam? Bo przepływ energii nastąpił w przeciwnym kierunku? I jeśli Jackson ją uzdrowił, to dlaczego Komitet go nie zabrał, aby wyciągnąć konsekwencje?

Boli mnie mózg, gdy próbuję to rozszyfrować. Wszystko po kolei.

– Czy dlatego zamknęłaś się w łazience? Nie chciałaś, aby mama zobaczyła twoje oczy?

Śmieje się chrapliwie.

– Przypisujesz mi wymyślenie jakiegoś pretekstu. Nie wymyśliłam. Po prostu spanikowałam i ukryłam się tutaj.

– Pokaż mi.

– Boję się. – Wydaje się taka młoda, zagubiona i smutna.

– Wiem. Pokaż.

Obejmuję jej policzki, unosząc jednocześnie nieco twarz, abym mogła zobaczyć to, co widziała ona. Spoglądają na mnie orzechowozielone oczy Carli, makijaż spływa po jej twarzy, tworząc upiorne czarne paski.

Ulga przypomina balon wypełniony azotem, który wznosi się do góry bez końca.

– Zwariowałaś, wiesz o tym, prawda? – pytam.

– Co?

Wstaję, śmiejąc się. Chwytam za lusterko do makijażu leżące na półce i unoszę je tak, aby mogła siebie zobaczyć.

– Wszystko w porządku z twoimi oczami. To była część koszmaru.

– Och. – Przysuwa się bliżej do lusterka i przygląda się sobie. Potem się uśmiecha. – Och!

Odkładam lusterko i wyciągam do niej rękę.

– Wystraszyłaś się bez powodu.

Wybucha krótkim śmiechem.

– Przysięgam, że już nigdy nie zjem dużego batonika hershey za jednym posiedzeniem. Nigdy.

Łapie mnie za rękę i podciągam ją na nogi. I przez jedną tysięczną sekundy mam wrażenie, że jej oczy błyszczą szarością Drau.

Rozdział dwudziesty szósty

Nie idziemy na zabawę. Carla woli pójść do mnie i ochłonać, zmierza więc do swojego pokoju, aby się przebrać, podczas gdy Jackson, Luka i ja czekamy na nią, siedząc na najwyższym schodku od frontu. Dobiega do nas pojedynek na wrzaski pomiędzy nią a jej mamą, który choć stłumiony, niesie się przez ściany i szyby zamkniętych okien.

Milczymy. Wyczuwam napięcie promieniujące z Jacksona jak ciepło z ognia.

Luka rzuca mi spojrzenie, unosi brwi. W odpowiedzi unoszę moje. Nie jestem pewna, co odczytuje z tego gestu, lecz mówi:

– Nie wytrzymam tego siedzenia tutaj. – Klepie dłońmi swoje uda i wstaje. – Przejdę się.

Obserwuję go, gdy odchodzi.

– Dziękuję – mówię do Jacksona, gdy Luka jest poza zasięgiem głosu.

– Za co?

Nie patrzy na mnie, po prostu pochyla się do przodu, przedramiona na udach, ręce zwisają mu luźno pomiędzy kolanami.

– Za to, co zrobiłeś dla Carli.

– Nic dla niej nie zrobiłem.

Kiwam głową. Zrobił to dla mnie. I dla Carli, choć nie jest facetem, który by się do tego przyznał.

– W istocie nie sądzę, że zrobiłem cokolwiek – ciągnie, prostując i przechylając głowę do tyłu, jego twarz jest odchylona w kierunku nieba. – Nie miałem wystarczająco dużo czasu, aby wymienić się energią. Gdyby mi się powiodło, to Komitet już by się mną zajmował. – Opuszcza podbródek i lekko zwraca głowę w moją stronę. – Nie siedziałbym tutaj z tobą.

To prawda, lecz kiedy mówi to na głos, budzi się we mnie strach. Jeśli to nie Jackson zrobił...

– Sądzisz, że to oni ją uratowali? – Komitet.

– Coś jej pomogło. – Uśmiecha się leciutko. – Nie mogę przypisać sobie tej zasługi.

Głęboko wciągam powietrze, nienawidzę się za to pytanie, które za chwilę zadam, lecz coś mnie do niego pcha.

– Czy przypisujesz sobie kolejne kłamstwo, które mi zaserwowałeś?

Uśmiech znika. Przez chwilę milczy, potem pyta:

– O które kłamstwo ci chodzi?

– Było ich więcej? – Potrząsam głową. – Nie, nie odpowiadaj. Oczywiście, że było więcej niż jedno.

– Nie uważam tego za kłamstwa.

– Ponieważ były to raczej pominięcia prawdy, a nie celowe kłamstwa?
– Coś w tym rodzaju. – Ponownie opiera przedramiona na udach i opuszcza ręce pomiędzy nogami.

– Wiedziałeś, prawda? Wiedziałeś już w poczekalni, że odrodzimy się w Glenbrook?

– Nie odrodziliśmy się w Glenbrook.

– Z początku nie, ale w jakiś sposób w końcu tam wylądowaliśmy. Dostałeś ostrzeżenie. Wiedziałeś.

– Tak.

– Wiedziałeś, że Drau będą mieli możliwość krzywdzić ludzi?

– Drau zawsze krzywdzą ludzi.

Robię szybki wydech.

– Nie o to mi chodzi. Czy wiedziałeś, że będą na tańcach, że będą tam naprawdę, w tej samej rzeczywistości, czy wymiarze, czy cokolwiek to jest? Czy wiedziałeś, że będą mogli skrzywdzić ludzi na zabawie? Odpowiedz mi, Jackson. Powiedz mi prawdę, a nie jedną z jej wersji.

– Wiedziałem już w poczekalni, że pójdziemy do Glenbrook. Byłem tego świadom, zanim Luka poszedł na salę, że za chwilę zderzą się światy.

– I nic mi nie powiedziałeś.

– Zrobiłem to, co uznałem za najlepsze dla drużyny. Kendra była już w kiepskim stanie. Lien skupiła się tylko na niej. Ty byłaś przerażona, że jesteśmy w Glenbrook, nie wspominając o tym, że Drau zamierzali wpaść na naszą halloweenową zabawę. – Zwraca głowę w moją stronę i ciągnie równym, bezosobowym głosem: – Byliśmy tam z misją, nie mogłem być tam chłopakiem, który zajmuje się sprawami Miki. Musiałem być tym Jacksonem, który przyprawia i następnie wyprowadza swoich ludzi z misji. Tylko w ten sposób mogę działać, Miki.

– Kiedy... – zaczynam, potem przerywam, starając się wykombinować, co tak naprawdę chcę mu przekazać. – Powiedziałeś, że musiałeś zrobić to, co najlepsze dla drużyny. To słowo kluczowe. Drużyna to wspólny wysiłek. Nie jesteś samotnym strzelcem, Jackson. Kiedy jesteśmy w grze, nie mogę być dziewczyną, która ślepo słucha rozkazów, nie zadaje pytań. Powinieneś mi powiedzieć.

– A gdyby ci odbiło? Ściągnęłabyś na nas uwagę? Zagroziła misji?

– Ponieważ istniało większe prawdopodobieństwo, że mi odbije, gdy ujawnisz mi rzeczy, niż jeśli pozostanę nieświadoma, a akcja będzie się rozgrywała na bieżąco na moich oczach?

– Miki, masz bzika na punkcie kontrolowania innych. Gdybym cię uprzedził, zaczęłabyś spekulować, rozważała różne scenariusze, zanim zostałyby odegrane. Próbowalabyś wszystko tak przekręcić, aby pasowało do twojej wersji. Przez to mogłabyś zginąć. – Przerywa. – Stało się tak, że stanęłaś w obliczu konkretnej

sytuacji, zareagowałaś bez zbędnego myślenia. Jesteś szkolona do walki, Miki. To rezultat kendo. Zdecydowałem, że lepiej, abyś maksymalnie wykorzystała swoje umiejętności.

Gniew rozpała się i płonie. Jestem wściekła, że podjął taką decyzję. Arbitralnie zdecydował za mnie. Lecz to jego praca – przynajmniej wtedy, gdy bierzemy udział w grze. Jest dowódcą. Powinien podejmować decyzje.

Podwójnie nienawidzę jego motywów, bo muszę przyznać, że rzeczywiście uwielbiam rządzić.

– Czyli zrobiłeś tak, dlatego że nie potrafisz przyjąć do wiadomości prawdy i poradzić sobie z nią? – Nieświadomie puszczają mi nerwy i tylko dlatego to mówię. – Ponieważ jestem kłębkiem surowych nerwów? Czy właśnie takie masz o mnie zdanie? Czy uważasz, że taka właśnie jestem?

– Nie.

Wstaję, robię parę kroków, wracam. Ma sporo racji. Dopadają mnie ataki paniki. Mam stany lękowe. Ale nigdy w czasie misji. We wszystkich misjach robiłam to, co do mnie należy, na chłodno i w miarę logicznie.

Ponieważ rzucano mnie od razu w trudne sytuacje. Bez ostrzeżenia, bym nie miała czasu na obawy i przewidywania. Co dowodzi, że Jackson ma rację, i uzasadnia jego wybór. Zaciskam pięści, zła na niego. Zła na samą siebie.

Chwyta mnie za rękę i ściąga mnie z powrotem na schodek koło siebie.

– Tu nie chodzi tylko o mnie. Albo o ciebie – mówi. – Chodzi o resztę. Czy im również miałem o tym powiedzieć? Odciągnąć cię na stronę i wyszeptać do ucha?

– Nie ma znaczenia, jak sobie to wytłumaczysz lub uzasadnisz, ponieważ tym razem nie pominąłeś po prostu informacji, Jackson. Skłamałeś. Kiedy pierwszy raz odrodziliśmy się w korytarzu, powiedziałeś, że jest jak w Vegas. Że nikt spoza gry nie ucierpi.

– Czy tak właśnie powiedziałem?

Cofam się myślami, przeprowadzam sekcję pamięci.

– Nie – mówię wolno. – Nie. Powiedziałeś jedno słowo. Vegas. Lecz mnie nie poprawiłeś, gdy sama wyciągnęłam wnioski.

– Kierowałem się własnym poglądem.

– Czy rozumiesz, że to było złe? Podjęcie za mnie decyzji w ten sposób?

Wzrusza ramionami.

– Przypisz to dużej dawce genów jaskiniowca.

Geny jaskiniowca, dzięki którym przeżyliśmy. Jestem rozdarta. Rozumiem jego stanowisko, ale rozumiem także swoje. Oboje mamy rację. Oboje jej nie mamy.

– Powiedziałeś, że już nigdy mnie nie okłamiesz.

Milczy.

– Jeżeli nie możemy być w stosunku do siebie uczciwi... jeśli nie darzymy się zaufaniem... co nam pozostaje? – szepczę.

– Ufam ci, Miki. Powierzyłbym ci swoje życie.

Teraz ja milczę. Jeśli powiem, że mu ufam, to zaprzeczę wszystkim swoim argumentom i nigdy tego nie rozwiążemy. Jeżeli powiem, że mu nie ufam, to ja będę kłamcą. Jestem między młotem a kowadłem.

Wzdycha.

– Jeżeli nie możesz mi wybaczyć – wyciąga rękę, gdy chcę mu przerwać – jeżeli nie możesz mi wybaczyć, Miki, to co nam pozostaje?

– Wybaczam ci.

– Naprawdę? Co? To, że nie powiedziałem ci wszystkiego na temat misji? Że dozowałem szczegóły na bieżąco według potrzeb? Czy to, że w ogóle wciągnąłem cię do gry?

Otwieram usta. Potrząsa głową i ciągnie dalej.

– Co mi wybaczasz, Miki? To, że pod przymusem zostałem dowódcą pięć lat temu? To, że zaryzykowałem życie dla twojej przyjaciółki, sam wybrałem, abyś ty nie musiała dokonywać wyboru? To, że nie jestem doskonały? To, że nie jestem chłopakiem, który z wszystkiego się tobie zwierza, i nigdy nim nie będę?

Odsuwam się od niego pospiesznie, jakby mnie uderzył.

– Czy tak mnie postrzegasz? Czy taką masz opinię na mój temat? Że jestem płytka, słaba... głupia?

Jego śmiech jest gorzki i mroczny.

– Postrzegam cię jako wcielenie siły, żołnierza ze stali, jako jedyny jasny promyk w moim popieprzonym życiu. Liczy się to, jak ty postrzegasz nas. Chodzi o to, co możesz, a czego nie możesz zaakceptować. – Wstaje, stoi plecami do mnie. – Niektóre budynki kołyszają się w czasie trzęsienia ziemi i to one nadal stoją, gdy jest po wszystkim. Niektóre się nie kołyszają. Są zbyt sztywne. Pękają. Masz szczęście, Miki. Możesz wybrać, jakiego rodzaju budynkiem chcesz być.

Przyglądam się jego plecami i ogarniają mnie mdłości, zastanawiam się, jak to się stało, że w ogóle o tym rozmawiamy zamiast obejmować się i cieszyć, bo udało mu się ocalić drużynę, mnie i Carlę. I jak na tę chwilę – cały świat.

– Jackson.

Skaczę na nogi, kładę rękę na jego ramieniu, jest mi niedobrze, dopadają mnie ból i zmieszanie, nie chcę, aby ta rozmowa skończyła się w ten sposób.

– Podrzucę cię z Carlą do domu – mówi. – Chciałbym trochę pobyć sam.

– Powiedział, że nigdy nie będzie chłopakiem, który ze wszystkiego mi się zwierza – przekazuję Carli.

Leży na moim łóżku. Ja leżę na plecach na podłodze. Nie wyjawiałam jej, o co się pokłóciliśmy z Jacksonem. Jakbym mogła? Kiedy zapytała, dlaczego on i Luka nie wpadną, wyjaśniłam, że między mną a Jacksonem jest różnica zdań, bo

nie zawsze jest prawdomówny w stosunku do mnie.

– Nie można tego zaakceptować – mówi stanowczo, doskonale parodiując pana Shompera. – Chodzi mi o to, dlaczego niby nie może ci wyjawić, jakiego rodzaju pasty do zębów używa? Lub co zjadł na śniadanie? Lub... czekaj, nie – udaje przerażenie – czy zapomniał zrobić pranie i dlatego ubrał te same skarpetki, co wczoraj? – Podnosi głowę, aby na mnie spojrzeć. – Czy on sam robi pranie? Powiedział ci?

– To nie jest śmieszne.

Ale i tak się śmieję, ponieważ ona tutaj jest, leży na moim łóżku, jej oczy nadal obrzmiały od płaczu, lecz poza tym wygląda na całkiem zdrową. Opuchnięte oczy to znacznie lepsze niż Carla biała jak kość, zakrwawiona i martwa.

– Czy mówisz mu absolutnie o wszystkim? – pyta. – Na przykład, czy opowiedziałaś mu, jak zrobiłaś kupę w wannie, która sobie pływała, a ty sądziłaś, że to łódka?

– Miałam wtedy trzy lata.

– Ale czy mu powiedziałaś?

– Nie.

– A o tym, jak zrzygałaś się na kolana Allena w czasie szkolnej wycieczki autobusowej do zoo? Opowiedziałaś mu?

– Odrażające i idiotyczne przykłady. Czy istnieje jakiś powód, dla którego wybierasz największe obrzydliwości?

– Wydają mi się, że po prostu mam na to ochotę.

– Więc „odochoć się”.

– Odochoć? Czy istnieje takie słowo? – Śmieje się na widok mojego spojrzenia. – Dobra. Teraz powiedz mi to. Czy opowiedziałaś mu o koszmarach i atakach lęku? – Jej głos łagodnieje. – O mamie? O tym, jak martwisz się, że twój tata pije?

Biorę wdech, gotowa odpowiedzieć, ale powstrzymuję się. Carla zna całą prawdę, o niektórych rzeczach, dlatego że je ze mną przeżywała. O innych, bo zna mnie tak dobrze, że nie muszę jej nawet mówić. O picciu ojca, bo się jej zwierzyłam. Na początku pomagała mi nawet liczyć butelki na blacie i w lodówce.

Ale Jackson nie wie, przynajmniej nie o wszystkim. Część omawialiśmy. Innych spraw, jak ataki paniki, domyślił się sam. O jeszcze innych nigdy mu nie wspomniałam, ponieważ... po prostu nie wspomniałam.

– Nie o wszystkim.

– Dlaczego nie? – pyta Carla. – Czy nie powinnaś poinformować go o wszystkim?

– Ja...

– Mamy podwójne standardy? On ma się przed tobą obnażyć – przerywa i patrzy na mnie filuternie. – Chciałabym być wtedy obecna, jeśli ci to nie sprawi

różnicy. W każdym razie, on powinien obnażyć swoją duszę, ale ty możesz zachowywać sekrety?

– To nie sekrety. Po prostu nie mogę mu mówić o wszystkim. Nie zawsze nawet przychodzi mi do głowy, aby coś wyjaśniać. To część... och, nie wiem, część mnie. A inne sprawy, cóż, wydaje mi się, że nie musi ich znać.

– A nie sądzisz, że on ma dokładnie taki sam pogląd na ten temat?

– Nie, to nie to samo. Rzeczy, o których mi nie mówi, są inne. Istotne. Dotyczą...

Gry. Ale tego Carli wyjawić nie mogę. Więc zachowuję się dokładnie tak jak Jackson. Mam sekrety. Lub unikam niektórych tematów. Ponieważ czasami tak już jest.

Wzdycham na myśl o naszej kłótni i o Jacksonie, o tym, jak zawsze mogę na niego liczyć, jak przyszedł do mnie, gdy go potrzebowałam, gdy Carla go potrzebowała zamiast pędzić za dziewczyną o zielonych oczach.

– Skupiłam się wyłącznie na sobie. – Ze wstydu zakrywam twarz rękoma. – Wiedziałam, że i on przeżywa trudny wieczór, ale myślałam tylko o sobie.

Słowo „trudny” to wielkie niedomówienie. Poza tym oprócz tego, przez co wszyscy przeszliśmy w czasie misji, Jackson dodatkowo dźwigał na barkach ciężar odpowiedzialności za nasze życie i musiał zmierzyć się z powłoką, która miała twarz jego martwej siostry.

Powinam dać mu spokój. Powinam odłożyć kłótnię na inny dzień.

Po prostu miałam zaćmienie umysłu. Nic dziwnego, że oznajmił, że potrzebuje czasu dla siebie.

– Co ze mną nie tak? – pytam.

Carla zsuwa się z łóżka głową do przodu i po chwili w połowie wisi, w połowie leży, podpira się na wyprostowanych rękach, jej twarz nad moją.

– Nic. Właściwie to jesteś w najlepszej formie od dwóch lat. Pary czasem się kłócą. Nic wielkiego. – Zsuwa resztę ciała z łóżka i leżymy obok siebie. – Nie zerwał przecież z tobą. Nie zerwał, prawda?

– Nie.

Przewraca się na bok i patrzy na mnie.

– Kochasz go?

Wpatruję się w sufit i zastanawiam, jak na to odpowiedzieć. Czy chcę wymówić to słowo głośno? Powiedziałam już Jacksonowi, że go kocham, ale pod przymusem, gdy leżał umierający w opuszczonym budynku w Detroit po tym, jak przejął cios Drau skierowany na mnie. I postawiłam warunek do tego wyznania, przekonując go, że mu nie wybaczyłam, że musi żyć, aby błagać mnie o przebaczenie. Na skali romantycznej otrzymuję minus dziesięć punktów.

Może powiedziałam mu to jeszcze z raz, czy dwa żartem – lecz dokładnie nie pamiętam. Natomiast nigdy mu tego nie wyznałam tak zwyczajnie, żeby

wyznać. Może boję się go kochać. Lub boję się przyznać do tego na głos.

Ludziom, których kocham, przydarzają się złe rzeczy.

Nikomu nigdy nie mówiłam, co do niego czuję. Nawet Carli.

– W porządku – łagodzi. – Nie musisz mi odpowiadać. Natomiast powinnaś odpowiedzieć na to pytanie w swojej głowie. W swoim sercu. – Przerywa i dalej mówi powoli, donośnie, przeciągając każde słowo, wtlaczając głośne sapnięcie w każdą samogłoskę: – W miłości... nigdy się... nie przeprasza.

– Czy ty naprawdę to powiedziałaś? – Podnoszę się, chwytam za poduszkę z łóżka i rzucam w nią. Ona chwytą drugą i wali we mnie. – Czy naprawdę powiedziałaś mi, że w miłości nigdy się nie przeprasza?

Śmieje się tak mocno, aż ją zatyka, gdy trafia mnie w czubek głowy. Walę ją w ramię. Ona mnie w plecy. W końcu obie sapiemy i prychemy, i odrzucamy poduszki.

– Kocham cię – mówi. – Właśnie to powiedziałam.

Każdy odchodzi.

Dzisiaj prawie mnie opuściła, prawie umarła. Nie spędziłabym z nią tych chwil, nie miałabym okazji wyznać jej tego. Tak jak nie miałam okazji wyznać mamie. Pozostały mi jednak wspomnienia tysięcy razy, gdy jej to powiedziałam, i tysięcy razy, gdy ona powiedziała to mnie. Te wspomnienia są ważne.

– Ja też cię kocham, Carlo.

Nadyma się i cmoka.

– Naprawdę ci przebaczyłam zabicie mojej ryby.

– Naprawdę ci przebaczam, że znowu o tym wspomniałaś.

Wzrusza ramionami.

– Zaslługujesz na to.

– Zamierzasz to wykorzystywać całą wieczność.

– W zasadzie tak.

– Dobra.

Przyciąga mnie do siebie i ściska, oddaję uścisk, trzymając ją mocniej, niż powinnam, ale pamięć o niej leżącej we krwi na podłodze jest nadal zbyt świeża, zbyt wyraźna.

– Miki? Carla? – Słyszę pukanie do drzwi.

– Wejdz, tato. – Obie padamy na łóżko.

Najpierw patrzy na poduszki porzucane na podłodze, potem na nas. Jeżeli nawet w niewielkim stopniu wyglądam tak źle, jak Carla z włosami naelektryzowanymi we wszystkich kierunkach, to tata bez kłopotu domyśli się, co się tutaj działo.

– Jadę po mleko. Podwieźć cię do domu, Carlo?

– Tak, dziękuję, panie Jones. Mama ze mną nie rozmawia. Znowu. Wolałabym do niej nie dzwonić i prosić ją o podwózkę.

– Racja. Dobrze. – Tata unosi palec wskazujący i literuje każde słowo. –
Jestem gotowy, czekam na ciebie.

Rozdział dwudziesty siódmy

Stoję koło okna sypialni i obserwuję explorera wyjeżdżającego z podjazdu. Carla opuszcza szybę, wystawia ramię i dziko nim macha. Odpowiadam jej tym samym, świadoma, jak surrealna jest ta noc, jednak dopiero gdy samochód znika za rogiem, osuwam się na ścianę.

Jakby Carla, odjeżdżając, zabrała ze sobą całą moją energię.

Drau, Carla bliska śmierci, kłótnia z Jacksonem sprawiły, że czuję się wyczerpana. Powinnam wziąć gorący prysznic i zasiąść przed telewizorem, obejrzeć jakikolwiek program lub po prostu wpełznąć do łóżka i spać przez tydzień.

Ale pozostaję na miejscu z policzkiem przyciśniętym do ramy okiennej i skupiam się na szaleństwie pełzającym mi w głowie jak stado stonóg.

Rozpocznam od faktów.

Drau wdarli się do mojego świata, tego rzeczywistego świata. Komitet nie skłamał, mówiąc, jak wielkie stanowią zagrożenie. Carla prawie umarła. Ktoś ją uratował, ale Jackson nie wierzy, że to jego zasługa. Co oznacza, że mogło się to stać w momencie materializowania się. Za wyjątkiem tego, że Carla nie jest uczestnikiem gry. Nie odradza się. A nawet gdyby tak było, to jak wyjaśnić tę odrobinę szarości Drau w jej oczach?

Teraz pora na fakty nieznanne.

Kto uzdrowił Carlę? Na ile można ufać Komitetowi? Jeżeli ta zielonooka dziewczyna jest powłoką, to dlaczego mi pomaga? Czy dlatego że Drau chcą mnie złapać i wykorzystać jako pierwotnego dawcę? Jackson może mieć rację w tym przypadku, tylko jeśli rzeczywiście takie jest jej zadanie, to dlaczego nie podjęła walki z moją drużyną, gdy spotkałam ją po raz pierwszy, leżąc we krwi, umierając? Mogła przecież ich zabić – prawdopodobnie – i wtedy zabrać mnie ze sobą. Wybrała jednak ucieczkę.

Moją uwagę przyciąga jakieś stukanie i widzę, że bębnię opuszkami palców w parapet. Zmuszam się, żeby przestać. Potem zmuszam się, aby ponownie uporządkować swoją wiedzę. W efekcie pojawiają się kolejne pytania i następne, i tak w nieskończoność w obracającym się kole.

Przynajmniej udaje mi się znaleźć kilka odpowiedzi. Wiem już więcej na temat gry, Komitetu i jego ograniczeń. Lepiej poznałam samą siebie, swoje słabości i mocne strony.

Zimno z zewnątrz przenika szybę. Drzę, ale nie ruszam się z miejsca. Tak jakbym na coś czekała, nie wiem na co.

Kłamstwo.

Wiem.

Czekam na tę szczyptę świadomości, która mi zasygnalizuje, że Jackson tam

jest, na ulicy, że obserwuje moje okno. Już przecież kiedyś to czułam, więcej niż raz. Nie przeraża mnie to. Nie jest natrętem, zawsze ma silne argumenty. Chciałabym, aby teraz jakiś wymyślił.

Raz zostawił mi podarunek – egzemplarz mojej ulubionej mangi owinięty w plastikową torebkę dla ochrony przed pogodą – na płaskim daszku ponad gankiem od frontu.

Raz, gdy spojrzałam przez okno, zobaczyłam go, jak siedzi ze skrzyżowanymi nogami na tym samym dachu, jego miodowozłote włosy mienia się w blasku księżyca, okulary na swoim miejscu mimo ciemności.

To była ta noc, gdy wkradł się do mnie przez okno. Ta noc, gdy uniósł swoją koszulkę, obnażając mięśnie brzucha – i swój pępek – aby udowodnić, że nie jest powłoką.

Tej nocy pierwszy raz mnie pocałował. Nie w usta. To zdarzyło się później. Ten pierwszy pocałunek był zupełnie inny.

Pamiętam go. Pamiętam, gdy chwycił mnie za nadgarstek i odwrócił moją dłoń grzbietem do dołu, opuścił głowę i przycisnął do niej usta.

Pamiętam szok elektryczny, którego wtedy doznałam.

Przesunął wargi do przegubu mojego nadgarstka. Stałam zupełnie nieruchomo, krew huczała mi w żyłach.

Nigdy jeszcze nie czułam się tak, jak wtedy. Pragnęłam, aby to powtórzył. Ale on wyszedł przez okno i zniknął w ciemnościach nocy.

Zamykam oczy i przyciskam wewnętrzną stronę nadgarstka do ust, chcę, aby był tu ze mną Jackson, boleję, że rozstaliśmy się w taki sposób.

Przecież właśnie zmierzył się z czymś, co było duchem jego siostry. Nienawidzę świadomości, że on cierpi. Nienawidzę, że świadomie spotęgowałam jego cierpienie. Nie mógł na mnie liczyć, na moje pocieszenie. Nie jestem z tego powodu dumna.

Biorę bluzę z kapturem, wychodzę przez okno, siadam na dachu, plecy opieram o cegły, tak jak robiłyśmy to z mamą, gdy byłam mała. Siadywałyśmy tutaj i oglądałyśmy gwiazdy. Zawsze próbowała je nazywać. Nie zawsze jej się to udawało, ale to nie miało znaczenia.

Patrzę teraz na gwiazdy i zastanawiam się, ile z nich wspomaga takie światy jak Ziemia. Światy, z których wywodzą się moi przodkowie. Lub Drau.

Chciałabym, aby była tutaj ze mną mama. Chciałabym z nią porozmawiać. Nie mogłabym jej powiedzieć o grze, ale opowiedziałabym o szarej mgle, o atakach lęku, o tym, jak bardzo pragnę wszystko kontrolować w swoim życiu, licząc, że zapewni mi to bezpieczeństwo.

Mogłabym jej opowiedzieć o Jacksonie.

Pomogłaby mi wszystko zrozumieć.

Ale jej tu nie ma, od dawna już nie czułam się tak bardzo samotna. Nie

pozwalalam sobie na to uczucie.

Bawie sie telefonem, probujac zdecydowac, czy do niego zadzwonic.

Nie.

Powiedzial, ze chce troche pobyc sam. Godzine? Dzień? Miesiac? Nie ma kogo o to zapytac.

Bardzo kocham ojca. Ale nie moge z nim rozmawiac jak z mama. To po prostu nie to samo. Oni sa tacy rozni.

Podciagam kolana i obejmuję je.

– Tęsknie za toba, mamusi – szepcze. – Bardzo za toba tęsknie.

Dopiero gdy przenika mnie chlod, zdaje sobie sprawe, ze tata juz powinien wrócic, dawno minelo dwadziescia minut, których potrzebował na podwiezienie Carli, zakup mleka i powrot do domu. Moze zagadal sie z panią Conner, gdy wysadzil Carle.

Wyciagam telefon i dzwone do niego. Przez otwarte okno slysze nikly dzwiek jego komorki w domu. Zapomniał telefonu. Znowu. Bateria jest pewnie prawie calkiem rozladowana. Znowu. Zawsze zapomina ja naladowac.

Wchodze przez okno i udaje sie do jego pokoju. Telefonu nie ma na komodzie, ale za to jest tam owalny polmisek, w którym mama zawsze trzymala potpourri. Jest pelen, lecz nie ma w nim teraz aromatycznych liści. Za to sa liczne pudełka zapalek.

Oddycham. Nie moge w to uwierzyc. Chyba tata nie pali. Nie moglby. Rzucil zaraz po tym, jak zdiagnozowano mama. Nie wierze, ze zaczal ponownie.

Podnosze jedno z pudelek i odchylam obwolote. Wszystkie zapalki sa na swoim miejscu. W nastepnym rowniez i w kolejnym. Po prostu je kolekcjonuje, nie uzywa ich. Przesuwam palcami po lsnacych opakowaniach. Blue Mill Tavern. Dante's Inferno. La Ronda Bar. Elk Bar. Tata musi bardzo lubic ten ostatni, bo ma przynajmniej z tuzin pomaranczowych pudelek z tego baru.

Zaciska mi sie zoladek. Zaraz chyba zwymiotuje. Kiedy wychodzi wieczorami, to wcale nie uczescza na spotkania AA. Odwiedza bary.

Czy teraz jest w jednym z nich? Czy dlatego jeszcze nie wrócil?

Pamiętam, co tata powiedzial z poczatkiem wrzesnia, jego slowa brzmią w moich myslach: „Nie mam problemu. Wszystko jest pod kontrolą. Nie jestem jednym z tych rodzicow, co to lezy rozwalony i nieprzytomny na kanapie, a na podlodze walaja sie trzy puste butelki po dzinie, gdy wracasz ze szkoly”.

Nie, nie lezy nieprzytomny na kanapie. I nie ma butelek po dzinie. Sa natomiast po wodce, takie jak ta, która znalazlam w jego gabinecie, gdy odkurzalam.

Oklamywal mnie. Oklamywal siebie.

Czy powinnam mu to wybaczyc? Potrzebuję go. Ale nigdy go dla mnie nie ma. Nawet wtedy, gdy siedzimy naprzeciwko siebie przy kolacji.

Zarzućam poszukiwanie jego komórki i idę na dół do pokoju. Podchodzę do frontowego okna, odgarniam zasłony i patrzę na pustą ulicę. Podchodzę do kanapy.

Wykręcam numer Carli. Nie odpowiada.

Odkładam telefon na stolik do kawy, równolegle do przetwornika, porządkuję magazyny poświęcone wędkarstwu, aby były idealnie prosto. A potem z krzykiem, robię zamach ramieniem i zmiotam wszystko ze stołu na ziemię.

Ponownie podchodzę do okna i stoję w oczekiwaniu na błysk świateł samochodu.

Kiedy na podjeździe pojawia się radiowóz, wcale nie jestem zaskoczona. Gdy wysiadają z niego dwaj funkcjonariusze policji i kierują się ku gankowi, wkładając na głowy kapelusze, również nie jestem zaskoczona.

I kiedy otwieram drzwi, a oni zaczynają mówić też nie jestem zaskoczona. Jestem odrętwiała.

Nie słyszę ich słów. Zlewają się w niewyraźny dźwięk. Zmuszam się, aby się skupić.

Otwieram szeroko drzwi, wchodzi do środka i zdejmują kapelusze. Po co je w ogóle zakładali? Nagle wydaje mi się, że to ważne pytanie.

– Żadnych butów w domu – mamroczę.

Mam wrażenie, że pytają mnie o imię lub o to, kim jestem.

– Miki – przedstawiam się. – Jestem Miki Jones.

Jeden z nich pyta o coś innego. Mrugam. Spoglądam na nich. Ponawia pytanie. Chcą wiedzieć, kto jeszcze był w samochodzie. Nie miała żadnego dowodu identyfikacyjnego. Czy wiem, kto to jest?

– Nie miała portfela, bo przyjechała tylko tutaj – mówię. – Nie potrzebowała pieniędzy i innych rzeczy. Nie chciała iść na zabawę.

Funkcjonariusz potakuje, jakbym odpowiadała z sensem, lecz wydaje mi się, że tak nie jest.

– Czy możesz podać jej imię?

– Carla Conner...

Przerywam i patrzę na nich, a oni patrzą na mnie, jakby oczekiwali czegoś więcej. Podaję jej numer telefonu i adres, bo tylko to przychodzi mi do głowy.

Mówią dalej. Przestaję słuchać. Nie celowo. Po prostu... wyłączam się.

Dociera do mnie jedno słowo: szpital. Kiwam głową. Automatycznie wyciągam płaszcz z szafy przy drzwiach, biorę klucz, zamykam drzwi.

Ale jestem nieobecna. Nie dociera do mnie ta chwila. To jakaś powłoka zamiast mnie wędruje do radiowozu, patrząc przed siebie, wyprana z uczuć. Całkowicie.

Siedzę w poczekalni, przedramię na kolanach, głowa mi zwisa. W kącie stoi telewizor nastawiony na lokalne wiadomości i cicho buczy. Nie słyszę słów. Nie zależy mi na tym.

Jestem sama. Tylko ja i moje myśli.

Ci dwaj funkcjonariusze też byli tutaj jeszcze parę minut temu. Słyszałam urywki ich rozmowy.

...czołowa kolizja...

...poziom alkoholu we krwi zero osiemnaście...

...dwa razy więcej niż dozwolony...

Odeszli. Nawet nie wiem kiedy. Nie mam pojęcia, jak długo tu jestem.

Nie wiem, co się dzieje. W jakim stanie jest tata i Carla, poza tym, że żyli, kiedy ich tu przywieziono. Mogę się tylko modlić, by nadal żyli.

Kiedy przyjechaliśmy, funkcjonariusze rozmawiali z jakąś kobietą, chyba pielęgniarką. Skierowała nas tutaj. Zostawili mnie na krześle i wyszli na korytarz. Od tej pory nikt ze mną nie rozmawiał. Ani pielęgniarka, ani lekarz. Chciałabym kogoś poszukać, ale boję się ruszyć, bo w tym czasie ktoś może tu przyjść, aby ze mną porozmawiać.

Kryjąc twarz w dłoniach, próbuję znaleźć logikę w ciągu wydarzeń. Jak to możliwe, że Carla przetrwała atak Drau, a parę godzin później jest ofiarą wypadku samochodowego?

Jak to się stało?

To nie ma sensu. Nic nie ma sensu.

Muszę znaleźć w tym jakąś logikę.

W korytarzu słysząc jakieś zamieszanie. Wznoszę głowę. Rodzice Carli wchodzi do pokoju, trzymając się za ręce, blisko obok siebie. Przybyło im lat. Wyglądają naprawdę staro. Tak jakby minęło dwadzieścia lat zamiast paru godzin, kiedy ostatnio widziałam panią Conner.

Kulę się wewnątrz.

To moja wina. Mogłam temu zapobiec. Gdybym sama zawiozła Carlę. Gdybym przekonała ją, aby zadzwoniła po mamę. Gdybym zaprosiła ją na noc. Gdybym sprawdziła, czy tata pił.

Powiedział mi, że nie prowadzi, gdy pije. Obiecał mi. Wierzyłam mu. Naprawdę mu wierzyłam. Odnotowałam to na swoim koncie i nigdy sobie tego nie wybaczę.

Zmuszam się do wstania z miejsca, napotykam spojrzenie pani Conner, oczekuję... nie wiem czego. Że będzie na mnie krzyczeć? Uderzy mnie? Odbije jej?

Wychodzi mi na przeciw. Przyciąga do swojej piersi, a jej ciało przeszywają dreszcze, gdy mocno mnie przytula.

– Wyjdą z tego – szepcze. – Musimy w to wierzyć. Będzie dobrze.

Zaczyna szlochać, obejmuje mnie mocno i płacze, a ja przypatruję się ponad jej ramieniem plakatowi na ścianie, zalecającemu szczepienia przeciw grypie, i obawiam się, że jeśli zrobię cokolwiek, to rozlecę się na milion punkcików

nicości.

Puszcza mnie i obserwuje moją twarz. Mówi coś, lecz nie słyszę co. W uszach mi szumi. Głowa mi za chwilę eksploduje. Przez sekundę wydaje mi się, że zostanę wyciągnięta. W końcu uznaję, że dają o sobie znać moje lęki. Jestem kłębkim obnażonych nerwów.

– Co już wiesz na temat wypadku? – pyta.

Rozumiem to dzięki ruchowi jej warg. Co wiem? Niewiele.

– Rozmawialiście z policją? – zadaję durne pytanie.

Oczywiście, że rozmawiali z policją. Inaczej skąd by wiedzieli, że powinni tu przyjechać.

– Zadzwonili zaraz po tym, jak dałaś im nazwisko Carli – mówi pani Conner.

– Widziałas się z lekarzem? Z pielęgniarką? Czy ktoś udzielił ci informacji?

Potrząsam głową.

– A wam coś powiedzieli? – pytam.

– Niezbyt dużo. Pielęgniarka przyprowadziła nas tutaj i przekazała, że ktoś z nami porozmawia, gdy tylko będzie to możliwe. Powiedziała, że Carlę posłano na tomografię i trzeba będzie poczekać kilka godzin na wyniki.

– I na rezonans magnetyczny – dodaje pan Conner, jego głos jest ponury i szorstki. – Powiedzieli ci coś na temat ojca?

Jak może być tak grzeczny w stosunku do mnie? Taki zatroskany? Carla jest tutaj. Tata prowadził. Nie znam szczegółów wypadku. Jeżeli policja jakies podała, to nie pamiętam. Wszystko, co wiem, podsłuchałam... że chodzi o alkohol. A pan Conner jest taki miły.

– Tyle że żyje. I są z nim lekarze. – Próbuję sobie przypomnieć, co jeszcze mówiła pielęgniarka. – Że ma dwie kroplówki i że muszą zrobić badania.

Obejmując mnie ramieniem, pani Conner podprowadza nas do krzeseł ustawionych naprzeciw telewizora. Jednym ramieniem mnie przytula, drugą ręką bierze moją rękę.

– Krzyczałam na nią – mówi.

Teraz moja kolej, aby powiedzieć:

– Będzie zdrowa – mówię, przede wszystkim dlatego, że nie mam nic innego do powiedzenia.

Ojciec Carli wkłada dłoń do kieszeni i bawi się drobnymi. Potem wyciąga rękę, przechadza się korytarzem, wraca i znowu brzęczy monetami.

– Kawa – mówi mama Carli. Jej mąż przystaje i patrzy na nią. – Sądzę, że kawa by nam wszystkim dobrze zrobiła.

Kiwa głową, twarz ma ponurą, poszedł wzdłuż korytarza.

– Może uda mi się uzyskać od nich więcej informacji.

– Musi się czymś zająć – mówi mama Carli, gdy jej mąż odchodzi.

Podobnie jak ja. Muszę pobiegać. Lub w coś walnąć. Poprawić parę rzeczy.

Zmienić. Naprawić.

Ale nie mogę. Więc siedzę obok mamy Carli i przyglądam się plakatowi ze szczepionkami przeciw grypie.

Rozdział dwudziesty ósmy

Cześć.

Otwieram oczy, zdezorientowana i obolała. Szyja skrzyta w jedną stronę, bark ściśnięty. Prostuję się, masuję bolące miejsca i próbuję zgadnąć, gdzie jestem.

I wtedy wszystko do mnie wraca jak cofający się ściek. Policja. Szpital. Zasnęłam na krześle w szpitalnej poczekalni. Nie wiem, jak to było możliwe, biorąc pod uwagę zmartwienia i stres.

Jackson siada na krześle obok mnie i bierze mnie za rękę. Odgarniam włosy z twarzy.

– Co tu robisz?

Nie tak chciałam to powiedzieć. Chcę dodać: „Dziękuję, że tu jesteś teraz, kiedy cię potrzebuję”, ale słowa nie mogą przejść przez gardło.

– Siedzę. – Lekko uciska moje palce. – Na krześle.

– Nie na drzewie.

– Może później.

– Jak się dowiedziałeś? – szepczę. Skąd wiedziałeś, że cię potrzebuję? Skąd wiedziałeś, że masz tu przyjść?

– Luka wstąpił do mnie, gdy odstawiliśmy was do ciebie. Byliśmy razem. Zagraliśmy parę gier. Odwoziłem go do domu, kiedy zobaczyliśmy kilka radiowozów i policjantów nakazujących objazd. Luka rozpoznał samochód twojego ojca. – Oddycha powoli, kontrolowanie, jego palce zaciskają się na moich. – Chciałem od razu tu przyjechać, ale zadzwonił tata Luki i poprosił, aby zajął się swoją siostrą. – Przerzywa. – Przez resztę drogi do Luki myślałem, że to ty byłaś w tym samochodzie.

– Nie, nie ja – szepczę. Mój tata. Carla. – Widziałeś rodziców Carli?

– Tak. Jej tata przemierza korytarz. Jej mama próbuje go powstrzymać.

– Rozmawiałeś z nimi?

– Pani Conner powiedziała, że ciągle robią badania.

Powoli wciąga powietrze, jakby nie był pewien, czy powinien powiedzieć coś więcej.

– Powiedz mi.

– Carla była nieprzytomna, gdy ją przywieźli. Jeszcze się nie obudziła. Pani Conner powiedziała, że ma kilka złamanych kości, ale nie wyjaśniła, o które chodzi, i nie naciskałem.

Nie mogę mówić. Nie mogę oddychać. Wyczuwam sól na języku i dopiero po niesamowicie długiej chwili zdaję sobie sprawę, że kosztuję własnych łez.

– Tatusz? – chrypię.

– Powiedzieli pani Conner, że zabierają go na chirurgię. – Mocniej chwytam jego rękę. Spogląda na nasze połączone dłonie i mówi dalej: – Powiedziała, że ma

rozerwaną śledzionę. – Pochyliła się i przyciska usta do mojego czoła. – Można żyć bez śledziony, Miki. Zupełnie normalnie.

– Skąd wiesz? – szepczę.

– Ten facet, którego znałem w Teksasie, rozwalił swój motor. Musieli wyciąć mu śledzionę. Skończyło się na tym, że miał dużą bliznę na lewym boku i ostrzeżono go przed sportami kontaktowymi. – Łagodnie szturcha mnie ramieniem. – To nie kłopot dla twojego taty. Wędkowanie nie jest sportem kontaktowym.

Próbuję wycisnąć z siebie mokry uśmiech, ale nie udaje mi się. Zabrakło mi uśmiechów.

– Więc chodzi tylko o jego śledzionę? Nic więcej?

– Nie wiem. Tyle wiem od pani Conner. Może tyle jej powiedzieli. – Zmienia swoją pozycję na krześle, siada pod kątem i przyciąga mnie do swojej piersi, moja głowa oparta o jego ramię. – Przepraszam, że cię obudziłem. Chciałem, żebyś wiedziała, że tu jestem. Spróbuj pospać. Obudzę cię, gdy ktoś się pojawi.

Łzy zatykają mi gardło. Tak mnie obejmował w jaskiniach, nakazując mi spać, podczas gdy on mnie pilnował.

– Dziękuję. Dziękuję, że tu jesteś.

– Zawsze tu będę, Miki.

Moje serce się ściska.

– Nie mów tak – mówię gorączkowo. – Nie składaj obietnicy, której nie możesz dotrzymać. – Wszyscy odchodzą. – Wystarczy, że jesteś tu teraz. W tej chwili. Sam mnie tego nauczyłeś.

Nie chcę wybiegać myślami poza tę chwilę, bo przeraża mnie, że nastąpi coś mrocznego i okropnego.

Przez chwilę oboje siedzimy cicho. Rozmyślam o Carli leżącej na podłodze w szkolnej piwnicy, pokrytej krwią. Zapowiedź tego, co miało nadejść.

– To wszystko nie ma sensu – mówię. – Przeżyła atak Drau, a teraz u...

Nie mogę dokończyć tego słowa. Jakby wypowiedzenie go sprawiło, że stanie się rzeczywistością.

– Nie umarła, Miki. Nadal żyje. Twój tata też żyje. Trzymaj się tego. Mocno się tego trzymaj.

Odpycham się od piersi Jacksona i przekręcam na krześle tak, abym mogła spojrzeć mu w oczy. W tej chwili nienawidzę jego ciemnych okularów. Rozpaczliwie chcę widzieć jego oczy, wiedzieć, o czym myśli, kiedy powiem mu to, co mam do powiedzenia. Lecz nie może ich zdjąć, nie tutaj, gdzie w każdej chwili ktoś może się zjawić.

Może nie powinnam mu o tym mówić. Jeżeli zachowam ten sekret, może nie stanie się prawdą. Ale już jest prawdą. Dlatego tutaj jesteśmy, w poczekalni

z brązowymi tapicerowanymi krzesłami, odrapanym stolikiem do kawy i plakatem ze szczepionką przeciw grypie na ścianie.

– Mój tata... Słyszałam policjantów w korytarzu... rozmawiali o poziomie alkoholu we krwi.

Skaczę do góry i stoję, chcę uciekać daleko, ale nie mam dokąd. Wiem, że bez względu na to, jak daleko ucieknę, to i tak będzie rzeczywiste. Zaczynam się trząść i wydaje się, że nie mogę przestać. Jackson chwyta mnie, pociąga na swoje kolana i obejmuje mnie ramieniem.

– To moja wina – mówię, zwracając twarz do zagłębienia w jego szyi, tuląc się do niego, bo wiem, że jeśli go puszczę, porwie mnie rozszalały strumień. – Powinnam była sprawdzić, czy nie pił. Powinnam była sama zawieźć Carlę do domu. Nigdy nie powinnam się z tobą kłócić, bo wtedy byś tam był i to ty zawiózłbyś ją do domu, ty...

– Leżałbym teraz w szpitalu – ucina Jackson.

Odchylam się do tyłu i spoglądam na niego.

– Co?

Ujmuje moje policzki.

– Miki, nie wiem, co sobie myślisz, ale jeśli uważasz, że gliniarze mówili o twoim ojcu, to się mylisz. To kierowca, który w nich uderzył, miał zero osiemnaście promila. Był po złej stronie ulicy. Walnął twój tatę czołowo.

– Co? – pytam ponownie jak papuga.

– To nie wina twojego taty. Uderzył w nich pijany kierowca. Dlatego powiedziałem, że gdybym to ja wioził Carlę do domu dokładnie w tej samej sekundzie, przez to samo skrzyżowanie, to ten facet uderzyłby mnie. Ja byłbym na chirurgii, nie twój ojciec.

Patrzę na niego, nic nie pojmując, gdy nagle dociera do mnie zrozumienie, uderzając gwałtownie jak fala, przewala się przeze mnie i wciąga mnie pod siebie.

Mój tata nie był pijany.

Powraca do mnie pamięć o Carli, kiedy miałyśmy może po dziesięć lat, gdy stoi z rękami na biodrach w naszej kuchni, śmieje się i wskazuje na mnie. Ten gest oznaczał, że jestem dupkiem.

Skaczę na równe nogi i się cofam.

Dźwięki z korytarza – rozmowy, buczenie, syk drzwi automatycznych – rozchodzą się i rezonują, zbyt głośne jak elektryczna piaskownica w mojej głowie. Przykładam ręce do uszu. Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć. Powietrze rozrywa mi płuca jak kawałki szkła.

Brązowe krzesło jest teraz z brązu i błyszczy się zbyt jaskrawo. Czerwona czcionka na plakatach zmienia się w krwawe szpony, które po mnie sięgają. Kolory zbyt jaskrawe. Dźwięki zbyt głośne. Zapach szpitalnego środka odkażającego parzy mi nozdrza.

Nie. Nie teraz. To nie może teraz nastąpić.

Jackson wstaje, bardzo powoli.

– Miki!

Moje imię wlecze się, sylaby ciągną się jak ciągutki. Świat przechyla się i krzywi.

Jackson daje krok do przodu i chwyta mnie za rękę.

I toczymy się, toczymy, spadamy przez nicość.

Odradzamy się w pokoju bez podłogi, ścian, sufitu. To znaczy, wiem, że one tu są – czuję podłogę pod stopami, a gdy wyciągnę rękę, dotykam gładkiej, chłodnej ściany – lecz ich nie widzę. Wszystko jest jaskrawą, oślepiającą bielą. To nie poczekalnia.

Czy wyciągnięto nas bezpośrednio na misję?

Ogarnia mnie przerażenie. Nie mogę się tym teraz zajmować. Nie wiem, w jakim stanie jest tata i Carla, nie wiem, czy przeżyją, czy umrą, nic nie wiem o ich stanie. Jestem totalnym bajzlem. Jak w takiej kondycji mam walczyć z Drau?

Stanowię zagrożenie dla Jacksona, dla mojej drużyny i dla siebie.

Jackson łapie mnie za rękę i przepycha za siebie, jego ciało jest tarczą. Tylko czy jestem z przodu czy z tyłu? Trudno powiedzieć, skoro ten pokój nie ma drzwi i okien, początku i końca.

Światło łagodnieje. Pojawiają się drzwi. Nie chodzi mi o to, że zawsze tam były, ale nie widzieliśmy ich ze względu na jaskrawe światło. Drzwi dosłownie pojawiają się znikąd, kawałek ściany się rozsuwa i odsłania czarny prostokąt.

Zastygam. Znam to miejsce. Już tu byłam. W moich koszmarach. Spoglądam w kierunku ciemnych drzwi i pamiętam strach, który wtedy poczułam, pewność, że po drugiej stronie czai się niebezpieczeństwo. Pamiętam, że przez nie przeszłam i była tam Lizzie z bronią Drau w ręku.

Już zamierzam zasygnalizować do Jacksona, czy możemy rozmawiać, gdy nagle mnie olśniewa, że możemy. Nie mamy broni, nie jesteśmy tu po to, żeby walczyć. I biorąc pod uwagę, że drzwi są otwarte, ten – to – co nas tu sprowadził, już wie, że tu jesteśmy.

Ktokolwiek nas tu sprowadził... Komitet? Jak mogli? Jak mogą sądzić, że jestem w stanie wykonać zadanie? Wydaję cichy dźwięk – w połowie jęk i wycie.

Jackson podsuwa okulary na głowę i odwraca się do mnie pełen skupienia. Ściska mnie za ramiona powyżej łokci.

– Miki, wiem, że to trudne. – Potrzęsa głową. Jego szczęka się zaciska. – Wiem, że myślamy jesteś gdzie indziej. Lecz nie mamy wyboru. Rozumiesz? Nie mamy wyboru.

Kiwam głową. Jackson zrzuca swoją kurtkę i drapuje ją wokół mnie. Dopiero wtedy dociera do mnie, jak bardzo jest mi zimno. Nachodzi mnie zupełnie trywialna myśl, że miał na sobie kurtkę, gdy zostaliśmy wyciągnięci, a ja

zostawiłam swoją na krześle.

– Jesteś w stanie to zrobić – mówi. – Przejdziemy przez to. Wrócimy. Twój tata i Carla będą na nas czekać.

Patrzę na niego, w jego lśniące rtęciowe oczy.

– Czy będą? – szepczę nie taka pewna. – A jeśli będą żywi, gdy wrócimy, to w jakim będą stanie?

Oblewa mnie nowe poczucie winy. Nie chodzi o to, że wypadek stał się z mojej winy. Jackson upewnił mnie co do tego. Teraz czuję się winna, że zwątpiłam w tatę, obwiniałam go, podejrzewałam.

A on jest taką samą ofiarą jak Carla.

– Będą żyli, kiedy wrócimy, bo żyli, kiedy odchodziliśmy.

Oczywiście. Odrodzimy się w dokładnie tej samej sekundzie, w której zostaliśmy wyciągnięci. Zauważam, że w ogóle nie nawiązuje do tego, w jakim będą stanie. Nie mamy sposobu, aby się dowiedzieć, i nic nie możemy w tej sprawie zrobić.

– Boję się – szepczę. – Nie ufam sobie, że to wytrzymam.

Mięsień jego szczęki przeskakuje.

– Nie możesz dla nich teraz nic zrobić. Możesz wyłącznie zadbać o swoje bezpieczeństwo. Skup się na tej chwili, tylko na niej. Potem na następnej. I kolejnej. Nie masz wpływu na tę sytuację, więc dopasuj się do niej. Myśl tylko o tym.

Przygryzam język zębami i potakuję.

– Spróbuję.

Spróbuję. Po prostu nie wiem, czy mi się uda.

Myślę o tacie, o tym, jak będzie się czuł, gdy się przebudzi, a mnie tam nie będzie. Myślę o Carli i tych wszystkich rzeczach, które chciałabym dla niej zrobić. Zdaję sobie sprawę, że muszę zrobić więcej niż tylko spróbować. Musi mi się udać. Nie mogę zginąć w grze. Nie będę tą, która odejdzie.

– Będę cię chronił, Miki – mówi Jackson i całuje mnie. – Przysięgam.

Cofa się. Wyraz jego twarzy zmienia się, staje się twardszy, zimniejszy. Zsuwa okulary na miejsce, mocno chwyta mnie za rękę i mierza ku drzwiom.

– Trzymaj się blisko – ostrzega.

– Na tyle blisko, żebyś słyszał mój oddech.

– Bądź tuż za mną.

Wsuwam moje palce w jego i zaciskam je.

– Będę u twego boku.

Spogląda na mnie i uśmiecha się, oszczędnie, ale na tyle, że pokazuje się dołek w jego policzku.

– W takim razie bądź tuż przy mnie.

– Co to za miejsce?

– Nie wiem. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

– A ja tak. W moim koszmarze.

Odwraca głowę w moją stronę i czuję, że mnie obserwuje, mimo że nie widzę jego oczu.

– Opowiedz mi.

– Było dokładnie takie samo. Ściany. Podłogi. – Wysuwam lekko podbródek. – Drzwi. Kiedy przez nie przeszłam... – przerywam, waham się.

– Opowiedz mi.

– Kiedy przez nie przeszłam czekała na mnie dziewczyna o zielonych oczach. Miała broń Drau. Wycelowała ją. Strzeliła.

Drzę, przypominając sobie to wydarzenie i fontannę maleńkich kropelek bólu pędzących ku mnie. Zahaczają o moje lewe ramię. Mijają mnie.

– Nie strzelała do mnie. Strzelała do kogoś za mną.

Jackson kiwa głową.

– Potraktujemy twój sen jako ostrzeżenie.

Ostrożnie podchodzimy do drzwi, rozdzielając się tuż przed wejściem, Jackson po jednej stronie, ja po drugiej. Nie wiem, po co w ogóle się staramy. Nie mamy broni i nie ma wątpliwości, że ktokolwiek przywiódł nas tutaj, wie, że tu jesteśmy.

– Wiedzą, że tu jesteśmy – mówi Jackson, uprzedzając mnie. – Zróbmy tak: dowiemy się, kim są i czego chcą.

– Wielkie umysły myślą tak samo.

Przechodzimy przez drzwi do zakręcającego korytarza. Boczne linie są do kitu. Nie widzimy, co czeka na nas za kolejnym rogiem, bo nie ma tu żadnych rogów.

Mimo kurtki Jacksona trzęsę się. Powietrze jest zimne i suche i sztucznie pachnie, jakby ktoś rozpylił odświeżacz powietrza. Nie mijamy żadnych drzwi ani okien, tylko gładkie, białe ściany, biały sufit, białe podłogi, a wszystko łączy się bezbłędnie bez szwów, więc nie wiem, gdzie się jedno kończy, a drugie zaczyna.

W pewnym momencie zatrzymuję się i rozciągam ramiona w obie strony, badam, jak szeroki jest korytarz. Moje palce sięgają tak daleko, jak mogą, ale nie wyczuwają nic stałego. Jest więc szerszy niż zasięg moich ramion.

Idziemy dalej, mijając zakręt, aż dochodzimy do olbrzymiego, wygiętego w łuk rzędu komputerów. Znajduje się tam osoba z rękoma na czymś w rodzaju pulpitu sterowniczego. Jest ubrana cała na biało, odwrócona do nas plecami, jej włosy są ściągnięte w wysoki koński ogon.

Obraca się talią i odwraca do nas głowę, aż widzimy mniej więcej trzy czwarte jej twarzy. Jackson zamiera.

Jej nos. Kształt jej twarzy.

Jej oczy.

– Wreszcie jesteście – mówi Lizzie i się uśmiecha.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Jackson niemalże wibruje z nadmiaru napięcia. Jego oddech jest płytki i szybszy niż normalny.

Chce ją zabić, tę powłokę, która nosi twarz jego siostry.

Wyczuwam jego emocje, jakby były moimi własnymi.

– Stój – mówi Lizzie, jej uśmiech zmienia się w gniewne spojrzenie. – Nikt nikogo nie zabije. Typowy Jackson, nastroszony jak jeż.

Mrugam, gdy słyszę ten opis. Nie wpadłabym na to.

– Mamy mało czasu. Nie mogę was tutaj trzymać zbyt długo – mówi.

– Gdzie jest „tutaj”? – pytam.

Rzuca mi spojrzenie, które tak bardzo przypomina mi Jacksona, aż boli mnie serce, gdy je widzę.

– Czy to ma znaczenie?

– Czego chcesz? – pyta Jackson, jego głos jest twardszy, niż kiedykolwiek słyszałam, a twarz jest tak zimna jak ciekły azot.

– Wiem o wielu sprawach. Ty też musisz wiedzieć. – Jej spojrzenie wyraża zaniepokojenie, odwraca się do pulpitu, dotykając go, przesuwając dłonie po stopionych, jarzących się powierzchniach. – Musimy się spieszyć.

– Dlaczego miałbym wierzyć w to, co mi powiesz? – pyta Jackson.

– To jest kłopot, prawda? Mam trzy minuty, aby zdobyć twoje zaufanie. – Przerzywa. – To pudełko cukierków, którym dzieliliśmy się w noc wypadku... to były pokryte czekoladą orzeszki ziemne.

Jackson krzyżuje ręce na piersi.

– Zgadłaś. – Nie wydaje się pod wrażeniem.

– Tego lata, gdy miałeś dwanaście lat, pojechaliśmy na rodzinną wycieczkę do Wielkiego Kanionu. Bałam się wysokości i nie chciałam podchodzić do krawędzi. Trzymałeś mnie za rękę.

Tym razem Jackson nic nie mówi.

Ale ja nie jestem przekonana, że takie informacje może znać tylko jego siostra. Widziałam zdjęcia ich rodziny w Wielkim Kanionie. Może jeszcze ktoś, Drau, też je widział.

Lizzie spogląda na panel przed sobą i jej oddech przyspiesza.

– Urodziłeś się z matową otoczką wokół rogówek – mówi bardzo szybko. – Ale widziałeś bardzo dobrze. Twoje oczy zmieniły się trochę do szóstego roku życia, a potem stały się szare jak u Drau.

Pamiętam dzień, gdy Jackson mi o tym opowiedział. Siedzieliśmy na szczycie trybun na stadionie.

– To, że o tym wiesz, niczego nie dowodzi – mówię. – Jackson opowiedział mi tę historię w otwartej, publicznej przestrzeni. Mogłaś podsłuchiwać.

– Mogłam? – pyta Lizzie, jej brwi strzelają w górę.

– Ty – mówię. – Drau. To to samo, prawda? – Spoglądam na Jacksona, jest sztywny i milczący, nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak trudno mu patrzeć w twarz klona Lizzie, powłoki ze świadomością Drau. – Dlatego musimy uważać, co mówimy poza grą. Zawsze mogą słuchać.

– Nie zawsze. – Odwraca się z powrotem do pulpitu. – Trudno cię przekonać, Jax. Myślałam, że ucieszysz się, gdy mnie zobaczysz, że czeka nas wspaniałe spotkanie po latach.

– To nie jest spotkanie po latach – mówi płaskim głosem. – To jest pierwsze spotkanie. Nie jesteś moją siostrą.

– Nie? – W jej głosie brzmi napięcie. Jakby czuła ból. – Cóż... może to? Miałaś puchatego brązowego misia z niebieską wstążeczką wokół szyi, z którym spałaś do dziewiątego roku życia. Dostałaś go, gdy miałaś trzy lata. Nazwałaś go Calcaneus, bo tata wtedy spadł z drabiny i złamał sobie piętę, a doktor powiedział, że tak nazywa się ta kość. Wierzysz mi teraz, Jax?

Oddech wymyka mu się z sykiem przez zęby. Czy to było zdrobnienie, którego używała Lizzie? Jax? A opowieść o misiu... czy jest prawdziwa? Jeżeli jest, to trudno byłoby znaleźć sposób, aby się o tym dowiedzieć.

Z rękami na pulpicie ponownie się obraca w naszą stronę i wtedy dokładniej widzę, co ma przed sobą.

Wzdycham, kiedy zdaję sobie sprawę, że jej ręce nie tyle są na pulpicie, ile w pulpicie. W jakiejś jego części. Widzę jej kości przez przezroczystą skórą i pełzające po nich – jak się wydaje – tycie pajęczki.

– Nanoagenci – mówi. – Nie krzywdzą mnie, tylko leciutko kłują. Łączą mnie z maszyną. Efektywne, choć trochę dziwaczne. I są znacznie mniejsze, niż to wygląda z waszej perspektywy. Powiększa je panel. – Przykuwa do mnie swój wzrok. – Miki, prawda? – Przechyla głowę w zapraszającym geście. – Podejź tutaj.

Bezmyślnie robię krok do przodu. Jackson chwyta mnie za ramię i zatrzymuje.

– Nie sądzę – mówi.

Wydaje lekceważący dźwięk, taki jak Carla, gdy wkurza ją jeden z młodszych braci.

– Nie mogę zostawić panelu, bo przeniesiecie się do poczekalni.

– Wyjaśnij – mówi Jackson.

– Muszę wam coś pokazać, zanim to wyjaśnię.

– Dlaczego? – pyta.

– Ponieważ to jedyny sposób, abyście uwierzyli w moje słowa.

– Pokaż nam stamtąd. Zostaniemy tutaj.

Znowu wydaje ten dźwięk. Na sekundę zamyka oczy i gwałtownie potrząsa

głową z boku na bok.

– Nie zmieniłeś się wiele w ciągu tych pięciu lat. Nadal o wszystko się ze mną kłócisz.

– Ty też za bardzo się nie zmieniłaś w ciągu tych pięciu lat – wcina się Jackson. – Dlatego nie możesz być moją siostrą. Wyglądasz dokładnie tak jak ona tej nocy, gdy zmarła. Jak nastolatka, a nie dziewczyna po dwudziestce. Lizzie by się postarzała, powłoka nie.

Wzdycha, rzuca spojrzenie na panel, potem znowu na nas.

– Potrzebna mi tu ręka. Moje są w tej chwili zajęte.

– Użyj mojej ręki. Miki zostaje tu, gdzie jest – mówi Jackson.

Lizzie się uśmiecha.

– Pewnie. Ponieważ tam jest absolutnie bezpieczna w odróżnieniu od tego miejsca.

Ma rację. Jackson nie rusza się, nie luzuje też uścisku swojej ręki na mojej.

– Dobrze – mówi, zgrzytając zębami, jej ręce głębiej zanurzają się w pulpicie, jej szkieletowe palce chwytają jakąś niewidoczną rzecz. – Chciałam zaoszczędzić ci wstydu, Jax.

Jej dłonie poruszają się szybko. Wypina się do przodu.

– Teraz, Jax. Teraz – warczy, jej ręce skaczą w prawo, lewo, znowu w prawo. – Spiesz się!

Nie wiem, czy sprawia to ton jej głosu, czy użycie jego zdrobnienia, ale Jackson w końcu się rusza. Biegnie do niej, gdy ona mówi:

– Podnieś moją koszulę. Zrób to!

Białe ściany palą mnie w oczy. Dźwięk jej głosu jest tak głośny, że aż boli.

– Tracę cię!

Jej słowa dobiegają do mnie zbyt wolno, ale nadal słyszeć w nich ponaglenie. Panikuje. Jest rozgorączkowana.

– Powłoki nie mają pępeków. Nie mają pępowiny. Pamiętasz, gdy ci to powiedziałam, prawda? Powiedziałam ci o tym w poczekalni tuż przed twoją pierwszą misją.

Krzyczy i wpycha ręce głębiej w masę zwinnych, kęsających nanoagentów.

– Co za gówno – warczy. – Odszedłeś. I nie powiedziałam ci tej cholerniej rzeczy.

Jackson łapie ją za koszulę.

– Podnieś ją – rozkazuje.

Waha się ułamek sekundy, unosi ją.

Świat przechyla się i krzywi, ale i tak dokładnie widzę to, czego się spodziewałam. Jej pępek. A więc Lizzie nie jest klonem, powłoką, Drau.

Ale gdy patrzę na jej szkieletowe palce zanurzone w mobilnej masie pajęczych nanoagentów, nie sądzę, aby również była w pełni człowiekiem.

– Komitet – mówi spiętym i nagłym głosem. – Nie ufaj im, Jax. Nie są tymi, za których ich uważasz. Podobnie jak Drau, bitwy, gry. – Odrywa rękę od pulpitu z krzykiem.

– Lizzie – mówi chrapliwie Jackson.

Zerkam jeszcze na jego porażoną żalem twarz i spadam, spadam, spadam daleko.

Odradzam się w poczekalni. Trawa. Drzewa. Głazy.

Mam wrażenie, że zwymiotuję, a głowa mi eksploduje. Tak źle nie czułam się od czasu, gdy pierwszy raz zostałam wyciągnięta.

Przełykam ślinę, staję na nogi akurat wtedy, gdy Jackson również się podnosi. Jego usta są białe jak papier, usta ściągnięte w wąską linię.

Otwiera ramiona i pędzę do niego, serce mi wali, tętno szaleje. Przyciąga mnie blisko do siebie. Tuli mocno. I szepcze mi do ucha:

– Nadchodzą. Przygotuj się.

¹ Sofu – w języku japońskim oznacza dziadka (przyp. redakcji).

² Amerykański słodki przysmak przyrządzany na ognisku bądź grillu. Składa się z dwóch herbatników typu graham, pomiędzy nimi znajdują się kostki czekolady i zapieczone pianki *marshmallow* (przyp. redakcji).

Przekład: Marzenna Reyher

Redakcja: Paweł Wielopolski

Korekta: Anna Jagiełło, Magdalena Marciniak

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Ilustracja wykorzystana na okładce: Getty Images/DSGpro

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3302-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal
Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, blue, sans-serif font. The letter "v" is lowercase and has a white outline, while the rest of the letters are solid blue.

